

Agnieszka Jeż

*Chwytająca za serce
historia o przyjaźni
i sile miłości w trudnych,
wojennych czasach.*

Magdalena Witkiewicz

*Miłość
warta
wszystkiego*

FILIA

Agnieszka Jeż

*Miłość
warta
wszystkiego*

FILIA

Prolog



Anka zapamiętała tę scenę tak, jakby oglądała ją w teatrze.

Czterdzieści dwie osoby, idealnie podzielone na dwie grupy – dwadzieścia jeden od niego i dwadzieścia jeden od niej. Najbliżsi z obu stron. Doskonała symetria, absolutna równość, nigdzie więcej, nigdzie mniej. Usiądą naprzeciwko siebie, dopasowani pod względem wieku i rodzaju bliskości – rodzina lub przyjaciółka czy przyjaciel, starsi lub młodsi. Miejsca wskażą im małe kartoniki z ich imionami i nazwiskami, żeby nie było zamieszania, kto obok kogo. Potem dostaną przystawkę, zupę, drugie danie i deser. Potrawy będą zróżnicowane, adekwatnie do diet, chorób, upodobań. Nikt się nie będzie musiał martwić, czy jego sałatka jest wegetariańska, a zupa – bezglutenowa. Ten, kto lubi białe wino, nie dostanie piwa, a ci, co nie piją alkoholu, nie będą mieli przed sobą kieliszków.

Perfekcyjny obiad. Elegancki, choć bez przesadnego przepychu. Z dbałością o szczegóły i o to, żeby każdy poczuł się wyjątkowo. Jasne, najważniejsi są oni – od kilku dni oficjalnie narzeczeni – ale przecież dzisiejsze popołudnie jest po to, żeby tę decyzję obwieścić światu. Patrzcie,

słuchajcie, bądźcie naszymi świadkami – kochamy się, jesteśmy ze sobą, a teraz robimy kolejny krok: publicznie oświadczamy, że weźmiemy ślub. Będziecie świadkami przypiecztowania naszej miłości.

Trochę się o to spierali. Nie, żadnych awantur, przykrych słów czy nieprzyjemnego uporu. Nic z tych rzeczy, nie są w końcu tacy młodzi i nieopierzeni, żeby robić aferę z drobnej różnicy zdań. Można się różnić także w ładny sposób.

Ona uważała, że zaręczyny są „intymne”, że to taki czas dla nich, żeby się sobą nacieszyć kameralnie. Przecież i tak wezmą ślub, zrobią przyjęcie weselne, więc rodziny i znajomi się poznają.

On z kolei był zdania, że przyjęcie zaręczynowe to odpowiednie preludium do ich dalszego – sformalizowanego – związku; wprowadzenie do ślubu.

Przekonał ją. Skoro jemu zależy, wszystko lubi mieć zaplanowane i poukładane, to niech tak będzie. Ona wolałaby oszczędzić sobie trudu (organizacja takiego obiadu wymaga jednak zachodu), ewentualnie spontanicznie by coś przygotowała, ale jeśli on się w tym spełnia...? On zaś się ucieszył, że ona potrafi zmienić zdanie, otworzyć się na nowy pogląd.

To dobrze rokuje ich związkowi. Różni, ale w taki fajny, dopełniający się sposób. Mieli szczęście, że na siebie trafili. Oboje nie najmłodszy – no pewnie, że teraz ludzie nie pobierają się na studiach, tylko najpierw się uczą, potem dbają o karierę, a dopiero na kolejnym miejscu jest ślub, ale jeśli chce się mieć dzieci (oni chcą), to trzeba się wyrobić w określonym wieku. Pośpiech jest jednak złym doradcą, można się nieźle sparzyć, gdy się szuka partnera lub partnerki pod desperacką presją czasu. Ba, nawet gdy żadnej presji nie ma, to też nie jest tak łatwo. Dobrać się – to sztuka. I łut szczęścia.

Więc im się trafiło takie spotkanie. I, mimo wspomnianych różnic, wiele podobieństw. Oboje wykształceni, kulturalni, z dobrych domów.

Teraz przyszedł czas, żeby te domy się ze sobą poznały. Co do tego byli zgodni – w tych domach wyrosliśmy, one nas wychowały. Skoro my niedługo będziemy rodziną, to one także. Obie rodziny połączone młodymi – częścią wspólną.

Oboje kochają swoich bliskich. Dziadków szanują, rodzeństwa nie mają. W tym też są podobni.

Ich rodziny na pewno się polubią i dogadają. Wspólnota środowiska, pochodzenia, wykształcenia – to takie ważne. Zresztą nawet wyglądają na

dopasowanych: eleganccy, mili, już się połączyli w małe grupki i zaczynają się poznawać.

Trzecia pięć. Kelner pyta, czy są wszyscy, czy szykować przystawki na ciepło.

Już prawie. Jeszcze tylko jej dziadkowie. Dzwonili, że chwilkę się spóźnią. Zupełnie nieoczekiwany korek, bo raz, że sobota, dwa, że restauracja mieści się w spokojnej, willowej okolicy, gdzie nie ma supermarketów ani innych zakupowych czy rozrywkowych atrakcji, więc droga powinna być pusta. Ponoć wypadek, co by się zgadzało, bo przemknęła karetka na sygnale. Na to nic się nie poradzi, wypadki się zdarzają.

Trzecia dziesięć. Jego babcia spojrzała na zegarek, a potem na wnuka. On się uśmiechnął, ale poprawił perfekcyjnie zawiązany krawat, czyli pewnie lekko się denerwuje, że ten idealny plan trochę się popsuł.

„Kierowca mówi, że jeszcze pięć minut”, ona odczytuje SMS od babci. Bez dwóch polskich znaków, co znaczy, że babcia również jest zdenerwowana, bo zawsze starannie pisze wiadomości. Bardzo ją kocha, nie chciałaby zawieść wnuczki, a tu takie coś. „Siadajcie, zaraz dołączymy”. Kolejny zgubiony ogonek.

Trzecia piętnaście. Proszą do stołu. Lepiej zacząć, a spóźnialscy po cichu dołączają.

Goście usiedli. Zostały dwa wolne krzesła. On wyjaśnia, że wakat zaraz będzie obsadzony, i tłumaczy powód spóźnienia. Ona żartuje, że dziadkowie lubią mocne wejścia. Atmosfera doskonała – sympatia i pełna wyrozumiałość gości.

Oni stoją u szczytu stołu, przy swoich krzesłach. Uśmiechają się do siebie. On bierze ją za rękę. Na kartce mają tekst, który chcą powiedzieć. Wspólnie go przygotowali. Jemu szło jak po grudzie, ale co się dziwić, skoro jest ekonomistą, człowiekiem od cyfr, nie od słów. Jej zdania są okrągłe, jak to u humanistki, ale tu potrzeba czegoś specjalnego. Łatwo sprawę zagadać, zgubić sens w natłoku wyrazów. W końcu się im udało – świetne połączenie jego analitycznej zwięzłości i jej literackiego ducha.

On podnosi swój kieliszek i delikatnie stuka w szkło łyżeczką. Kryształowe dzwoneczki przykuwają uwagę. Goście milkną, spojrzenia wędrują w stronę młodych.

– Miłość jest najważniejsza – mówi ona.

– To sens i cel życia. – Teraz on.

Goście się uśmiechają. Takie słowa ogrzewają serca.

Ledwo słyszalne skrzypnięcie drzwi do sali i prawie bezgłośnie kroki po miękkiej wykładzinie. Oczekiwani spóźnialscy, jej dziadkowie. Posyła im uśmiech, ręką subtelnie wskazuje, gdzie mają usiąść.

– Rodzimy się z miłości, chcielibyśmy umrzeć, także kochając. – Trochę drży jej głos. Bardzo się starali, żeby nie dopadły ich frazesy, żeby to było szczere i prawdziwe. Tkliwe, ale nie pretensjonalne. I wreszcie znalazła tekst, który trafił ją prosto w serce. Jeanette Winterson, brytyjska pisarka. Kilka mocnych zdań, które zawierają w sobie tyle treści. Dopisali do nich swój wstęp, trochę zmienili stylistykę. Ale zakończenie zostawili, bo jest przejmująco piękne. On, co prawda, uważał, że może trochę zbyt książkowe, takie nieżyciowe, no i jest tam element grozy, który nie pasuje do przyjęcia zaręczynowego, ale ją to zdanie zahipnotyzowało. Skoro tak, zgodził się. To była jego kolej na mały kompromis.

Dziadkowie są już prawie przy stole.

– Więc szukamy miłości. – On przejmuje pałeczkę. – Wyruszamy na wyprawę. Rozglądamy się i nawołujemy. Czasem towarzyszy nam cisza. Czasem się mylimy, nie wiemy, czy słyszymy nasze echo, czy odzew.

– Ale wędrujemy. – Ona patrzy na niego i czuje, jak coś ją w środku ścisną. To jednak jest wzruszająca chwila. Cieszy się, że dała mu się przekonać. Podzieli ten ogrom emocji na dwa razy. Lub dwukrotnie je przeżyje. – Poszukujemy. Bo miłość jest najważniejsza. Miłość jest warta wszystkiego. Miłość jest warta...

– O mój Boże! – Tę uroczystą chwilę przesywa krzyk. Płaczliwy, niekontrolowany, żałośliwy kobiecy głos. – To ty? – Głos jest niepewny i przerażony.

Robi się cicho. Tak cicho, że aż dźwięczy w uszach.

– Ja... – odpowiada męski głos. Oszołomiony. – Ale to przecież... Ty przecież... Ty nie... – Urywa, zdumiony.

– Ty nie żyjesz. – Znowu kobiecy głos, ale inny. Niższy. Twardszy. Niby stwierdzający, ale jednocześnie przepełniony zdumieniem.

– Żyję. I on też żyje. A ty? Czy wy...? To niemożliwe. Nie. Nie. Nie! Czy ty, czy... Jak to się stało...? – Głos milknie, zagubiony. Po chwili jednak

wybucho: – Boże, teraz rozumiem! Teraz wreszcie rozumiem. Jak mogłaś?! Och, Boże! Dlaczego? W imię czego? – Głos się łamie, ugina pod ciężarem tych słów. Kobieta zaczyna spazmatycznie szlochać.

– W imię miłości. – Piękne zdanie, ale powiedziane bez emocji. Głos jest sterylny, wyczuty z jakichkolwiek uczuć, podobnie jak twarz tej drugiej kobiety.

Narzeczoną wypuszcza kartkę z dłoni. Biały papier sfruwa na kremowy dywan. „Miłość jest warta śmierci. Miłość jest warta życia” – niedoczytane słowa lądują na miękkim włosiu.

Zapada cisza.

Rozdział pierwszy



Sierpień 1939 roku

„Piękno to nie tylko wygląd, to także zapach”, pomyślała Sara, siadając na piasku. Piasek był żółty, drobny, ciepły. Przesypywała go między palcami i wyobrażała sobie, że to nie drobinki skał mineralnych, tylko jego włosy. Miały taki sam kolor – kolor dojrzałego zboża. I chyba też były trochę szorstkie, bo takie grube i lekko pofalowane. Tak jej się wydawało, bo przecież nigdy ich nie dotknęła naprawdę, zawsze jedynie w marzeniach, pod powiekami. Las pachniał późnym latem – nagrzaną ziemią, lekko podsuszonym igliwem, fioletowymi wrzosami. Przymknęła oczy i położyła się na miękkiej łasze, która wyglądała jak jasny kobierzec rzucony na zielony mech. Piasek delikatnie przyjął jej drobne ciało; mościła się w nim, wtulała w niego jak w jego ramiona. Jego ramiona muszą być takie – silne, a zarazem delikatne. Tu, na ziemi, zapach był mocniejszy – ostrzejszy, jakby bardziej męski. To od rosnących jałowców nieopodal, ale Sara zamiast zgrabnych, wysokich krzewów widziała jego – Jana. Bez fartucha, bo już po pracy,

w oliwkowej koszuli z podwiniętymi mankietami. W fartuchu zresztą też pewnie wyglądał przystojnie. Może nawet bardziej, jeżeli to możliwe? Skropił się wodą kolońską, przyczesał gęste włosy i patrzył na nią. Sara powoli podniosła powieki; było późne popołudnie, ale słońce wciąż mocno grzało i zagarniało dla siebie błękit nieba. On właśnie tak się jej przyglądał, to znaczy tak właśnie działało na nią to spojrzenie jego błękitnych oczu – rozgrzewało, porażało, wręcz oślepiało.

Och! Nad żółtymi piaskami uniosła się atmosfera różowych nadziei.

Sara i Jan.

Jak to ładnie brzmi! Ona miękko, delikatnie, on – solidnie, mocno. Bardzo się te ich imiona łączą. Oba są hebrajskie: Jan znaczy „Jahwe jest łaskaw”, a Sara to księżniczka.

Sara wciągnęła do płuc nagrzane balsamiczne powietrze. Czuła się jak podczas inhalacji – lekko, rześko, jakby się unosiła nad ziemią.

Sara Flinkierówna i Jan Górski.

Najmłodsza córka Mansa Flinkiera, właściciela dobrze prosperującego pensjonatu Madera w Otwocku, i młody doktor z Warszawy, który pracuje w zakładzie leczniczym Zofiówka. Z wykształceniem i bez pieniędzy.

Żydówka i Polak.

To już nie pasowało tak dobrze. Właściwie – nie pasowało wcale.

Sara widziała Jana dwa razy. Raz, kiedy pomylił domy, i zamiast do ich sąsiadów, państwa Ziębińskich, wszedł do domu jej ojca. Był wtedy wezwany na wizytę do jednego z lokatorów Ziębińskich, który źle się poczuł. Sara otworzyła drzwi i po prostu oniemiała. Nie sądziła, że coś takiego może się w życiu wydarzyć, żeby człowiekowi serce zaczynało trzepotać jak ryba złapana w sieć. Żeby kolana się ugięły – naprawdę to poczuła, jak po zbyt forsownym spacerze nad Świder. On też na nią patrzył. Długo, za długo. A dopiero potem zapytał o jakiegoś pana Zamłyńskiego. A wtedy Sara zobaczyła Marię Mirską, młodą dziewczynę, która mieszkała jako sublokatorka w kamienicy Ziębińskich i która również pracowała w Zofiówce, jako pielęgniarka. Szła w ich stronę, a gdy się dostatecznie zbliżyła, powiedziała: „Panie doktorze, to nie ten dom, to po drugiej stronie ulicy, kawałek dalej”. Wtedy ten mężczyzna wyjął z kieszeni koszuli karteczkę, rozprostował ją i przeczytał: „Żeromskiego 13”. Maria zajrzała mu przez ramię: „Pan Ziębiński tak niestarannie pisze. To miało być 18.

Chodźmy, panie doktorze, chory pana potrzebuje”. I poszli. Ale wcześniej ten przystojny mężczyzna znowu na nią spojrzął i się uśmiechnął. Wtedy Sara pomyślała, że to cudowne, że pan Ziębiński pisze gorzej niż jej sporo młodsza siostra. I że koniecznie musi zobaczyć tego doktora jeszcze raz. I kolejny, i znów... Zapytała następnego dnia (specjalnie zwlekała, żeby Maria sobie czegoś nie pomyślała), jak ten chory lokator się czuje. Wcześniej nie kojarzyła jego nazwiska, ale teraz już wiedziała, że to młody mężczyzna, student z Warszawy, którego czasami widywała na ich ulicy. Chyba miły, bo zawsze tak kulturalnie się jej kłaniał. Wysłuchiwała wieści o ataku woreczka żółciowego, ale niezbyt dokładnie, bo cały czas się zastanawiała, jak zapytać o doktora, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Ale Maria, rozmowna, wesoła Maria, sama zaczęła opowiadać o Janie Górskim. Sara wkładała każde zdanie do pamięci. Maria pracowała z nim w Zofiówce, czyli w zakładzie dla nerwowo i umysłowo chorych – dużym osiedlu przy końcu Kochanowskiego. Zakład był żydowski, dla żydowskich pacjentów, ale wśród personelu byli nie tylko Żydzi. Maria trafiła tu dzięki obecnemu dyrektorowi, Stefanowi Millerowi, urlopowanemu terminowo z zakładu psychiatrycznego w Tworkach, gdzie wcześniej pracowała. Jan Górski zaś, młody doktor z Warszawy, zajmował się w Zofiówce chorobami wewnętrznymi.

Sara pomyślała wtedy, że bardzo by chciała widywać go codziennie. Ba, mogłaby nawet zachorować, tyle tylko, że wtedy ojciec wezwałby do niej doktora Kenigsberga, a nie Górskiego.

Jan Górski pojawił się na ich ulicy ponownie następnego dnia po południu. Szedł powoli, jakby się za czymś, a może za kimś rozglądał. Sara wiedziała od Marii, że doktor znów przyjdzie do swojego pacjenta, więc umyślnie się kręciła przy domu, niby to coś porządkując. Kurz z chodnika już kilka razy zmiotła. Kiedy zobaczyła Jana Górskiego, to znowu, jak za pierwszym razem, to samo – miękkie kolana, ciepłe serce. A on się zatrzymał, przywitał, kilka zdań zamienili, ale ich to Sara całkiem nie pamiętała. Pamiętała natomiast, że pomyślała sobie wtedy, iż musi, po prostu musi widywać tego mężczyznę codziennie. A potem – i czy to może być przypadek? – Maria powiedziała, że chorych coraz w Zofiówce coraz więcej i że potrzeba i pielęgniarek, i dziewcząt do pomocy, do przyuczenia. I że może by Sara się zgłosiła, zwłaszcza że to „takie” miejsce. Takie, czyli ich, Żydów.

To było jak drugi rozbłysk. Bo przecież Sara chciałaby gdzieś pracować, to znaczy gdzieś indziej niż w pensjonacie Madera i gdzieś indziej niż w sklepie galanteryjnym lub zakładzie krawieckim, a takie właśnie życie szykował jej

ojciec.

Mans Flinkier. Dobry, spokojny człowiek. Prowadzony przez życie wiernością tradycji. Z niechęcią słuchałby o tych nieśmiałych marzeniach Sary. Nie taką przyszłość by dla niej widział. Siostra w zakładzie Zofiówka, gdzie tyle ludzkiego nieszczęścia, cóż to za pomysł, wykluczone, na pewno by tak powiedział. Los przez niego wyznaczony miał na imię Jakub i mieszkał niedaleko, na tej samej ulicy. To środkowy syn Ludwika Lublinera, tego od sklepu i zakładu właśnie.

Sara wyobrażała sobie siebie wśród bal z kolorowymi materiałami albo przy drewnianych szufladach z nićmi i tasiemkami. I tak od teraz, przez całe życie, z przerwami na rodzenie kolejnych dzieci. A tego, jak te dzieci na świat sprasza, razem z Jakubem – niskim, ciemnokim, chudym, nieśmiałym i nigdy się nieuśmiechającym młodym mężczyzną, to już całkiem sobie nie wyobrażała. Jego zapach, jego włosy, jego ramiona nie miały nic z tego uroku i tajemniczości otwoczych lasów w okresie nabrzmiałego lata. Nie, one były jak listopad – ciemne, niezachęcające, zasnuwane mgłą duszących dymów z komina. Od takiej pogody chce się uciec, nie brnąć przez rozmokły śnieg, nie stawiać kołnierza przed wiatrem i nie mrużyć oczu z powodu żrącego dymu. Wtedy, w takim czasie, człowiek marzy tylko o tym, żeby znowu było ciepło, żeby świeciło słońce, żeby lekki wiatr znad Świdra przynosił rześki zapach.

I dlatego Sara uciekała w myślach od Jakuba do Jana. Już coraz śmielej mówiła ojcu, że nie chce, za Jakuba nie pójdzie. O pracy w Zofiówce jeszcze nie mówiła, o Janie Górskim tym bardziej. Znała rodzinną historię: siostra matki sama sobie wybrała męża. Żyda, z porządnej, ale biednej rodziny. Długo się starali o akceptację dziadka, który w końcu powiedział córce: „Jeśli tak cię kocha, to dam ci siedem lat, żeby stworzył ci godziwe warunki do życia. To próba dla waszej miłości i jego zapachu”. Wytrwali, są razem już ponad dwadzieścia lat, mają czworo dzieci. Sarze zawsze się wydawało, że te siedem lat to bardzo długo. Teraz myślała, że to wieczność. Do tego ten wybrany był Żydem, czyli jednym z nich. A Jan? Jan był gojem, mężczyzną spoza narodu Izraela. Taka miłość, takie małżeństwo to było dla pobożnych Żydów coś niedopuszczalnego, niemożliwego, grzech nawet mówić. Sara pamiętała taki przypadek, jeszcze z czasów, kiedy mieszkali w Warszawie. Mieli sąsiadów, Lieblingów. Ojciec, matka, trzy córki. Ta najstarsza była śliczna i wesoła. I nagle zniknęła. Liebling powiedział, że umarła. Rzeczywiście, przez siedem dni siedział w domu na niskim taborecie, przy

zasłoniętych lustrach, nie zapalał światła, a potem, przez kolejne trzydzieści dni nadal się nie golił, nie wkładał nowych ubrań. Żałoba taka, jak należy, ale pogrzebu nie było. Sara miała wtedy dziesięć lat i nic z tego nie pojmowała. Mama, pytana o Zoję Lieblingównę, tylko wzdychała. Dużo później Sara się dowiedziała, że Zojka wcale nie umarła, to znaczy nie umarła dla świata. Wręcz przeciwnie – żyła, tak jak pragnęła. Zakochała się w młodym Polaku, oficerze, i z nim uciekła. Dla jej ojca to było tak, jakby stracił córkę. Dla niego ona już nie żyła. A jak zachowałby się ojciec Sary...? Kochał ją, swoją córkę. Ale tradycja była najważniejsza.

Ojciec Sary widział, że coś się w niej zmieniło. To znaczy najpierw się domyśliła mama; matki tak mają, że wiedzą o swoich dzieciach więcej niż ojcowie. Jakimś magicznym wprost sposobem, niezwykły magnetyzm duszy wykorzystując, przeczuwają, widzą, słyszą to, co niepowiedziane i ukryte. Nie może to być na podstawie własnych wspomnień z młodości, dawnych doświadczeń, bo przecież ojca i matkę połączyła swatka, tak to kiedyś było. I dalej być powinno, twierdził ojciec. Matka milczała, ale patrzyła na Sarę tak, że Sara czuła jej wsparcie w sprawie odrzucenia kandydatury Jakuba Lublinera. Rodzice może i przeczuwali, że Sara ku innemu swoje serce zwraca, ale że to ktoś taki jak Jan Górski, to na pewno by nie pomyśleli. Coś takiego nigdy się w ich rodzinie nie zdarzyło – taka pomieszana polsko-żydowska miłość. Zresztą w ich rodzinie miłość nigdy się nie mieszała – była prosta i oczywista. Starannie wybrana, wypracowana i umacniania wraz z mijającymi latami.

Jan zaś...

On też na nią tak patrzył; tylko dwa spotkania, ale te spojrzenia były takie... znaczące. Było w nich trochę matczynej troski i czułości, ale był i całkiem nowy, silny błysk – coś takiego, czym tylko mężczyzna może kobietę obdarzyć. Młody mężczyzna pragnący młodej kobiety. Do rozmów, spacerów, spotkania spojrzeń, pocałunków, przytuleń i...

Och! Coś ją chyba ugryzło, jakaś mrówka zabłąkana w cieniu jej dekoltu.

Sara gwałtownie się zerwała, nerwowo zanurzyła drobną dłoń w bawełnianym staniku. Świat, z onirycznej, łagodnej i ciepłej perspektywy poziomej nagle postawiony do pionu, zakółsał się kształtami, zawirował, błysnął mroczkami pod jeszcze nie do końca uniesionymi powiekami.

Sara wreszcie wydobyła małą zbłąkaną mrówkę spomiędzy sperlonych potem piersi. Strząsnęła ją z palców na piasek; czarna kropka zniknęła

w żółtym morzu.

Nie chciała jej zrobić krzywdy; szanowała cały świat ożywiony – od młodych gałązek przez kwiaty, pszczoły po większe stworzenia. Wszystko, w czym krążą soki żywotne, ma prawo do spokojnej egzystencji.

Ten nagły zryw wyrwał ją z marzeń wprost do rzeczywistości.

Spojrzała w niebo – nadal było niebieskie, ale, nie wiadomo skąd, zasnute pajęczą siecią chmur, które wyglądały jak rozciągnięta wata albo cieniutka gaza. Słońce wciąż grzało, ale już przymglone, pozbawione blasku, jakby postarzałe.

„Taki teraz czas”, pomyślała Sara, przypominając sobie poranne rozmowy rodziców. Między zachwytem nad piękną końcówką sierpnia a uwagami na temat wakacjuszy powracały pytania o najważniejsze – będzie wojna czy jej nie będzie? Niby w Warszawie jakieś przygotowania, kopanie rowów, gdzie by się można chować na wypadek bombardowania, mobilizacja, ale to wszystko wydawało się Sarze takie nierealne. Przecież nie tak miało być, przecież dopiero co się kraj pozbierał po poprzedniej wojnie. Zresztą Niemcy, co wszyscy mówią, taki kulturalny naród, a kulturalni ludzie nie napadają, nie grabią i nie mordują.

A jednak te napisy, co się ostatnio pojawiły na plakatach w Otwocku, te artykuły, w których autorzy postulują, żeby miasto „odżydzić”... To się dzieje. I to ich sąsiedzi, znajomi, inni Polacy robią.

Więc może rozsądniej by było przyjąć, że różne złe rzeczy mogą się wydarzyć, starać się na nie przygotować, choć nie bardzo wiadomo jak. Ojciec już jakiś czas temu mówił, że może by się przenieść, iść stąd, ale dokąd? Gdzie by im było dobrze?

Sara by i tak zresztą nie poszła. Zostałaby tutaj, bo tu jest Jan. Och, jak on jej wszedł w głowę i serce! Nigdy by nie przypuściła, że jest zdolna do takich emocji.

Więc na razie, mimo tych chmur, unoszącego się wśród sosen niepokoju, będzie się karmić nadzieją, w niej będzie szukać otuchy.

Miłość – to jest najważniejsze. Dla niej warto się nie bać, ona chroni przed lękami.

A Sara się właśnie zakochiwała.

Rozdział drugi



„Ależ upał!” Anka poczuła, jak fala gorąca oblepia ją całą zaraz po wyjściu z budynku. Wewnątrz dwadzieścia trzy stopnie, lekki podmuch klimatyzacji, w prawdziwym świecie ponad dziesięć stopni więcej, a powietrze jak z magła wisi nieruchomo. Kiedy siedziała przed komputerem i pracowała, zdarzało się jej zarzucać na plecy szeroki szal, bo trochę marzła, a teraz chętnie by weszła pod jeden ze zraszaczy ustawionych wśród biurowców i tak tam stała aż do całkowitego przemoczenia. Ale nie mogła. Przede wszystkim dlatego, że jednak głupio by wyglądała. Wokół same poważne instytucje, faceci w garniturach, kobiety na szpilkach. Było, co prawda, kilka firm, do których pracownicy przyjeżdżali na hulajnogach, w modnych trampkach i z kolorowymi włosami, ale oni też by tego nie zrobili, bo pewnie by na to nie wpadli. Byli młodszy od Anki o dobrą dekadę, nie biegali podczas wakacji po osiedlu z grupą innych dzieciaków z kluczami na szyi, nie kąpali się w Smródce, jak wszyscy nazywali ten kanał ciepłowniczy między blokami, nie jedli niedojrzałych jabłek i oranżady w proszku na sucho. Kontestacja i szaleństwo w tym pokoleniu polegały na tym, że się przychodziło do roboty w klapkach albo bez makijażu lub się jechało na wakacje na Podlasie zamiast

na Kanary. Zresztą może Anka niesprawiedliwie ich oceniała? Może oni naprawdę byli w tym wszystkim szczerzy i prawdziwi, może za nic mieli konwenanse i zasady?

W sumie Anka też przecież nie była taka jak ci wszyscy poważni ludzie, sunący przed dziewiątą rano gęstą falą do swoich biurowców, a potem wjeżdżający windami na ósme lub dwunaste piętro i z zapamiętaniem oddający swoje życie korporacjom. Pracowała w miesięczniku „Czas Kobiet”, bo skończyła polonistykę, i jedyne, co potrafiła, to czytać ze zrozumieniem i pisać ładne zdania. Więc pisała artykuły – o tematyce społecznej. I to było fajne, bo naprawdę ją to ruszało, tyle tylko, że ten obraz świata musiał pasować do ładnego papieru, na którym były wydawane ich tytuły, więc nie mogło być za smutno, za źle. „Ludzie chcą emocji, ale nie dramatów. Zawsze musi być szczęśliwe zakończenie” – to była mantra jej szefowej, która miała prawie sześćdziesiąt lat i zęby zjadła na tej robocie. Chyba dosłownie, bo tak mogły błyszczeć tylko porcelanowe licówki. Anka myślała, że z tym szczęśliwym zakończeniem to podwójna ściema, bo raz, że nie każda historia dobrze się kończy, a dwa, że to właśnie jest historia, fragment życia, jeden jego rozdział. Cóż z tego zatem, że dobrze się kończy, skoro życie toczy się dalej i dalej trzeba o nie dbać. Nawet jeśli teraz było potknięcie, to można się podnieść. A jeżeli teraz było podium, to za chwilę można z niego spaść. Zakończenie to dopiero śmierć. Anka częściowo się więc spełniała w tych częściowo prawdziwych emocjach. Ale może to nie była wina tej pracy? Może tak właśnie był skonstruowany współczesny świat, za którym trochę nie nadążała? Zawsze była lekuchno do tyłu. Z natury dość nieśmiała, jedynaczka, pod wpływem babci bibliotekarki. W ciągu roku szkolnego zatopiona w książkach, które w czasach jej dzieciństwa były zdecydowanie fajniejsze niż rzeczywistość dokoła. Podczas wakacji rzeczywistość ładniała, bo spędzała je najczęściej w Suwałkach, u dziadków właśnie. Tyle tylko, że dzika przyroda i stonowani starsi państwo też odbiegali od uśrednionych standardów. Ania rosła więc w miłości do książek, natury, ciszy. „Do lekkiego dziwactwa, nie?”, podsumowała to kiedyś jej przyjaciółka Kasia. „Właściwie tak”, pomyślała wtedy Anka. Potem wybrała studia filologiczne, czym dopełniła swój los – wrażliwej, trzymającej się zawsze na uboczu, delikatnej dziewczyny. Kiedy myślała o sobie, to wyobrażała sobie świat jak pędzącą, kolorową i rozświetloną autostradę, a siebie – jako polną dróżkę gdzieś obok. Nie przeszkadzało jej to, godziła się z tym – skoro taka jest jej natura...? Nie wszyscy muszą być w głównym nurcie, można inaczej żyć. Więc pracę miała mimo wszystko fajną, koleżanki

w tej pracy też, rodziców i dziadków, czyli całą swoją rodzinę, kochała i lubiła, co, jak się z wiekiem przekonywała, wcale nie było takie częste. I nawet miała mieszkanie – małe, na kredyt, ale jednak własne. Do kompletu brakowało jej jednego spełnienia. I to był drugi powód, dla którego nie weszłaby pod ten zraszacz – Marcin. Jej... jakby to ładnie i odpowiednio ująć... kandydat na chłopaka. Choć czy można być chłopakiem, kiedy się ma trzydzieści osiem lat? Czy to nie jest zbyt niepoważne określenie? Ale jak go nazwać? Partner? Okropne, jak w jakiejś spółce. Ukochany? To takie intymne i staromodne. Zresztą na to za wcześnie. Przyjaciół? Nie, to za mało. To znaczy w ogóle to dużo, bardzo dużo, no ale tu dochodzi jeszcze element damsko-męski.

Właściwie to był dopiero początek. A ona miała nadzieję, że to wreszcie będzie to, o co wszystkim w życiu chodzi – szczęśliwa miłość.

Wreszcie, w wieku trzydziestu trzech lat. Oczywiście, że już bywała zakochana i w związkach. W liceum na przykład. I na studiach też. I w prawdziwie dorosłym życiu również. Tyle tylko, że nigdy nie czuła, żeby to było coś takiego, co by ją całkowicie pochłaniało, zasysało, przyciągało tak, że traciłaby dech. I żeby za tym fizycznym upojeniem szło takie prawdziwe uczucie, czyli zauroczenie osobowością, ciągła ciekawość tej drugiej osoby, przyjaźń, szacunek. Zawsze czegoś brakowało – jeśli była chemia, to duch kulał, jeżeli czułość i zaufanie, to ciało nie drżało. Nie spotkała nigdy nikogo takiego, o kim by myślała, że może z nim przejść przez całe życie. Czasem sobie myślała, że to dlatego, że wybrała takie studia i przeczytała tyle powieści, że proza życia zawsze będzie przegrywała z fikcją. Wtedy się zastanawiała, czy gdzieś nie popełnia błędu. Przecież tyle osób na całym świecie wciąż i wciąż się zakochuje, żeni, wychodzi za mąż, ma dzieci. I wydaje się, że im wszystkim przychodzi to zdecydowanie łatwiej niż jej, Ance. Więc może w niej jest jakiś problem? Może coś takiego w niej sprawia, że żyje bez pary? Aż poznała Marcina i ta myśl o wspólnym życiu na zawsze w niej zakiełkowała. Choć na razie to ich poznawanie odbywało się wyłącznie na odległość.

Nie odbyło się to jak w romansie czy komedii romantycznej – nie wpadła na niego w warzywniaku za rogiem ani nie dobiegli razem do tej samej taksówki i ich nie dłonie nie spotkały się na tej samej klamce od drzwi. Nie było w tym żadnego przypadku, to znaczy takiego przypadkowego przypadku. Lubiła o tym ich spotkaniu myśleć, że było zaplanowanym przypadkiem. Marcina poznała bowiem na portalu dla par, to znaczy – dla

przyszłych par. W sumie to taki odpowiednik dawnych anonsów „pani pozna pana, pan pozna panią”. Są też inne, dla tych, co szukają kogoś na noc lub kilka nocy, a nie do dłuższego związku, ale tymi nie była zainteresowana. Tu również początkowo czuła opór, ale gdy się nad tym bardziej zastanowiła, doszła do wniosku, że tylko ten pierwszy krok jest mało romantyczny, bo odbywa się zdalnie i za pomocą algorytmu, który dobiera ludzi w najbardziej pasujące pary, a potem wszystko toczy się jak w prawdziwym życiu. Ludzie się umawiają w kawiarni lub na spacer, idą do kina albo do lasu, trzymają się za ręce, patrzą sobie w oczy, całują się. Chcą tej znajomości bądź ją kończą. Skoro nie ma wielu okazji, żeby gdzieś na siebie wpaść, to można zacząć od portalu. Zresztą nazwa taka ładna – portal to wejście, obramienie drzwi wejściowych do jakiegoś ładnego, niezwykłego budynku. Albo nowego życia.

Zatem zaplanowane jest tylko to, że się zaczyna poszukiwania, a potem – to już przypadek. Prawie tak jak w życiu, gdzie ludzie też się rozglądają za swoją drugą połówką.

Zarejestrowała się więc na tym portalu, opisała się, wkleiła swoje zdjęcie – ile się zastanawiała nad wyborem – żeby nie wyglądała ani jak urzędniczka z banku, ani jak tancerka klubu go-go, ani jakby jej specjalnie nie zależało, ani jak desperatka, tylko jak fajna i ładna Anna Matkowska, która szuka równie fajnego i przystojnego faceta, i zaczęła przeglądać oferty. Nic, nic, nic – nikt się jej nie podobał. Klikała w fotki, notki i w sumie może nawet nie byli to całkiem brzydki czy zupełnie nieciekawi mężczyźni, ale nic w niej nie drgnęło na ich widok. W tym czasie zdarzały się jakieś zaczepki, propozycje, ale tu także nikogo, kto by ją zainteresował, za to kilku, którzy sprawili, że właściwie to chciała wykasować swój profil. Niektórzy to naprawdę myślą, że w internecie można wszystko, jakby tu przyzwoitość nie obowiązywała, jakby byli anonimowi i bezkarni. To była brzydka strona sieci. Anka wierzyła jednak, że jest i ładna, po której są ludzie podobni do niej – mądrzy, wrażliwi i pojedynczy. I nie myliła się, bo napisał ON. Marcin Zieliński. Przystojna twarz, intrygujące spojrzenie, mail bez błędów ortograficznych i zachęcający, by poznać tego faceta lepiej. To nie było szkolne wypracowanie pod tytułem „Moja charakterystyka”, tylko zaproszenie do jego świata. Zaczęli do siebie pisać. Właściwie nie było w tych listach niczego nadzwyczajnego – proste sprawy: trochę o sobie, o życiu, pogodzie za oknem, ostatnio przeczytanej książce. A mimo to bardzo szybko się od tych listów uzależniła. Wciąż zerkała na telefon, czy nie pojawiła się nowa ikonka koperty. Ta rozmowa przez łącza robiła się coraz dłuższa, coraz więcej o sobie wiedzieli. Było coś

jeszcze, czego nie potrafiła nazwać, co kryło się między literami i zdaniem, w jego oczach także. Przeczuwała już, że jeśli nie potrafi oddać uczuć słowami, to one pewnie są z tej półki „niezwykłe”, „wyjątkowe”. Jej intuicja przebudziła się z letargu i rozkazała: „Umów się z nim”. Więc się umówiła.

I właśnie szła na to spotkanie.

Była zarówno zdenerwowana, jak i podekscytowana. Nie da się oswoić takich emocji. Kiedy była młodsza, wydawało się jej, że to kwestia doświadczenia, wprawy. Akurat! Przecież spotykała się z mężczyznami, była w kilku związkach. Za każdym razem to było coś nowego, coś innego. Za każdym razem musiała opanować sytuację – najpierw były nerwy, potem już trochę spokojniej, a na końcu... na końcu okazywało się, że jest tak spokojnie, że... pudło.

A może za dużo wymagała od miłości? Może by wystarczyła taka zwyczajna, dobra miłość? Wystarczająco dobra miłość? Podobno najlepsze są właśnie wystarczająco dobre matki, a nie te najsłodsze. Może z miłością jest tak samo? Skąd ludzie mają wiedzieć, jaka ona powinna być? Z książek, z literatury, z filmów? Z obserwacji? Może w szkole nie powinno się wkuwać budowy pantofelka czy mikroskopu, a więcej rozmawiać o uczuciach, miłości, rodzinie? W końcu szkoła ma przygotować do życia – a ile razy w dorosłym życiu przyda się komuś wiedza o okularze, tubusie czy wodniczce tętniącej? O miłości zaś – codziennie...

Anka przeszła kładką nad ulicą i dotarła na przystanek tramwajowy. Schody w górę, schody w dół. Czowała, że sukienka przykleiła się jej do pleców. Żeby tylko przyjechał klimatyzowany, bo dotrze na to spotkanie mokra jak rusalka.

Miłość. Przecież miała w domu dobre wzorce. Udane małżeństwa, żadnych rozwodów. Na przykład babcia i dziadek. Ponad pół wieku razem! Dużo starszych par jest jak kurki z wodą – kręcą się w przeciwnych kierunkach, absolutne odmienności, gorąc i lód, a jednak coś ich łączy – letnia temperatura. Jej dziadkowie byli inni. Dziadek wpatrzony w babcię z miłością, babcia czuła i oddana. Skoro nawet teraz tak ładnie się kochają, to jak musieli być w sobie szaleńczo zakochani, gdy się poznali? Szkoda, że nieczęsto się z nimi spotyka, bo mieszkają w Suwałkach, a ona – w Warszawie. Zresztą dziadkowie nie byli zbyt wylewni w opowiadaniu o uczuciach. To inne pokolenie, żadnego *reality show*, jak teraz.

Przyjechała osiemnastka. Nowe wagony, w środku przyjemny chłód.

Anka usiadła. Za kilkanaście przystanków pozna Marcina osobiście.

Rodzice. Oni też byli dobrym małżeństwem. Poznali się na studiach, w Stodole, klubie studenckim. Mama mówi, że tata z miejsca się w niej zakochał, po prostu oniemiał – zaczepił ją, przykleił się i już się nie odkleił. Ojciec – że to ona pierwsza go poprosiła do tańca. Przekomarzają się i teraz, chwilę przed emeryturą. Poczucie humoru też jest bardzo ważne. Wiele spraw jest ważnych w związku. Z jednej strony trudno tak się dobrać, ale z drugiej – udaje się, przecież miała tego przykłady w najbliższej rodzinie.

Podobno po przodkach dziedziczy się nie tylko wygląd, predyspozycje do chorób, lecz także sposób zachowania, poglądy, podejście do życia, nawet jeśli się sobie tego nie uświadamia. Zgadzała się z tym. Po mamie (i po dziadku) miała ładną, jasną karnację, po babci duże, ciemne oczy, po tacie – optymizm. Po rodzicach lubiła wycieczki, po dziadkach – przyrodę. Po babci i mamie – z zapalem czytała. Skoro taka była do nich podobna, to dlaczego nie ułożyła sobie jeszcze życia?

Rozejrzała się po okolicy. Królikarnia, czyli mniej więcej jedna trzecia drogi za nią. Ludzi przybywało, robiło się coraz ciasniej. Lubiała się przyglądać pasażerom. Od razu sobie wyobrażała, kim są, czym się zajmują, dokąd jadą, jakie mają historie.

Telefon zawibrował. Poczula mrowienie. Czyżby to Marcin odwołał randkę, to znaczy spotkanie? Jeszcze się nie zobaczyli na żywo, a on już mówi pas? Znowu się nie uda? Nerwowo stuknęła palcem w ekran. Nie, to nie on. SMS przyszedł od Kaśki, jej przyjaciółki. „I jak? To on ze zdjęcia czy pięćdziesięciolatek z brzuszkiem? Wrażliwy intelektualista czy kibol z siłowni?” Anka się uśmiechnęła. Kaśka, poznana w liceum. Potem ich drogi się rozeszły, bo ona wybrała SGH, a Anka – polonistykę. Kaśka również żyła w dobrym małżeństwie. Mieszkała pod Warszawą, w ładnym domku, miała dwoje dzieci i fajnego męża. Też się jej udało. „Jadę, potem dam Ci znać”. Anka już miała wysłać wiadomość, ale postanowiła dopisać jeszcze jedno zdanie. „Więcej wiary!” Odpowiedź przyszła szybko: „Ja mam. Pracuj nad swoją!”. No tak, Kaśka uważała, że Anka jest zbyt idealistyczna, może nawet – choć tego nie powiedziała jej wprost – za bardzo lubi wszystko komplikować, nad wszystkim się namyślać. I chciałyby, żeby wszystko było doskonale.

Anka westchnęła. Jak będzie tym razem?

Do placu Zbawiciela zostały dwa przystanki. To Marcin zaproponował

spotkanie w tym miejscu. W centrum, dobry dojazd, kilka knajpek. Modny warszawski adres. Anka nie przepadała za takimi miejscówkami, ale tym razem jej odpowiadało, bo było popularne, więc zatłoczone. Na pierwszy raz dobre – w tłumie łatwiej się schować, gdyby na żywo kontakt z Marcinem nie zachęcał jednak do intymności.

Wysiadła. Czuła narastające zdenerwowanie. Przeszła przez ulicę, na wprost kościoła Zbawiciela. Przez głowę przeleciała jej myśl, że może by na chwilę wstąpiła i się pomodliła w intencji tej znajomości. „Jezu”, skarciła się zaraz. „To nie jest jak fontanna z życzeniami, że się wrzuci pieniążek i plum”. Nie była żarliwą katoliczką, co też dostała w genach, była za to uczciwa, wobec siebie również.

No dobra, znajdowała się już po tej restauracyjnej stronie placu. Wszędzie stoliki, gwar, śmiechy, szum. Bliżej ronda – kwiaciarki. Mnóstwo wiader z kolorowymi bukietami. Ich zapach mieszał się z aromatem kuchni indyjskiej, gruzińskiej, pieczoną bagietką i winem.

Ostatni lokal, przy Nowowiejskiej. Szła tam na lekko drżących nogach. Jak w pierwszej klasie w nowej szkole. Może ciało się starzeje, ale w środku na zawsze, choć w części, pozostaje się dzieckiem.

– Cześć. – Usłyszała nagle.

Rozejrzała się zdezorientowana. Przed nią nikogo nie było.

– Cześć! – No tak, głos dobiegał z tyłu, zza jej pleców.

Odwróciła się. Najpierw zobaczyła kolorową plamę – to była duża wiązanka mieczyków. Fioletowych, różowych, białych. A nad nimi – on. Taki jak na zdjęciu. Nie – zdecydowanie lepszy niż na zdjęciu.

Przepadła, już to wiedziała. Jak to jest, że serce czy też dusza od razu wiedzą to, nad czym człowiek się biedzi dużo dłużej? One po prostu czują, nie dywagują. I działają jak najszybszy i najmocniejszy komputer: w ułamku sekundy przeczesują wszystkie wspomnienia, doświadczenia, zdobytą wiedzę i wypływają wynik – aprobata lub ostrzeżenie. Tak działa intuicja, w którą Anka mocno wierzyła; były w dobrych relacjach. Hormony, zachęczone tą intuicją, wystrzeliły. U mężczyzn Anka szukała pewnych stałych cech w wyglądzie: mocno zarysowanej żuchwy, gęstych, jasnych włosów, niebieskich oczu. Ewolucja lubiła, gdy łączyły się fizyczne przeciwieństwa. Marcin wyglądał bardzo pociągająco. Bardzo. I miał taki niski, intrygujący głos. Już zdalnie ją pociągał, teraz, na żywo – ach!

– Cześć – odpowiedziała. Wzięła od niego bukiet. Był duży i trochę nieporęczny, ale bardzo ładny. Nigdy nie dostała mieczyków, zawsze róże albo tulipany.

A potem ją pocałował. W policzek, choć blisko kącika ust. Och! Oooch! To było to! Pocałunek nie skończył się na ciepłej skórze policzka, tylko zmienił się w miły dreszcz, który roziskrzył się w jej brzuchu i pomknął igiełkami podniecenia w dół.

Niebo i ziemia się zatrzęśły.

Takich emocji nie da się w sobie wzbudzić, one po prostu muszą się same pojawić. „Z nikim nie masz takich ciar”, śpiewał Limboski. To było o niej, teraz to wiedziała. I chyba o Marcinie, bo czuła, że on reagował na nią podobnie.

Te drgania utrzymywały się podczas kolacji i obejmowały całego Marcina, nie tylko jego aparycję, lecz także środek. Lubił zwierzęta i wędrowki po górach. Każdą wolną chwilę – pracował jako analityk w firmie doradczej – spędzał na podróżach. Anka też uwielbiała poznawać świat. To nie musiały być dalekie wyprawy, byle tylko krajobraz był nowy, inne kolory, inaczej ubrani ludzie, nowe miasta, wsie, plaże, szlaki. Dużo czytał, jak ona. Zamiast piwa wybrał wino (ona też). Lubił żartować, ale subtelnie, żaden rubaszny rehot. Ładnie pachniał. Patrzył na nią z zauroczeniem w oczach. Delikatnie, niby przypadkiem, dotknął jej dłoni, sięgając po pieczywo. Trzymał swojej kolano obok jej kolana. Czuła jego ciepło. Miał ładnie obcięte paznokcie. Najbardziej śmieszyły go angielskie komedie. Zapytał, czy poszłaby z nim do teatru. Poprawił jej kosmyk włosów i delikatnie musnął płatek ucha.

Dokoła był tłum i gwar, a ona miała wrażenie, że są sami.

Było absolutnie cudownie, czuła się z tym facetem fantastycznie.

Nie chciała, żeby ten wieczór się skończył, on chyba też. Kiedy zapłacił rachunek i szli do metra, oboje stawiali jak najmniejsze kroki, żeby to pożegnalne odprowadzanie trwało jak najdłużej.

W końcu stanęli przy wejściu do podziemnej kolejki. Za plecami zaterkotał tramwaj, jakieś auto ruszyło z piskiem opon. Przed oczami miała metalowy parkan budowy, z boku – szare schody. Nie zamieniłaby jednak tego miejsca na żadne inne, zwłaszcza gdy się pocałowali na pożegnanie. Wtedy wszystko dokoła zniknęło. Po pocałunku także można poznać, czy ludzie do siebie pasują. Pocałunek jest najintymniejszą formą erotycznego spotkania, bliższą

niż sam seks. Całowali się miękko, delikatnie, szczerze, zachłannie, zagarniająco, czule i do utraty tchu.

– Ech, młodość. – Usłyszeli męski głos.

– Chodź, nie gap się tak. – Teraz dołączył inny, kobiecy, niby strofujący, ale ona też się im przyglądała. – Może byśmy sobie przypomnieli, jak to jest?
– Wzięła go za rękę i po chwili zniknęli w tunelu metra.

W nocy nie mogła spać. Otworzyła okno na oścież, a i tak było jej duszno. Miała przyspieszony puls i problem, by zebrać myśli. Nie miała za to żadnych lęków – przyszłość jawiła się jej jak dzisiejsze niebo – błyszczące, roziskrzane.

Anka właśnie się zakochiwała.

Rozdział trzeci



Wrzesień 1939 roku

To, co miało się nie wydarzyć, jednak się dokonało. Niemcy najechali na Polskę. Dwadzieścia lat spokoju, dwadzieścia lat ciężkiej pracy, żeby skleić poraniony kraj, i znowu nieszczęście.

To, że wojna się zaczęła, nie zmieniało jednak faktu, że nadszedł pierwszy dzień nowego roku – Rosh ha-Shana 5700. Ruta Flinkierowa, mama Sary, kupiła gęsi z hodowli, po sześć złotych za sztukę, przecież w taki czas trzeba świętować. Zdawało się, że mimo wszystko uda się ocalić codzienne, zwykłe życie.

Nie udało się.

O drugiej po południu do domu Flinkierów przybiegł Josek Fridman. Zdyszany chwycił się futryny i krzyknął od progu:

– Abraham Rotenbach zabity!

Sara z matką właśnie szykowały tę gęs do podania na stół. W ogromnej brytfannie, obłożona jabłkami, sownicie natarta ziołami, wypełniała zapachem cały pokój. Taki smaczny świąteczny obiad, zapowiedź dobrego roku. Obie zastygły nad talerzami. Ruta odsunęła krzesło i wskazała na nie ręką, zapraszając tym gestem chłopca, żeby usiadł. Był blady i spocony. Jasek opadł na siedzisko. Sara podała mu szklanekę z wodą. Pił łąpczywie, a potem opowiedział, co się wydarzyło:

– Abraham Rotenbach na cześć święta poszedł ze Szmuelem, swoim średnim synem, do mykwy, a tam mordercza kula zabrała mu życie. Jeden strzał i padł na ziemię. Szmuel przy nim, pochylony, zaraz inni się zbiegli, nawet po doktora posłali, ale on już bez życia. Pogrzeb jeszcze dziś. W mieście przerażenie, strach okrutny.

Rzeczywiście, trwoga była trudna do opisanie. Kiedy Sara wyszła na ulicę, miała wrażenie, że noc przykryła Nowy Rok. Niemcy zajęli bet ha-midrasz, więc każdy w samotności wylewał przed Bogiem żale ze swojego serca albo szedł do sąsiada, tak jak Lubliner z synami przyszedł do ojca Sary i jej brata, żeby się razem z nimi pomodlić. Grupa dawała wsparcie. W trudnych chwilach najgorzej być samemu. Sara siedziała z mamą i siostrą, niewiele mówiły, ale wystarczyło, że były razem. Potem wstały i sprzątnęły nakryty stół. Gęś pozostała nietknięta.

W nocy było słyhać strzelaninę. Sara nie mogła spać, cała drżała. Myślała o tym, jak to możliwe, że w ciągu kilku godzin świat się tak bardzo zmienił. Ojciec, co prawda, twierdził, że to nie były godziny, a całe tygodnie czy może nawet lata wstecz, ale przecież, choćby i na pozór, tak zewnętrznie, było spokojnie, to znaczy nikt nie ginął, nie tu, u nich, w Otwocku.

Teraz zaś spokój został zburzony. Rano po mieście chodzili żołnierze i szukali ludzi do pracy. Mans i Dawid Flinkierowie schowali się do szopy, z tyłu domu, i ich nie znaleźli. Nie szukali jednak zbyt dokładnie, ale może dlatego, że udało im się zebrać dużą grupę mężczyzn. Sara odetchnęła z ulgą, lecz ojciec stwierdził, że oni na pewno wrócą. Tym razem ich nie zabrali, ale następnym...

Po południu, wciąż roztrzęsieni, Mans i Dawid poszli nad Świder, na taszlich. Jak co roku opróżnili kieszenie ubrań do rzeki, symbolicznie odrzucając swoje grzechy. Żydzi tego dnia wyrzucają swoje nieprawości w morze. Sara nigdy wcześniej jakoś głębiej się nie zastanawiała nad tym rytuałem – był, od wieków, więc co tu się namyslać? Tak robili ojcowie, tak

robią synowie i tak robić będą wnukowie. Teraz jednak próbowała zgadnąć, jakich nieprawości mogli się dopuścić Dawid lub jej ojciec. Albo ich sąsiedzi. I jak je zestawić z tym, co Niemcy wyczyniają w Otwocku, w Warszawie i w wielu innych miastach i wsiach w Polsce.

To było smutne święto. Tym bardziej, że wieczorem ojciec znowu zaczął rozmowę o Jakubie Lublinerze.

– Ludwik Lubliner to dobry człowiek. I dobry ojciec. Synowie jego, zwłaszcza Jakub, też są dobrymi ludźmi. W niespokojny czas trzeba żyć wśród dobrych ludzi. – Spojrzał na Sarę.

Milczała. To nie było pytanie, więc nie odpowiadała. Nie było to także stwierdzenie faktu – jeszcze.

– I nie dość, że są dobrzy, to jeszcze są majątni. Te dwie rzeczy, dobro i majątność, to największy skarb w czas pokoju. W czas wojny ten skarb jest jeszcze większy. – Ojciec wciąż nie spuszczał z niej wzroku.

Sara jednak milczała. Co by miała odpowiedzieć? Ojciec może mieć rację, pewnie ją ma, ale ona nie chce iść za Jakuba. Nie chciała już wcześniej, zupełnie sobie nie wyobrażała siebie razem z nim pod chupą ani potem, w pokoju, w jadalni, w sypialni. Zwłaszcza w sypialni. Tu sobie w ogóle zresztą niewiele wyobrażała, ale za to przeczuwała. Po spotkaniu z Janem coraz więcej, coraz śmieiej. Ach, zobaczyć go znowu! Jeszcze raz patrzeć mu w oczy! Ponownie poczuć, jak pachnie! Pchały ją do tego wewnętrzne pragnienia, których wcześniej nie odczuwała. To Jan je w niej rozbudził.

– Saro? – Z zamyślenia wyrwał ją głos ojca. Matka przyglądała się jej z troską. – Dobrze się czujesz?

Kiwnęła głową, ale zaraz potem pokręciła.

Ojciec westchnął. Tyle trosk w jednym czasie. Wojna, agresja niemieckich żołnierzy skierowana przede wszystkim na nich, Żydów, niepewność co do interesów i córka na wydaniu, która się sprzeciwia woli ojca, i to w taki sposób, że milczy i zamyka się w sobie. Nawet matce nic nie mówi, choć wcześniej zawsze jej słuchała, zawsze z nią rozmawiała. Może to wojna tak na nią działa?

Tej nocy Sara znowu nie mogła spać. Było cicho, tym razem nie słyszała strzałów. Ciemność za oknem była jednak mroczna. To nie był już ten tajemniczy granat szumiących sosen, tylko ponury mrok, który niósł trwogę.

Sara pomyślała, że gdyby nie Jan, to byłoby całkiem ciemno, nieprzejrzysta czerń. A tak gdzieś się tliła nadzieja, która rozjaśniała jej świat.

Przecież to by było tak okropnie i strasznie niesprawiedliwe, gdyby miała się nigdy nie przekonać, czym tak naprawdę jest miłość.

Rozdział czwarty



– Gdybym był bogaczem... – Marcin prócz ładnego głosu miał też talent sceniczny. A może po prostu się nie wstydził? W każdym razie świetnie mu wychodziło odtwarzanie sceny ze *Skrzypka na dachu* – na ugiętych nogach, potrząsając brzuchem, którego nie miał, więc dodatkowa trudność aktorska, z rękami w górze, nucił piosenkę.

Anka nigdy by się nie odważyła na takie śpiewanie i tańczenie na ulicy. Nie żeby było w tym coś złego, ale czułaby się skrępowana. Bałaby się, że zafałszuje, krzywo nogę postawi, że nie rusza się tak, jak ciemnoskóre piosenkarki. Może przy Marcinie się rozrusza...? Czowała się przy nim akceptowana, fajna, ładna – super. Skoro on, sam taki atrakcyjny, tak ją widzi... Siebie też zresztą widział dobrze, bo zupełnie się nie krępował. Facet z poważnej firmy, który kręcił biodrami i wydawał z siebie tubalne odgłosy.

– No chodź! – Marcin zeskoczył z murka i chwycił ją za rękę. – Dejdel, didel, dejdel, Digu, digu didel, dejdel dum! – Trząsał się i falował jak odtwórca głównej roli w musicalu.

Anka w pierwszym odruchu zeszywniała, ale potem szybko i ukradkowo

rozejrzała się po ulicy – w zasięgu jej wzroku nie było nikogo, więc przymknęła oczy, wzięła głęboki oddech i pozwoliła mu się prowadzić. Miłość ośmiela i odważa.

Tym razem wybrał małą knajpkę niedaleko teatru, na Mokotowie. Mimo że był piątek wieczór, było w niej dość cicho i spokojnie. Doszli tu, trochę śpiewając, trochę tańcząc, wygłupiając się i przytulając. Ance przypomniały się licealne czasy – beztroskie i wesołe. Tyle tylko, że wtedy szalała tak z kumpelami, nie z przystojnym facetem, w którym była coraz bardziej zadurzona. Czterdziestolatek! Teoria, że obecna czterdziestka to dawna dwudziestka, chyba była prawdziwa. Kiedyś w tym wieku facet miałby dzieci tuż przed maturą, poważną minę i zmęczenie na twarzy. Jego żona – podobnie. Para ludzi w średnim wieku, statecznych i poważnych. Tymczasem oni się wygłupiali jak dzieciaki i – również jak dzieciaki – mieli przed sobą całe życie.

– Cieszę się, że ci się podobało. – Marcin delikatnie pogłaskał ją po dłoni, kiedy już złożyli zamówienie. Teraz, w zacisznym kącie, w którym usiedli, przy zapalonych przez kelnerkę świeczkach, zmienił nastrój na bardziej romantyczny. – Wtedy, na placu Zbawiciela, mówiłaś, że lubisz teatr, więc postanowiłem, że cię zaproszę. Ale termin krótki, zaraz wakacje, spektakli będzie coraz mniej i wybór był ograniczony. Właściwie tak z głupia frant wszedłem do teatru, kiedy wracałem z lunchu. I akurat ktoś zrezygnował z rezerwacji, no to się nie zastanawiałem, tylko kupiłem te bilety. Pomyślałem zresztą, że skoro musical, to pewnie ci się spodoba. Dopiero później, w domu, kiedy przeczytałem opis, to naszły mnie wątpliwości – rok tysiąc dziewięćset piąty, Rosjanie i Żydzi, komunizm i rewolucja... Ale to tylko tło, sama historia jest super.

– Bardzo mi się podobało – zapewniła go Anka. – Oglądałam film w dzieciństwie, ale – od razu to dodała, żeby nie zrobiło mu się przykro, że już znała fabułę – zapamiętałam przede wszystkim tę piosenkę i to, że wszystkie córki biednego mleczarza nie chciały wychodzić za mąż tak, jak im to ojciec zorganizował, tylko same sobie wybierały mężów. Wtedy to była dla mnie abstrakcja – ale jak to: ojciec szuka córkom mężów? Tło zaś w ogóle mi umknęło, nic nie rozumiałam z tych uwarunkowań historycznych i społecznych. Teraz zupełnie inaczej to odbierałam.

– Ja nigdy wcześniej nie widziałem ani filmu, ani przedstawienia. Piosenkę,

oczywiście, znałem. Kiedy ktoś pracuje w bankowości... – Roześmiał się. – Nawet trochę się bałem – ciągnął już normalnym głosem – że albo będzie smutne, bo czasy rzeczywiście niewesołe, albo zrobione jak komedia romantyczna dla kobiet. Nie to, żebym miał jakieś duże doświadczenie w komediach romantycznych dla kobiet, nie myśl sobie. – Znowu się roześmiał. – Albo że się zdezaktualizowało, bo jak się teraz można przejmować, czy ojciec polubi mojego chłopaka i czy pozwoli mi wyjść za niego za mąż.

– Mój na pewno cię polubi – powiedziała Anka. – On w ogóle lubi ludzi. To bardzo pogodny człowiek. Mama zresztą też.

– Znaczą się dobrali. Nic dziwnego, że im taka świetna córka wyszła. – Teraz pogłaskał ją po policzku.

Zrobiło się jej tak miło. W oczach i słowach Marcina była po prostu super, więc i ona zaczynała się sobą zachwycać.

– Twój też muszą być fajną parą. – Odwdzięczyła się komplementem, absolutnie szczerym.

– Wino i przystawki. – Kelnerka zjawiała się przy ich stoliku z tacą, z której zdjęła dwa kieliszki z burgundowym płynem i grzanki z czosnkiem.

Marcin wziął łyk wina. Przez chwilę potrzymał je na podniebieniu, potem przełknął.

– Bardzo dobry wybór. Za udany wieczór, za udaną przyszłość. – Wyciągnął rękę z kieliszkiem w jej stronę.

Anka podniosła swój kieliszek. Rzeczywiście, wino smakowało dobrze. Nie była koneserką, ale potrafiła odróżnić siarczynowe siki od szlachetnych szczepów winorośli.

Marcin odstawił kieliszek i popatrzył na nią. Jego usta wciąż się układały w lekki uśmiech, ale spojrzenie miał poważniejsze.

– Rodzice byli fajną parą. Tak mi się wydaje, bo miałem osiem lat, kiedy zginęli w wypadku samochodowym. Niby to już całkiem dużo, ale chyba nie na tyle, żeby wszystko pamiętać. Zresztą dzieci inaczej widzą świat, mniej rozumieją... Ale myślę, że było okej.

Ance zrobiło się nieswojo. Starła się być miła, a wyszło smutnawo.

– Przepraszam, nie chciałam ci zrobić przykrości. – Teraz to ona pogłaskała go po dłoni. – Nie miałam pojęcia...

Nie miała też pojęcia, jak to jest zostać sierotą, będąc takim dzieckiem. Aż zimno się jej zrobiło na myśl, że ją mogłaby dotknąć taka tragedia.

– No coś ty. – Marcin nachylił się i pocałował ją w policzek. – Skąd byś miała wiedzieć? Jeszcze nie doszliśmy do etapu poznawania swoich rodziców. – Znowu się uśmiechał, także oczami. – To było trzydzieści lat temu, szmat czasu. Zdążyłem to przerobić, naprawdę. Poza tym mam superdziadków, którzy się mną opiekowali. Mam nadzieję, że niedługo ich poznasz. I polubisz.

Anka pokiwała głową. Chciała, żeby ich znajomość szła w tym kierunku.

– A czosnek lubisz? – Marcin wziął jedną małą grzanekę z wiklinowego koszyczka i wgryzł się w nią z lubością. – Bo ja uwielbiam. To chyba jedyna różnica pomiędzy moimi dziadkami – dziadek lubi czosnek, twierdzi, że jest zdrowy i poza tym odpowiada mu jego aromat, a babcia czosnku nie tyka, jakby był skażony.

– Lubię. – Anka też wzięła grzanekę. Była pyszna. – W ogóle lubię przyprawy i zioła.

– O, to nadawałabyś się na córkę Tewjego Mleczarza. – Marcin podał jej kolejny kawałek aromatycznego pieczywa nasączonego masłem czosnkowym. – Żydzi jedzą dużo cebuli i czosnku. Mogłem się lepiej przygotować i zamiast klimatów włoskich wybrać jakąś żydowską knajpę. Coś jest chyba na placu Grzybowski, o, i na Poznańskiej, bardzo fajne miejsce, teraz mi się przypomniało. To może następnym razem?

„Każdy następny raz będzie super”, pomyślała Anka.

– Pewnie. Co prawda, nie wiem zbyt wiele o tej kuchni, tyle co z literatury na studiach, ale lubię poznawać nowe smaki. A co do Tewjego... to nie, chyba nie. Nie wyobrażam sobie, że mógłby być moim ojcem.

– Bo był biedny? – Marcin uśmiechnął się, trochę zaczepnie. – „To nie wstyd być biednym”. – Zacytował fragment jego roli.

– Ale to też nie jest zbyt wielki honor, chyba tak brzmiała druga część. – Anka się roześmiała. – Nie, nie o to chodzi, pieniądze nie mają dla mnie dużego znaczenia. Dobrze, gdy są, ale kiedy jest ich mniej, to drugie dobrze. Po prostu nie potrafiłam się podczas spektaklu pozbyć takiej smutnej myśli, że za czterdzieści lat z tego narodu wybranego to tylko wybrani zostaną. Tu wszystko było tak pogodnie pokazane, jakieś przepychanki, niesnaski, że muszą opuścić Anatewkę, a w rzeczywistości... Widzisz, jestem nostalgiczna.

Zamiast się skupiać tylko na miłości, to ja idę w smutną historię, tę z podręczników.

– Ale ta miłość to trąci myszką, co? – Marcin pozostał przy wątku romantycznym. – Wyobrażasz sobie, że ojciec ci mówi: „Nie, daj spokój, ten Marcin to nie jest kandydat na męża dla ciebie. Ja od dawna mam przyszykowanego miłego chłopca. To... – Poczekaj, szukam odpowiedniego imienia, o, mam. – ...to Icek, zacyjny krawiec”. – Marcin zdecydowanie miał talent aktorski.

– Nie wyobrażam sobie. – Anka próbowała przedstawić sobie swojego tatę w jakiegokolwiek sytuacji, która wymagałaby od niego stanowczości – nic z tego. Jej ojciec był pogodny i niekonfliktowy. I nigdy do niczego jej nie zmuszał. – Ale może też dlatego, że nie jestem Żydówką. Ten naród ma interesującą kulturę, sztukę, zwyczaje...

– I niezwyčajnego pecha. Niby naród wybrany, ale coś Pan Bóg go nie bardzo lubi. Ciekawe... O, już nasze dania idą. Z połowy sali czuć boski zapach *tagliatelle ai funghi porcini*. – Wciągnął powietrze nosem.

Ance wydało się, że usłyszała w tej wypowiedzi lekką nutę niechęci, ale nie była tego pewna. Kiedy kelnerka postawiła przed nimi aromatyczne, dymiące talerze, też się dała kulinarnie ponieść. Po pierwszym kęsie makaronu z aksamitnym grzybowym sosem mały stolik we włoskiej knajpce zamienił się w przedsionek nieba. Pałaszowała nieziemsko dobrą kolację, popijając ją szlachetnym winem. Pierwotnych założeń, że wypiją po kieliszku, nie udało się obronić – Marcin zamówił całą butelkę. Jadła, śmiała się, żartowała, łowiła jego spojrzenia, sama również patrzyła na niego z apetytem. Mała Anatewka, z biedą, chłodnym żydowskim losem, wielką i okrutną historią na horyzoncie, zostały zepchnięte we wspomnienia. Liczyło się to, co tu i teraz. A tu i teraz było fantastycznie. Ich stopy spotykały się pod stołem, dłoń Marcina kilka razy zbłądziła na jej kolano, nachylali się do siebie, śmiali i szeptali.

Jeszcze fantastyczniej było potem. Anka przyjechała do teatru metrem i tak chciała wracać do domu. Może gdzieś przemknęła jej przez głowę myśl, że spędzi z Marcinem nie tylko piątkowy wieczór, lecz także noc, ale była to dość płocha myśl. W każdym razie na etapie umawiania się żadne z nich głośno tego nie powiedziało, ani nie zaproponowało wprost, ani nie zrobiło aluzji. Do tej pory, przez kilka tygodni, widywali się jedynie w miejscach publicznych, więc stopień ich bliskości fizycznej ograniczał się do

pocałunków, przytuleń, objęć.

Anka od dłuższego czasu była sama, zupełnie wypadła z randkowego obiegu. Zresztą w randkach nie była specjalnie mocna, bo przecież zawsze miała nadzieję na dłuższy związek – okazjonalne balety, jak nazywała takie spotkania Kaśka, w ogóle jej nie interesowały. Nie miała do nich ani chęci, ani predyspozycji. Była raczej skryta, w erotyce brakowało jej luzu. To znaczy w wyobraźni dawała radę, obrazy były naprawdę epickie, jak na humanistkę przystało, ale praktyka... Cóż, zresztą nie trafiała na Don Juanów. Faceci, z którymi się spotykała, byli albo nieśmiali, albo wręcz przeciwnie – zbyt śmiali. Żadna z tych skrajności jej nie odpowiadała. Poza tym, co przeczuwała i co знаła z literatury, była przekonana, że idealny seks może współistnieć tylko z miłością. W innym wypadku to tylko erotyczna akrobatyka; nawet jeśli zdarzy się orgazm, to chwilę później wprost z tego uniesienia spada się na twarde materac – zostaje emocjonalna pustka. A gdy się kocha – wtedy zapewne ląduje się w puchu.

Kiedy minęła północ, restauracyjna sala opustoszała, a z zaplecza zaczęły dobiegać odgłosy sprzątanania, oni też zebrali się do wyjścia.

Byli zaróżowieni – od wina, śmiechu, rozmowy, wzajemnego zachwyty. Syci wrażeń, ale i z wyraźnie odczuwanym niespełnieniem.

– O, metro już nie jeździ – zauważyła Anka, patrząc na zegarek.

– Nie jeździ – zgodził się nad wyraz pogodnie Marcin. – No i co ty teraz zrobisz...? – Popatrzył na nią z błyskiem w oku.

– Zamówię taksówkę? – odpowiedziała zupełnie bez przekonania Anka.

– Nie wiadomo, kiedy przyjedzie. I drogo, bo na Ursynów daleko. A tymczasem ja mieszkam bardzo niedaleko. Służę ci ramieniem, rozmową, a potem wygodnym materacem i – spojrzał na nią roziskrzonymi oczami – innymi przyjemnościami.

Z drogi do mieszkania Marcina Anka nie pamiętała wiele. Żartowali, śmiali się. Ona – po to, żeby pokryć rosnące zdenerwowanie. On – chyba też. Potem weszli w podwórko, drzwi były solidne, drewniane, kamienica przedwojenna, z małą, trzęsącą się windą. Wjechali na czwarte, ostatnie piętro, tu także były wysokie, stare drzwi. Potem jeszcze zapamiętała skrzypiące klepki parkietu, kafle w szachownicę na podłodze w łazience, jak to w starych mieszkaniach, a potem...

Materac był bardzo wygodny. Szeroki, sprężysty, idealny dla dwóch ciał,

które tylko przez moment były sobą onieśmielone. Później, krótką chwilę później, górę wzięło pożądanie. Anka czuła się fantastycznie – Marcin ewidentnie jej pragnął, zachwycał się nią, ale bardzo dbał o to, by się nie zatracić w zgarnianiu przyjemności dla siebie. Anka zaś chyba po raz pierwszy w życiu zapomniała o wstydzie. Nie, nie wypłała aż tyle, żeby to alkohol pozwalał się jej bez skrępowania rozebrać przy zapalonym świetle, nie myśleć o za dużym brzuchu czy za małych piersiach, żeby bez zmieszania wykrzykiwać mu do ucha swoją rozkosz, żeby pozwolić mu się podziwiać – w różnych pozycjach i z różnych perspektyw. Po prostu to poczuła, to samo z niej wypłynęło. Och, to musiała być ta intuicja, ta mądrość ciała – usłyszeć odpowiedni zew i odpowiedzieć na niego.

A potem ufnie zasnęła w tym obcym mieszkaniu, z trochę tylko znanym facetem, pod jednym prześcieradłem, co mogło znaczyć po prostu tyle, że wreszcie trafiła tę swoją miłosną szóstkę – sparowali się idealnie.

W nocy śnił się jej dziwny patchworkowy sen. Była w nim córką Tewjego Mleczarza, który rzeczywiście chciał ją wydać za Icka. Ona odmawiała, wykręcała się, myślała zresztą, że to taka gra, bo przecież ojciec, jak w spektaklu, ustąpi, skruszony miłością córki. Tewje jednak był nieustępliwy. „Nie zgadzam się, tradycja to wszystko, co mamy. Bez tradycji nasze życie byłoby chwiejne. Ten chłopak nie przestąpi progę mojego domu. A jeśli mnie nie posłuchasz, to nie masz już ojca!” Anka błagała go, przekonywała, coraz bardziej przerażona faktem, że to nie gra, że on się z nią nie droczy, tylko naprawdę tak myśli. Płakała, ale ojcowskiego serca nie zmiękczyła. W końcu, gdy nadeszła noc, wyjrzała przez okno. Był tam, jej Marcin na nią czekał. Podszedł, ona uchyliła drewnianą ramę. „Chodź, ucieknij ze mną”. „Ale ojciec...”, próbowała być lojalną córką. „Nie chce twojego szczęścia, a ja cię kocham, tak bardzo cię kocham”, Marcin był spokojny i przekonujący. Jeszcze przez moment się wahała, ale wzięła małą walizkę, podała mu ją przez okno, a potem poszła po stołek i podstawiła go, by uciec z tego domu, gdzie broniono jej miłości. Skoczyła przez parapet na piach. „Marcin...?”, powiedziała niepewnie. Wokół było pusto i ciemno. „Marcin?”, powtórzyła trochę głośniej. „Jestem. Jestem i zawsze już będę”, wynurzył się z mroku.

Obudziła się szczęśliwa.

Rozdział piąty



Październik 1939 roku

Czy jedna rzecz może być zarazem zła i dobra? Wcześniej Sara by powiedziała, że nie, bo albo coś jest dobre, albo złe. To się łatwo daje rozsądzić, tu nie ma wahań. A nawet, gdyby się przypadkiem pojawiły, toby zapytała ojca. Mans Flinkier był mądrym człowiekiem, studiował Torę, spotykał się z innymi uczonymi Żydami, zawsze na wszystko miał odpowiedź.

O to jednak Sara by ojca nie zapytała. Generalny gubernator wydał zarządzenie o pracy przymusowej dla Żydów. Każdy musiał być gdzieś przypisany albo będzie musiał pracować we wskazanym miejscu, wiadomo, że w złych warunkach, podobno bez wynagrodzenia. Co w tej wiadomości może być dobrego?

Ojciec bał się przede wszystkim o swoje najstarsze dziecko, czyli syna Dawida, który do tej pory pomagał przy prowadzeniu Madery. Na początku września jednak wakacyjni goście wyjechali, a ci nowi, co się zapowiadali,

nie przyjechali. Nie wiadomo, co będzie. Nie wiadomo, ile ta wojna potrwa. Jest nadzieja, że krótko, mówili ludzie w Otwocku, przecież po pierwszej wojnie Europa musiała zmądrzeć, poza tym państwa sąsiedzkie obiecały pomoc.

Mans Flinkier nie był jednak zbyt optymistą. Prowadzenie interesów nauczyło go, że w życiu trzeba być przygotowanym na najgorsze, a potem można się przyjemnie rozczarować, że się nie spełniło. Wojna jednak wykraczała poza wyobrażane wcześniej „najgorsze”. Teraz Mans Flinkier nie dość, że musiał myśleć nad nowym interesem, z którego będą odpowiednie pieniądze, to jeszcze musiał zapewnić bezpieczeństwo swojej rodzinie. Wieczorem rozmawiał z Rutą ściszonymi głosami. Sara wyłapała wśród tych cicho wypowiedzianych słów „skład opału”. Ojciec zawsze miał dobre pomysły – najpierw, żeby wyjechać z Warszawy i zainwestować w pensjonat w Otwocku, gdzie balsamiczne powietrze od bujnych sosen, dobry klimat dzięki suchym piaskom i rzeka, nad którą można spacerować i w której można się kąpać. Wspaniałe uzdrowisko a do tego tak blisko Warszawy. Wiadomo, że prowadzenie pensjonatu to trudna praca, ale opłacalna i przewidywalna. I tak było do tej pory. Kto by jednak przewidział wojnę...? Ale ogrzewać domy trzeba zawsze, nawet podczas wojny.

Sara usłyszała także swoje imię. A potem słowo „mąż”. Nic więcej jednak; tyle tylko, że głos ojca był lekko podenerwowany, a mamy – łagodny.

Sara myślała o tym wszystkim, idąc do Marii. Było już po piątej, o tej porze sąsiadka powinna być w domu, po pracy. Od tamtego razu, gdy Maria przyszła do nich po doktora Górskiego, tylko przelotnie rozmawiały na ulicy. Te rozmowy, jak pewnie u wszystkich w tym czasie, były podobne i z podobnego zestawu słów się składały: „okropnie”, „strach”, „wojna”, „lęk”, „nie do wiary”, „co będzie?”, „Niemcy”, „podobno”, „słyszałam”. Nijak się nie dało w te zdania wpleść dwóch kolejnych wyrazów: „Jan Górski”. Sara, wbrew wszystkiemu, co na zewnątrz, w środku wciąż czuła to samo pragnienie – spotkać się z tym mężczyzną, spędzać czas w jego towarzystwie. Maria, przez fakt, że pracowała w tym samym miejscu, co doktor, widywała go każdego dnia, rozmawiała z nim, przyciągała Sarę jak magnes. Była taką jakby pośredniczką. I choć Sara nie pytała jej o Jana Górskiego, to spotkania z Marią były jakąś rekompensatą za niespotkania z nim.

Czy to możliwe, żeby podczas wojny tak się dać omotać miłości? A może właśnie podczas wojny ludzie potrzebują jej jeszcze bardziej?

Co ciekawe, Sara nie zastanawiała się nad tym, czy Jan Górski odwzajemnia to jej zauroczenie. Była pewna, że tak. Skąd? Tego wyjaśnić nie potrafiła. Tu namysł przynosił odwrotny niż w takich razach skutek – im więcej myśli i czasu poświęcała temu pytaniu, tym bardziej gubiła się w odpowiedziach. To było coś takiego, co się wymykało rozumowi.

Miłość. Czy jej rodzice się nie kochali? Chyba się kochali. Mieli dzieci, siadali razem do stołu, rozmawiali ze sobą. Byli dla siebie dobrzy. Co prawda, połączył ich *szadchen*, czyli swat, ale potem był *ankuk*, czyli oględziny, a wtedy młodzi mogą odrzucić ofertę i poszukiwanie męża i żony zaczyna się od początku. Nie zrobili tego jednak. Czy dlatego, że poczuli coś takiego, co teraz czuje Sara? Nie, chyba nie. Sara nigdy nie widziała w ich oczach takiego błysku, jak u Jana Górskiego. Przypomniał się jej ten późnosierpniowy dzień w lesie nad Świdrem – kiedy było tak błękitne niebo i tak żółte, palące słońce. To było spojrzenie Jana i jej spojrzenie. A potem widok, gdy chmury lekko przykryły te jasne kolory. Wtedy wciąż było ciepło, wciąż jasno, ale tak spokojnie. Można było patrzeć, nie trzeba było mrużyć oczu.

Rodzice tak na siebie patrzyli – spokojnie i ciepło.

Ona, Sara, nawet gdy myślała o Janie Górskim, to przymykała powieki, taki to był blask.

Kiedy była już bardzo blisko domu państwa Ziębińskich, wydało jej się, że na podwórku widzi Marię. Minęła więc wejście od frontu i przez bramę, po piaszczystym wjeździe, weszła na teren posesji. Tak, to była Maria. Trzepała mały chodniczek, pewnie ze swojego pokoju. Zauważyła Sarę.

– Dzień dobry! – krzyknęła w jej stronę. – Ty do mnie?

Sara pokiwała głową. Maria była od niej starsza, ale chyba niedużo. Może trzy, a może pięć lat. Była jednak zupełnie inna – i z wyglądu, i z zachowania. Miała bujną urodę: krągłe biodra, równie krągłe piersi, a pomiędzy nimi wyraźnie zaznaczoną talię. Blond włosy zawijała w fale, które wyglądały jak muszle ślimaków równo ułożone na piasku. Była tak różna od Sary – smagłej, smukłej, ciemnookiej, ciemnowłosej. Sara czuła się przy niej trochę niepewnie, ale lubiła ją. Maria była zawsze uśmiechnięta, taka pewna siebie, potrafiła zażartować, zagadnąć, i to nie tylko kobiety, lecz także mężczyzn. Miała to wszystko, czego Sarze brakowało. Kiedy przed kilkoma miesiącami zamieszkała u Ziębińskich, Sara po prostu się jej przyglądała, zainteresowana nową lokatorką na ich ulicy. To Maria, mimo że gość, pierwsza się do niej

odezwała. A potem zawsze przystawała, gdy się spotykały – tu albo gdzie indziej w mieście. Sarze imponowało, że taka obyta i śmiała dziewczyna poświęca jej czas. Ciekawe, co ciągnęło Marię do Sary?

– To co cię sprowadza? – zapytała tamta, opierając się o balustradę.

Zanim Sara zdążyła odpowiedzieć, Maria się wzdrygnęła:

– Zimno. Póki trzepałam, to nie czułam tego wiatru. Wejźmy do środka.

Weszły. Na korytarzu spotkały Zamłyńskiego. Wyglądał już zdrowo, widać leczenie doktora Górskiego było skuteczne. Przywitał się z nimi grzecznym „dzień dobry” i jakby się zawahał, czy przystanąć na jakąś pogawędkę, ale Maria go wyminęła, więc Sara poszła za nią.

Nigdy wcześniej nie była u Marii. Pokój okazał się nieduży, ale całkiem przytulny. Taki jak kwatery w otwockich pensjonatach, może trochę więcej było tu różnego rodzaju drobiazgu: a to zdjęcie w ramce, chyba mamy, bo kobieta była podobna do Marii, też utrefiona i umalowana, kalendarz na ścianie, jakieś puzderka na stoliku, flakonik perfum. W pokoju w ogóle tak ładnie pachniało, inaczej niż u Sary, gdzie przede wszystkim przebijał zapach korzennych przypraw z kuchni.

– Siądźmy. Albo ty usiądź, a ja nastawię wodę na herbatę. Teraz dopiero czuję, jaka jestem zmęczona. – I wyszła.

Sara raz jeszcze się rozejrzała po pokoju. Niby u obcych, kątem, ale Maria była u siebie. Pracowała, zarabiała. To było zupełnie inne życie. U niej w domu była tradycja, żeby rodzina trzymała się razem, zawsze. I w interesach, i w innych sprawach. To dlatego świat wydawał się Sarze obcy, trochę niepokojący. Ale też ją wołał – zwłaszcza gdy miał twarz Jana.

Deski na korytarzu skrzypnęły i Maria wróciła do pokoju. Na tacy miała porcelanowy czajnik i dwie filiżanki. Na talerzyku obok coś, co wyglądało jak grzanki, ale było dziwnie poskręcane. I miseczkę marmolady.

– Pani Ziębińska właśnie gotowała wodę, więc szybko poszło. A to taki poczęstunek, wojenny. Chleb krojony na paski i opiekany w piecu. W sierpniu dostałybyśmy do tego miód. Dziś – tylko to. – Uśmiechnęła się.

Sara pomyślała, że Maria jest optymistką. I że potrafi się godzić z tym, co los jej daje albo raczej – czego jej nie daje. Maria musiała czytać jej w myślach, bo dodała:

– Okropny czas. Nie wiadomo, jak długo to potrwa. Nastroje w zakładzie są

paskudne, zwłaszcza że was to bardziej dotyka... – Zatrzymała się na chwilę, jakby się zastanawiając, czy jest taktowna. Po chwili jednak ciągnęła: – Słyszałam o tym biednym zastrzelonym Żydzie, co szedł z synem się modlić... I o tych obcinanych brodach też słyszałam. I że musicie się Niemcom kłaniać.

Maria nie była złośliwa ani nieprzyjemna, ale to, o czym opowiadała, było straszne. Sara poczuła się gorsza. Znowu.

Maria zaś, ponownie czytając w niej jak w otwartej księdze, zapytała:

– Gdybym mogła ci jakoś pomóc, coś zrobić? – Zawiesiła spojrzenie na Sarze.

– Właściwie to przyszłam tu w takiej sprawie. Kilka tygodni temu powiedziałaś, że w Zofiówce przybywa pacjentów, że rąk do pracy potrzeba. Ja nie mam odpowiednich kursów, skończyłam tylko Bet Jakow, znaczy: naszą szkołę, ale dużo potrafię, a jeszcze chętniej będę się uczyć. I gdyby była możliwość... Bo to teraz jeszcze ważniejsze niż wcześniej, to znaczy...

– Sara nie potrafiła się zwierzyć Marii ze swojego zauroczenia Janem Górskim. To jednak było zbyt intymne.

– Wiem, znaczy, że musicie mieć papiery. Gdybyś była chłopcem, pewnie byłoby trudno, ale kobiecych rąk do pracy potrzeba. Chodź ze mną jutro, to porozmawiasz z panem dyrektorem. – Maria jednak usłyszała w tej wypowiedzi co innego.

Sara odetchnęła. Dobrze, że się nie wyrwała z tym doktorem. Wyszłaby na pustą panienkę, która w obliczu prawdziwych problemów ma fiu-bździu w głowie.

Do końca pobytu u Marii Sara przysłuchiwała się jej opowieściom o codzienności w zakładzie. Nie wszystko brzmiało zachęcająco, właściwie to tej zachęty było niewiele, zwłaszcza gdy Maria opowiadała o najciężej chorych, którzy nie utrzymują kontaktu nie tylko ze światem zewnętrznym, lecz także ze sobą – nie potrafią nawet własnych potrzeb zabezpieczyć i się zanieczyszczają, Sara miała jednak inną, dużo silniejszą motywację, by pracować w tym miejscu.

Gdy wychodziła z domu państwa Ziębińskich, była zaróżowiona z emocji. Czuła, że niedługo zacznie się coś nowego, coś ekscytującego. Tak się zamyśliła, że wpadła na tego studenta, Zamłyńskiego.

– Przepraszam! – Obdarzyła go najpiękniejszym uśmiechem, jaki miała.

Była pełna nadziei.

* * *

Własny ogród warzywny, obora z krowami oraz ptactwem domowym. Między pawilonami alejki pełne kwiatów i drzew. Zadbane budynki i zadbani pacjenci. Piękny las. Towarzystwo Opieki nad Ubogimi, Nerwowo i Umysłowo Chorymi Żydami naprawdę dobrze gospodarowało Zofiówką, a to wszystko przy wkładzie własnym, bo znaczna część pacjentów była leczona bezpłatnie, tylko nieliczne bogatsze rodziny wpłacały datki.

Maria oprowadzała Sarę po terenie Zofiówki. Minęły właśnie mężczyzn, którzy pchali taczki po wąskiej desce.

– Pracują przy wyrobie cegieł z piasku i cementu, przed ich wypaleniem – objaśniła Maria.

Poranna rozmowa z dyrektorem Millerem była bardzo miła. Jedyny mniej przyjemny jej punkt dotyczył pytania o rodzinę i zapatrywań rodziców na pracę Sary tutaj. A te były niezmiennie. Trudno zresztą, żeby były inne, rodzina Flinkierów zawsze żyła zgodnie z tradycją. „Lublinerowi niepotrzebna żona, która co rano wychodzi do pracy. I to do takiego miejsca, gdzie tyle nieszczęścia. Przecież on, jako mąż, jak każe religia, zapewniłby ci mieszkanie, utrzymanie i opiekę. I waszym dzieciom. Pomagałabyś tylko w rodzinnym interesie, a to zupełnie co innego. Wasi synowie dziedziczyliby po nim majątek, wasze córki mogłyby mieszkać z wami do swojego zamążpójścia. Toby było takie dobre życie!” Sara tłumaczyła, znowu i znowu, że nie chce iść za Lublinera, a więc musi mieć pracę. Podobno już kilka młodych dziewcząt zabrano na roboty. Zofiówka zaś to miejsce ze szlachetną misją, przygarniające chorych, samotnych, niezrozumianych. I że to całkiem blisko, poza tym może chodzić tam z Marią. To jednak chyba nie był odpowiedni argument, bo ojciec się wzdrygnął, choć właściwie nie wiadomo, czy na Marię, czy na tę pracę, czy na upór w sprawie ślubu. Stańło na tym, że ojciec będzie szukał dla Sary innego kandydata. Tym razem ona się wzdrygnęła. Kilka miesięcy temu byłaby zainteresowana, zaciekawiona. A teraz... Teraz chodziła po terenie Zofiówki razem z Marią i oglądała różne wcielenia ludzkiej niedoli, która jednak nie wydawała się aż tak dojmująca, skoro gdzieś tu, nad tymi nieszczęśnikami, czuwał on, Jan Górski.

– To i od strycharza wymagałoby uwagi – opowiadała dalej Maria. – Więc widzisz, że myśl jakaś musi im składnie towarzyszyć, inaczej by nie byli w stanie pracować.

– A wszyscy tu pracują? – Sara знаła założenia Zofiówki, bo zaznajomił ją z nimi dyrektor Miller. „Karby porządku i ładu, pacjentów należy wprząc w jakąś więź solidarności, w jakiś rytm socjalny. Praca, przede wszystkim praca zespołowa, to podstawa, bo ona zmniejsza bezsensowność dnia, ona wydobywa z człowieka te pojedyncze, żywe jeszcze ziarna ładu i czerwone maki zapomnienia. Praca ich przenosi na jasną stronę życia”. Bardzo ładnie to brzmiało. Tak pozytywistycznie i pozytywnie.

– Prawie. – Maria obróciła się i wskazała ręką na położony najdalej od centralnego placu pawilon. – Teraz jest tu ponad trzystu pacjentów, a jeszcze niedawno było o stu mniej. Przeludnienie, zresztą sama się niebawem przekonasz... W tym budynku jest grupa około pięćdziesięciu mężczyzn. To ci, którym droga do świata na zawsze zamknięta. Oni są chorzy nieuleczalnie, to istna bieda w ludzkiej skórze. Twarze przestraszone, jakieś miny groźne, grymasy. Sylwetki rachityczne, hałasy i krzyki. Niektórzy bywają agresywni. No, ale ty tam chodzić na razie nie będziesz, bo na początek zaczniesz w pawilonie kobiecym.

– A wśród kobiet nie ma nieuleczalnie chorych? – Sara się ucieszyła, że oglądanie najgorszej ludzkiej niedoli zostanie jej, przynajmniej czasowo, oszczędzone.

– A widzisz, inaczej to jest na kobiecych blokach zorganizowane. Bo są i takie pacjentki, które do tworzenia, choćby najprostszych wykrojów, się nie nadają. One potrafią tylko psuć, szarpać, rwać. Więc się je sadza za długim stołem i daje jakieś gałgany do skubania. Dopiero jak zapytałaś, to się nad tym zamyśliłam, wcześniej jakoś nie. Może to jest tak, że kobieta zawsze musi mieć czymś ręce zajęte, pracą jakąś, choćby i taką?

Sara przytaknęła. U niej w domu też tak było. Matka wiecznie zakrzątana, zawsze z czymś w ręku. Widać te zasady obowiązują stale, nawet w takim miejscu. Nagle dostrzegła przy drzewie kobietę, która oparła się o pień i obracała tułowiem to w prawo, to w lewo, jak wahadło.

– Zautomatyzowanie ruchów. Niektórzy tak potrafią godzinami. Wielu takich tu zobaczysz. O, ta na przykład też. – Maria pokazała na inną kobietę, siedzącą na ławce. – Wciąż zakrywa policzki, raz lewy, raz prawy. Kolejna tylko leży w łóżku, ciągle listy pisze. Właściwie to ten sam list. Do

ukochanego Józka. Każdy ma taką samą treść, każdy przez okno wyrzuca i tylko pyta, czy poczta była i czy odpowiedź od Józia jest. Nie sposób dociec, co się z tym Józkiem stało ani czy w ogóle kiedyś był. Widzisz więc, że bywają tu i złejsze przypadki, nie ma się co obawiać.

Sara poczuła nieprzyjemny dreszcz na plecach. Wyobraziła sobie tę nieszczęsną kobietę, może odrzuconą, a może cierpiącą z powodu straty. W każdym razie nieszczęśliwą, bo niespełnioną w miłości. Wcale nie wydało się jej to złejsze czy lepsze niż te pocierania policzków, przestępywanie z nogi na nogę, nienaturalne, nieschodzące z twarzy uśmiechy czy nawet niezrozumiałe pokiwanie.

– A ty masz jakiegoś chłopca? – Zebrała się na odwagę i zapytała, jakby chciała sprawdzić, co Maria wie o miłości. Na pewno więcej niż Sara – z racji wieku, wyglądu, pochodzenia, pracy. Ale ciekawe, czy wie, że miłość może tak opętać, jak tę kobietę od listów. Nagle Sara się przestraszyła, że ją też tak może omamić, zagarnąć, że jeśli Jan...

– Ja? – Maria się uśmiechnęła, a w jej pełnej twarzy odcisnęły się dwa dołeczki. Bardzo ładnie się uśmiechała tymi uszminkowanymi ustami, jak z plakatu filmowego. – Nie narzekam, są różni chłopcy, którzy by chcieli w konkury uderzać. Ale to... to chłopcy. Nic poważnego. Na poważnie to tylko odpowiedni mężczyzna. Rozumiesz?

Sara się spieszyła. Maria tak prosto o tym powiedziała, tak bez rumieńca. Sara jednak rozumiała, czuła tę różnicę. Jan Górski nie był chłopcem, był mężczyzną. A fakt, że Maria tak otwarcie mówiła, niósł otuchę – więc Sara, z tymi swoimi pędzącymi myślami, z tymi przecuciami i pragnieniami, nie jest na świecie sama. Maria również tak czuje. Dobrze będzie mieć taką starszą, mądrzejszą, bardziej obytą przyjaciółkę. Spojrzała na nią i pokiwała głową.

Maria się uśmiechnęła. Ona z kolei polubiła w Sarze właśnie tę niewinność, świeżość, uczciwość. Przy niej czuła się trochę jak nauczycielka, która wprowadza swoją uczennicę w dorosłość. To daje człowiekowi poczucie, że jest potrzebny i dobry, takie zadowolenie ze swojego zachowania. W zakładzie pracowało dużo kobiet, ale do żadnej Maria się nie zbliżyła. Owszem, kolegowały się, trochę plotkowały, ale nic ponad to. Może dlatego, że były starsze i miały własne rodziny i mało czasu na przyjaźń. A może dlatego, że były samodzielne, jak Maria, i nie potrzebowały takiej opiekuńczości, więc i na wdzięczność z ich strony nie mogłyby liczyć.

Tak czy owak, dobrze, że na siebie trafiły.

Maria ścisnęła Sarę za rękę. To było jak przypieczętowanie przyszłej przyjaźni.

Rozdział szósty



– Nie mogę dziś, kochanie. Tak mi przykro, naprawdę. – Głos Marcina był smutny i zmęczony.

Ance też zrobiło się przykro. Specjalnie się przygotowała na ich dzisiejszą randkę – rano, przed pracą, była u fryzjera. Miała teraz taką efektowną fryzurę – misternie spleciony warkocz, który wyglądał, jakby był zrobiony od niechcienia. Bardzo artystyczny nieład na jej brązowych roztrzepanych włosach. Włożyła nową sukienkę, w której jeszcze jej nie widział, kopertową, ciemnoczerwoną, niezwykle ładną. Tak ładną, że na pewno zaraz chciałby ją z niej zdjąć. Bo mieli iść na kolację, w jakieś miłe miejsce na świeżym powietrzu, gdy upał już zelżeje, niebo zrobi się ciemnoniebieskie i będzie romantycznie, a oni będą rozmawiać o sobie, znowu zdobywając nowe informacje i dokładając je do tych, z których już zbudowali jasny i pociągający obraz siebie, a potem poszliby do niego, gdzie czekałaby ich wspólna kąpiel i chłodne prześcieradło, i... Rany, jak ona się uzależniła od niego i od tych chwil!

– Aniu, jesteś tam? – Głos Marcina przywrócił ją do rzeczywistości. –

Cholera, ja też się nastawiłem na dziś, bardzo się za tobą stęskniłem przez te dwa dni niewidzenia – dodał, żeby ją trochę rozbawić, ale w Ance już załągł się smutek. Naprawdę się zakochała i, jak każda zakochana, żyła od spotkania do spotkania z facetem swoich marzeń. Trochę także dlatego, że nie lubiła, gdy plany się zmieniały. Jeśli już na coś się nastawiła, to odebranie jej tego, mimo że przecież było tylko planem, czyli czymś wyobrażonym, a nie prawdziwym, wytrącało ją z równowagi. I, wreszcie, bo ta niechciana myśl też się do niej dobiła, zastanowiła się, czy to aby nie jest tylko wymówka. Może on po prostu nie ma ochoty się z nią spotkać? Może angażuje się mniej niż ona? Głupia, niedobra myśl. Nie miała przecież podstaw, żeby sobie tak mówić – Marcin na każdym kroku dawał jej odczuć, że kocha i tęskni. Więc dlaczego, skąd takie obawy...?

– Jestem – powiedziała, starając się, by zabrzmiało to pogodnie. – Po prostu czekałam na ten wieczór i teraz jest mi trochę smutno.

Oboje wiedzieli, że „trochę” jest niedoszacowane.

– Wiem, wszystko wiem. Jesteś dla mnie piekielnie ważna, ale teraz mam w pracy taki nawał... Widzisz, wdramy nowy projekt. Dużo od niego zależy – dla firmy oczywiście najbardziej, ale też dla mnie, dla Krzyśka i Tomka.

Anka już знаła kolegów Marcina z pracy, opowiadał jej o nich. Krzysiek był na takim samym stanowisku co Marcin, Tomek był ich szefem.

– Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to zyski będą... przyjemne. My też dostaniemy premię, ale nie kasa jest najważniejsza. Tomek ma szansę na zostanie szefem kilku działów, a wtedy zwolni się jego miejsce, które będzie wymagało obsadzenia i być może... – Zawiesił głos.

– Być może ty je zajmiesz – dokończył za niego Anka.

– Właśnie. Sam tego nie powiedziałem, żeby nie zapeszyć, ale szanse są spore. Bardzo bym chciał, to by było coś, naprawdę. Byłabyś dumna z takiego chłopaka, co?

Urobił ją tym. Bo fakt, byłaby dumna. Już teraz podziwiała, że udało mu się daleko zajść, że pracował w jednej z najlepszych firm konsultingowych w Warszawie. To był obcy dla niej świat, ale wiedziała, jakie reguły w nim rządzą – przyjmowali tam najlepszych. A jej chłopak starał się wspiąć jeszcze jeden szczebel wyżej na tej drabinie. Sama nie miała takich aspiracji, a właściwie to nie miała takich predyspozycji. Odpowiadało jej stanowisko,

które zajmowała. Szeregowe, bezpieczne, nienarazające jej na zbyt ni stres. Zresztą jakby miała prześcignąć Piranię, jak nazywała swoją szefową? A nawet gdyby ta poszybowała jeszcze wyżej, do zarządu, to wtedy Anka musiałaby się ścigać z Olą i Martą. Nie, to nie dla niej.

– Byłabym. Jestem i byłabym – zapewniła go.

– Wynagrodzę ci to dzisiejsze rozczarowanie. W każdy możliwy sposób. – Ściszył głos, a ją przeszył dreszcz. Co się z nią działo? Topiła się jak wosk. Och, chyba obniży temperaturę na klimatyzatorze. – Do piątku wieczorem jeszcze zasuwamy, ale w weekend... Coś wymyślę. Będzie pani zadowolona – wyszeptał jej do ucha, a ją zalała fala gorąca.

– Wszystko okej? Nic cię nie uczuliło? – zapytała Ola, przyglądając się jej podejrzliwie. – Może to skaza białkowa, moja siostrzenica tak ma. Zaczęło się od czerwonych plam na policzkach, a potem...

– Jej skaza to przystojny facet – prychnęła Marta.

Obie przyglądały się jej całkiem otwarcie, nawet nie udając, że są zajęte pracą.

– Tak? A widziałaś go? – Rozmawiały w taki sposób, jakby Anki nie było w pokoju. Ona zaś wyszeptała Marcinowi kilka słów na pożegnanie i odłożyła telefon.

– No nie, ale ta fryzura, sukienka, zagubienie Ani na zebraniach redakcji, rozmarzony wzrok, niedospanie... Za tym musi się kryć superfacet.

– Głupie jesteście – westchnęła teatralnie Anka.

Powiedziała dziewczynom o Marcinie, w końcu je lubiła, pracowały razem, spędzała z nimi osiem godzin każdego dnia. Dawkowała jednak szczegóły, zgodnie ze swoim niezapeszającym charakterem. Wszystko, czego nie wiedziały, same sobie dopowiadały.

– O, elokwentna obrona. – Pokiwała głową Ola.

– Jak na dziennikarkę przystało – zgodziła się Marta.

– Bo się naśmiewacie jak dzieci z przedszkola – odparowała Anka.

– O, jeśli chodzi o agresję rówieśniczą, to dzieci w wieku szkolnym są zdecydowanie bardziej perfidne niż przedszkolaki, czytałam o tym. – Ola prowadziła rubrykę poradnikową i zawsze rzetelnie sprawdzała wszystkie informacje.

– Dobra, niech ci będzie. Chodziło mi o to, że nie ma się z czego śmiać. – Anka ochłonęła. Czuła, że karmin już zszedł jej z policzków.

– Przecież to z sympatii – powiedziała Ola już całkiem serio.

Marta pokiwała twierdząco głową.

Anka też to wiedziała. Obie dziewczyny były naprawdę w porządku i obie lubiła.

– No wiem... Więc jest przystojny. Jest też miły, kulturalny i ma poczucie humoru. Oraz dużo pracy – odparła Anka.

– Korpo? – zapytała Marta ze znawstwem w głosie.

– Korpo. Konsulting i doradztwo – potwierdziła Anka.

– Uuuu, to ostrzej niż u nas – gwizdnęła Ola.

– Wszędzie ostrzej niż u nas. Pirania jest groźna na niby. W sumie to mamy ciepłe posadki. Żadnych większych stresów, rywalizacji, podkładania świń – stwierdziła Marta.

Teraz Anka pokiwała głową. Czasem marudziła na tę pracę, ale w gruncie rzeczy miała tu jak u Pana Boga za piecem. Jeśli ona pracowała w ciepłej izbie, to Marcin – na polu minowym, gdzie wiało i lało.

– To co, dziś się widzicie? – Marta obrzuciła ją znaczącym spojrzeniem.

Anka poprawiła ramiączko biustonosza. Wciąż się wysuwało spod materiału. Cóż, na dekolcie nie było go zbyt wiele...

– No nie, właśnie nie – westchnęła szczerze. – Mieliśmy, dlatego jestem... jestem przygotowana – zrobiła gest prezentujący sukienkę – ale coś mu wypadło w pracy. Projekt, od którego dużo zależy – obroty, sprzedaż, awans...

– Faceci są łasi na takie sprawy. – Ola odsunęła się od biurka i podjechała swoim krzesłem na kółkach bliżej Anki i Marty. Ich biurka były ze sobą zestawione, jej stało pod oknem. – Rywalizację mają we krwi.

– Pirania też ma – zauważyła Anka.

– Bo ma dużo testosteronu. Zobacz, jaka jest chuda żyła. Nie to co my. – Ola z lubością pogłaskała się po brzuchu. – Nas co innego w życiu prowadzi. Droga do domowego ogniska. Dmuchamy, chuchamy, utrzymujemy płomień. A oni muszą na polowanie i wrócić ze zwierzyną.

– To dość stereotypowe widzenie świata. – Anka próbowała zasiać w tej dyskusji ziarno niepewności. Nie lubiła takiego szufladkowania płci. W ogóle nie lubiła szufladkowania. Książki wyrobiły w niej przekonanie, że ludzie i ich natura są niezwykle skomplikowani, a próby wepchnięcia rzeczywistości w sztywne ramy zawsze są przekłamaniami.

– Owszem. Ale się sprawdza, to znaczy w takim społecznym wymiarze, bo społeczeństwa potrzebują zasad, żeby się nie mordować. – Marta poparła Olę. – I dzięki temu spokojnie sobie tu razem żyjemy. Wyobrażacie sobie, co by było, gdyby Piranię wywindowało jeszcze wyżej i przyszłaby tu do nas, mówiąc: „Złociutkie, konkursik”. Która by wygrała...? Nie byłoby już tak przyjemnie.

– W sumie... – Ola pokiwała głową.

– Ja bym nie chciała, po co mi to? – Anka była sceptyczna.

– Oj, nie wiadomo, co by się w tobie obudziło. – Marta skończyła psychologię, a w „Czasie Kobiet” zajmowała się związkami i relacjami. – Tyle wiemy o sobie, ile nas sprawdzono. Ale uspokoję was. Plotka z samej góry mówi, że do zarządu przyjdzie dziewczyna z „Naszego Świata”, szefowa działu kosmetyków.

– Ta młoda? Na niebotycznych szpilkach? Przecież ona ledwo co skończyła studia. – Ola była najstarsza z nich i teoretycznie mogłaby być matką tej, o której wspomniała Marta.

– To dyskryminacja ze względu na wiek. Starych nie można awansować, młodych też nie. – Marta mrugnęła okiem. Droczyła się z nią.

– Popieram. – Ance już się poprawił humor. Lubiała te dziewczyny. Były takie zwyczajne i zwyczajnie fajne. – Musi mieć inne zalety.

– A! To chyba wiem, co to za zalety. Ale on ma żonę. – Ola ściszyła głos.

– Sama mówiłaś, że faceci lubią polowania. Zwierzyna może być różna. – Marta też zaczęła szeptać.

Anka nie wytrzymała i parsknęła śmiechem. Ola i Marta do niej dołączyły. Ogarnęła je jakaś głupawka. Ola pewnie odreagowywała zmęczenie, jako pełnoetatowa dziennikarka i mama dwójki niedużych jeszcze dzieci, Marta – stres związany z opieką nad chorym tatą, a Anka – niedawny żal po zmienionych planach. Tak, bardzo je lubiła. Fajne dziewczyny, dobrze, że żadnej z nich nie przychodzi do głowy rywalizacja, wtedy wszystko by się

sypnęło.

* * *

– Cześć, babciu! – Anka powoli wracała do domu. W końcu miała wolne popołudnie, wieczór, noc... Puste mieszkanie jej nie nęciło, wolała część drogi powrotnej pokonać na piechotę, dlatego wysiadła trzy stacje metra wcześniej i teraz szła wąską alejką przez zielone tereny, będące dawniej dużym sadem. Pachniało obłądnie, miała wrażenie, że świat jest w tym miejscu trójkolorowy: zielono-niebiesko-żółty. Tylko trawa, drzewa, słońce i niebo.

– Cześć, Anulko! – Babcia odebrała szybko, więc pewnie była w domu i nie musiała wyłuskiwać telefonu z torebki. – Co porabiasz?

– Wracam z pracy. Spacerem, bo tak ładnie dokoła.

– I zdrowo. – Babcia jak zawsze była w dobrej formie. Szczupła, sprawna, dbała o kondycję.

– To też – zgodziła się Anka.

Kochała babcię. Zadzwoiła do niej, bo się za nią stęskniła. Babcia także ją kochała, co do tego nie miała wątpliwości, ale nie była taka ciepło-wylewna, jak babcie z reklam margaryny, które pieką ciasto i w międzyczasie tulą wnuki do ubrudzonego mąką fartucha. Nie, babcia była spokojną starszą panią, której miłość objawiała się w czynach: czytaniu Ani, gdy ta była mała, wspólnych pracach w ogrodzie podczas wakacji, paczkach z ładnymi, samodzielnie szytymi sukienkami, długich listach. Może to była kwestia charakteru, a może pokolenia. A pewnie jednego i drugiego. Zresztą Anka też nie była gejzerem emocji. Inaczej Sylwia, czyli jej mama. Łańcuszek genów był taką przeplatanką: zimno–gorąco–zimno... Anka była podobna do babci; mamę ogromnie kochała, ale to z babcią odczuwała wspólnotę dusz. Bywało, że w dzieciństwie, gdy spędzała czas w Suwałkach, babcia siedziała ze swoją książką w fotelu, a Anka ze swoją – na wersalce. Albo babcia krzątała się w kuchni, w ciszy, a Anka przy stoliku coś lepiła albo rysowała. Obie zanurzone w swoich światach. Lubiące być razem, ale nie muszące wciąż rozmawiać. „Jak wycięte z kart powieści”, śmiała się z nich mama. „Ania pewnie pójdzie na bibliotekoznawstwo”. Cóż, pomyliła się tylko trochę.

Anka chętnie by odwiedziła babcię w weekend, ale Marcin...

Babcia czytała w jej myślach, a przynajmniej w tej części o odwiedzinach.

– To jak kochanie, nie przyjechałabyś do nas na weekend? Jakiś czas temu mówiłaś...

„Cholera!” Ance się przypomniało, że rzeczywiście się zapowiadała na pierwszy weekend sierpnia, ale to było dawno temu. To znaczy kilka tygodni temu, ale przed Marcinem, czyli mentalnie w odległej przeszłości. Gdyby się z nim dziś spotkała, to może by się zdecydowała na weekend w Suwałkach. Skoro jednak przełożyli randkę na sobotę, to...

– Nie mogę, babciu. – Postanowiła być z babcią szczerą. Nie miała okazji powiedzieć jej o Marcinie, bo przez telefon jakoś niezręcznie, zresztą, co przyznała sama przed sobą ze skruchą, ciut babcię ostatnio zaniedbywała. Czy w ogóle do niej dzwoniła od czasu tej pierwszej randki na placu Zbawiciela...? – Wiesz, poznałam kogoś.

– Jakiegoś chłopca?

„Kochana, staromodna babcia”, Anka się wzruszyła.

– Można tak powiedzieć, bo teraz mężczyźni później dojrzewają. Ma trzydzieści osiem lat, nazywa się Marcin i... – Zawahała się, jak przedstawić sytuację. W końcu dokończyła: – To chyba coś poważnego.

– Zakochałaś się? – Głos babci chyba zadrżał.

Anka się zdumiała. Fakt, już dawno nie było mowy o żadnym chłopcu, bo zanim Anka zdążyła babci cokolwiek powiedzieć, jakkolwiek zaanonsować kogoś nowego, to sprawa już była nieaktualna. A wcześniej... Czy wcześniej babcia pytała ją o zakochanie? Nie potrafiła sobie przypomnieć.

– Wszystko w porządku? – odpowiedziała więc pytaniem na pytanie. Coś się musiało za tą zmianą kryć.

– Tak, kochanie, wszystko dobrze, nic się nie dzieje. Po prostu... jesteś moją jedyną wnuczką, myślę o tobie, chciałabym, żebyś była szczęśliwa. A to... to jest ważna sprawa. Przez telefon trudno rozmawiać, ale może rzeczywiście się zdecydujemy na przeprowadzkę i będziemy mieć do siebie bliżej. Dziadek ostatnio znowu zasłabł, ten dom i ogród to już chyba za dużo dla niego...

„No tak, teraz rozumiem”, Ankę oświeciło. Biedna babcia. Ona z dziadkiem mieszkali w Suwałkach, Anka i jej rodzice – w Warszawie. Od kilku lat

dziadkom coraz trudniej przychodziła samodzielność. Mama proponowała, by się przenieśli blisko nich, do mieszkania w bloku, ale oboje się opierali. „Nie chcę, tyle lat tu spędziliśmy, lubimy swój domek i ogród. Nie odnaleźlibyśmy się w dużym mieście”, mówiła babcia. Teraz, z powodu tej rozmowy o Marcinie, Anka pomyślała, że chodzi nie tylko o przeprowadzkę, lecz także o lęk o dziadka. Tyle lat przeżyli razem, więc świadomość, że dziadek choruje, że być może odejdzie pierwszy, a ona zostanie sama... „Biedna babcia”, pomyślała Anka. Spróbowała wyobrazić sobie siebie i Marcina za kilkadziesiąt lat. Co będzie ich wtedy łączyło? Jakiś cień dawnej namiętności? Przywiązanie? Przyzwyczajenie? Uświadomiła sobie, że niewiele wie o początkach miłości dziadków. W ich pokoleniu nie opowiadało się o intymnych sprawach, ale przecież oni, gdy byli młodzi, też na pewno przeżywali uniesienia serca. Nikt im nie zaaranżował tego małżeństwa – babcia podczas wojny straciła rodziców, taki smutny pokoleniowy los. Więc pewnie również do siebie dopadali i namiętnie się kochali – nieodmienne prawo pożądania. Ale co jeszcze było? Co ich ku sobie pchało? Nagle wydało się jej to ważne – żeby porozmawiać o tym, jak dziadkom i rodzicom udało się stworzyć trwałe, dobre związki, tak krok po kroku. Z dziadkami w ogóle nie prowadziła takich szczerych dyskusji, rodzice zwykle sprowadzali rozmowę do żartów. Podjęła decyzję.

– Babciu, w ten weekend nie mogę, ale w następny – chętnie. Co ty na to?

* * *

Wieczorem, w łóżku, patrzyła na firankę lekko poruszaną przez wiatr. Do tej pory, przez kilka ostatnich tygodni, zasypiała z myślami kręcącymi się dokoła Marcina, jakby byli jedynymi rozbitkami na samotnej wyspie. Teraz zaczęła ich układać w myślach wśród innych osób: swoich rodziców, jego i jej dziadków. Znajomych, bliskich. I na osi czasu – kolejne pokolenie, od którego teraz zależy, czy geny i nazwiska pójdą dalej. Wyobraziła sobie siebie, jak odbiera telefon od swojej wnuczki. A obok niej siedzi Marcin. I ta wizja też była nęcąca. Nie tak, jak seks – gwałtownie, zachłannie, ale rozlewająca się miłym ciepłem dokoła serca.

Rozdział siódmy



Listopad 1939 roku

– Czy ja wyglądam na wariatkę? Człekowi nic nie wolno, odseparowali nas od ludzi i chcą, byśmy wyzdrowieli. Niech mnie pan ratuje, doktorze, pan jest inny, pan nie jest jednym z nich, pan to rozumie. Rozumie pan, prawda? – Kobieta w niebieskim uniformie, tutejszym „ubraniu służbowym”, wczepiła się w ramię doktora Górskiego. Maria podeszła, by ją odciągnąć, ale w tym niedużym ciele obudziła się jakaś niezwykła energia. Palce tej kobiety, jak szpony, wychudłe, długie, straceńczo wpijały się w ramię Jana. Maria starała się je rozgiąć, odczepić – na próżno.

Sara patrzyła na tę scenę w osłupieniu, nie potrafiła się ruszyć. Była w Zofiówce od kilku tygodni, ale wciąż jeszcze pracowała na „spokojniejszych” oddziałach. Umieszczone tam chore były jak melancholijne dzieci – trochę smutne, ale i trochę wesołe, spokojne, pogrążone we własnym świecie. Pomoc ze świata zewnętrznego, czyli od personelu zakładu, przyjmowały i nawet, w miarę możliwości, starały się

współpracować. Nie awanturowały się, nie uciekały, nie próbowały zmieniać swojego losu. Po raz pierwszy widziała taki jawny sprzeciw i choć uprzedzano ją, że to się może zdarzyć, nie była na taką scenę przygotowana.

Maria zaś była wzburzona. Ściągnęła usta w linijkę, zmarszczyła brwi, w jej ruchach była jakaś zapiekłość. Sarze wydawało się, że przyjaciółka próbuje ratować Jana. Że zamiast się skupić na tej biednej, obłąkanej kobiecie, która jest tu po to, by ją otoczyć opieką, Maria występuje w obronie doktora.

Jan zaś stał nieporuszony. Wysoki, dobrze zbudowany, ze dwa razy większy od tego wątego ciała w szpitalnym ubraniu. W końcu, jakby się przebudził z jakiegoś letargu, dał Marii znak ręką, że nie trzeba, żeby odstąpiła.

– Siostró Mario, proszę zostawić. My sobie z tym poradzimy – powiedział spokojnie. Spojrzał na Marię, spojrział na tę kobietę i wreszcie na Sarę. Której z nich dotyczyło to „my”? Sarze wydawało się, że jej. Bo przecież nie Marii i nie tej biedaczki.

– Ale doktorze, to wbrew... – Maria wybuchła. Poczzerwieniała, na jej czole perlił się pot.

– Siostró Mario, w trójce siostry potrzebowali, zapomniałem od razu przekazać. – To zdanie ucięło dyskusję. Jan Górski był bardzo miłym człowiekiem, powtarzały to wszystkie pielęgniarki, ale jednocześnie zawsze jasno mówił, jeśli się z czymś lub kimś nie zgadzał. Sara była świadkiem kilku takich rozmów doktora Jana z innymi lekarzami psychiatrami podczas obchodów i odpraw. Podziwiała go wtedy za spokojne, wyważone opinie. Sprawiał wrażenie bardzo poukładanego wewnątrz człowieka.

Maria się zawahała, chyba chciała coś jeszcze powiedzieć, ale już nie zaprotestowała. Obciągnęła fartuch, poprawiła czepek i wyszła, wcześniej jednak popatrzyła na Sarę jakby z wyrzutem, że ta jej nie wsparła. Tymczasem ona była nie tylko zdumiona tak gwałtownym wybuchem pacjentki, lecz także poruszona zachowaniem Jana. Wydało się jej takie ludzkie, dobre. Może nie medyczne, niezgodne z regulaminem, ale głęboko humanitarne. To drugie wcielenie Jana również bardzo się jej podobało.

– Nikt nie odseparował, przecież właśnie tu z panią jestem. I siostra Sara też jest. – Spojrzał na nią. Nazwał ją siostrą, mimo że dopiero się kształciła. – I jestem tutaj po to, żeby panią leczyć, prawda?

Chora niepewnie pokiwała głową. Jan mówił powoli i cicho, jego głos był

kojący.

– Podobno ma pani jakąś egzemę na dłoni, chciałbym zobaczyć. Mogę?

Pacjentka ponownie pokiwała głową. Jan zaprowadził ją do łóżka i usadził jak dziecko. Potem ujął jej dłoń i przez kilka minut wnikliwie ją oglądał.

– Zaradzimy coś na to. Po południu przyniosę z apteki maść. A teraz może mała tabletką na lepszy sen poobiedni? – Przemawiał do niej tak czule, że Sara przez chwilę pożałowała, że to nie ona siedzi w tej białej pościeli. Mówiłby tak do niej, trzymał jej dłoń w swojej dłoni...

Chora przyjęła tabletkę od doktora Górskiego, popiła ją wodą i położyła się. Doktor okrył ją kocem, a potem odwrócił się do Sary i szepnął:

– Chodźmy.

Wyszli na korytarz. Wydawało jej się, że ich wspólna droga się tu skończy, ale on zapytał:

– Nie miałyby pani ochoty na spacer?

– Ja... – Nie spodziewała się teraz takiej propozycji. Choć w myślach ćwiczyła podobną scenę, to gdy się zdarzyła, odebrało jej mowę.

– Możemy przyjąć, że to w ramach szkolenia pielęgniarzkiego. Taki mały wykład na świeżym powietrzu. A zatem – idziemy?

Sara przytaknęła. Serce jej waliło – z ekscytacji i ciekawości.

Poszli.

Park wyglądał wspaniale mimo późnej jesieni. Dęby, świerki, jałowce wielkie jak sosny i rozłożyste leszczyny – chyba nigdzie w Otwocku nie było tak okazałych drzew jak tu. Imponujący zakład – ponad trzydzieści morgów ziemi. I do tego stworzony przez kobietę. Nazwa pochodziła od imienia pani Endelmanowej, która przeznaczyła na zakup tej ziemi swoją biżuterię. To bardzo imponowało Sarze – wyzbyć się luksusu, zbytku, żeby zrobić coś szlachetnego.

– Wielu z naszych pacjentów odczuwa piękno, także piękno natury. Dlatego dyrektor ma plany, żeby w przyszłym roku było jeszcze więcej nowych nasadzeń. Tam, od ulicy, gdzie parkan, ma być wprost elewacja lasu sosnowego! – Popatrzył na Sarę podekscytowany. – Nie podoba się pani taka inwestycja w przyrodę? – zapytał, trochę zdziwiony jej brakiem entuzjazmu.

– Podoba, oczywiście – pospieszyła zapewnić. – Tyle tylko, że... Przed

chwilą, w tej sali, ta biedna kobieta krzyczała, że ją odseparowali od innych, że...

Położył jej delikatnie dłoń na ramieniu.

– Tego nie można przecież brać wprost, to imaginacje jej umysłu. Nasi pacjenci czasem sprawiają wrażenie, że z ich umysłami jest wszystko dobrze, ale to tylko złudzenie, któremu nie należy ulegać. Koledzy psychiatrzy, którzy sprawują pieczę nad dobrostanem umysłowym pacjentów, twierdzą, że...

– Wiem o tym. – Tym razem to Sara mu przerwała. Nagle wstąpiła w nią odwaga. Przecież to ważna kwestia. Bo nawet jeśli on ją lubi, jeśli ona mu się podoba, a mogłaby myśleć, że tak, bo zawsze posyła jej miły uśmiech, jego oczy zawsze na nią patrzą z błękitną przychylnością, a teraz zaprosił ją na spacer, to jest sprawa istotna. – Chodziło mi o to, że w jej słowach można by się czegoś innego doszukać. Że inny człowiek, zdrowy na umyśle i ciele, mógłby je do siebie dopasować. Na przykład ja. – Odwróciła się do niego bokiem, wystawiając w jego stronę rękaw palta, na którym miała opaskę z gwiazdą Dawida. Wszyscy Żydzi musieli je nosić, żeby od razu było widać, kto jest pochodzenia żydowskiego. – Ja też jestem odseparowana. Jeszcze na wolności, z innymi, ale... – Urwała.

– Ach – powiedział. I zamilkł.

„Więc tyle?“, pomyślała Sara. Tylko tyle? Wcześniej zapomniał, nie przeszkadzało mu to, a teraz, gdy tę gwiazdę widać z daleka, to mówi „ach”?! Zapieкло ją pod powiekami. Ależ była naiwna – Żydóweczka i Polak, jeszcze nie-pielęgniarka i pan doktor. Może ojciec ma rację z tą tradycją i z tym, że każdy ma swoje, przyporządkowane miejsce na świecie.

– Ja tego wcale nie widzę. – Patrzył na nią, nie odwracając wzroku. – Widzę piękną twarz, ciemne, głębokie spojrzenie, powabną figurę i troskliwe dłonie. Widzę Sarę Flinkierównę, tę samą młodą kobietę, którą zobaczyłem po raz pierwszy w połowie sierpnia i o której nie mogłem...

– Panie doktorze, szybko, w pawilonie czwartym wypadek! Ten nowy, wczoraj przywieziony, roztrzaskał kamieniem głowę jednemu z pacjentów! – Pielęgniarka, lekko otyła, nie najmłodsza, miała zadyszkę i rwany oddech. Przystanęła i ciężko łąpała powietrze.

– Biegnę – rzucił Górski. Spojrzał jeszcze raz na Sarę i szepnął, żeby tylko ona usłyszała: – Nie mogłem zapomnieć. Odprowadzę dziś panią do domu,

jeśli można.

Kiedy Sara odwieszała palto na haczyk, też nie zwróciła uwagi na opaskę, jakby jej tam nie było. Zniknęła, choćby na chwilę. Zresztą czuła się tak, że wcale nie potrzebowała tego palta – ogrzana nadzieją.

Rozdział ósmy



Lubiła przyjeżdżać do dziadków. To znaczy kiedy była mała, bo wtedy wydawało jej się, że mieszkają w najpiękniejszym miejscu na świecie, mają przytulny dom, jak szare pudełeczko z ceglanym dachem, otoczony magicznym ogrodem. Poza tym jeździli z nią na wycieczki, zabierali ją nad jezioro, nad tę szmaragdową wodę otoczoną najzieleńszym lasem, jaki kiedykolwiek widziała – w okolicach Suwałk przyroda jest piękna. No i cały swój czas poświęcali jej. W domu, to znaczy w Warszawie, było zupełnie inaczej. Mama i tata w pracy, ona na świetlicy. W grupie rozkrzyczanych dzieci, wciąż w tych samych salach, z tymi samymi klockami, lalkami i książkami, na tym samym placu zabaw. Powtarzalne były także obiady na stołówce, których nie lubiła, i lęk, czy rodzice na pewno ją odbiorą. Skąd się w niej brał? Przecież ją kochali, nazywali małą sarenką, bo takie miała śliczne oczy, była krucha i płocha. A mimo to, gdy zbliżała się szesnasta trzydzieści, czyli godzina wyznaczająca kres pracy świetliczanek, Anka tężała. Raz, jeden jedyny raz się zdarzyło, że mama się spóźniła o kwadrans. Tramwaj się wykoleił, w autobusach był taki ścisk, że nie udało się jej wsiąść, i stąd ta obsuwa. Ania siedziała wtedy na długiej drewnianej ławce ustawionej pod

ścianą i skubała rękaw koszuli. Była ostatnim nieodebrany dzieckiem. „Chyba zostaniesz tu sama na noc”, zażartowała sobie jedna z opiekunek. Może miało być niewinnie, może się nie zastanowiła, ale Anka tak się przeraziła, że niemal jej tchu zabrakło. Tu, na noc? Sama, po ciemku? A jeśli mama już nigdy po nią nie przyjdzie? Jeśli Ania na całe życie zostanie w tym okropnym miejscu? Mama ją oczywiście wyściskała, gdy już wpadła zdyszana i zdenerwowana. Przeprosiła świetliczanek, a potem pocałowała Anię. Mimo że podobna sytuacja nigdy więcej się nie powtórzyła, ten lęk w niej został. Zupełnie zniknął, gdy jechała do Suwałk. Tam czuła się dobrze, spokojnie, bezpiecznie. W ciągu roku szkolnego to nie były częste wyprawy, bo odległość jednak spora, a jakoś dróg pozostawiała wiele do życzenia. Za to podczas ferii i w wakacje Anka lądowała u dziadków. Rodzice zwykle tylko ją przywozili, a potem wracali do Warszawy, do swoich obowiązków. Mama była urzędniczką, tata – inżynierem. Dziadek zaś był kierownikiem zakładów przetwórstwa owocowo-warzywnego Hortus. Przynosił jej do picia gęste, przecierane soki w małych butelkach. Czasem zabierał ją do siebie, to znaczy do pokoiku na górze, skąd obserwowała halę produkcyjną – taśmy z owocami, wielkie kadzie, sunące sznury szklanych opakowań. Babcia zaś była domowa. Pracowała w bibliotece szkolnej, na pół etatu. Podczas przerw w nauce miała wolne. Anka była z nią mocniej związana, choć dziadka też bardzo kochała.

Dziadkowie chyba czuli się samotni, kiedy jej mama, to znaczy ich córka, wyjechała na studia do Warszawy i już została w stolicy. Więcej dzieci nie mieli, co w sumie było trochę dziwne, bo przecież wtedy dzieci „się po prostu miało”. Nie było kalkulacji, wyliczeń, odsuwania w czasie – to była naturalna kolej rzeczy. Może nie mogli? Może to też był powód, dla którego babcia była taka cicha, jakby trochę wycofana? Bo lubiła ciszę – w pracy, to oczywiste, bo to była biblioteka. W domu także: „Po co tak krzyżeć, Anulka?”, „Ciszej, kochanie, ciszej, tu nie hala targowa”. Z rodzicami było inaczej, oni byli weseli, rozmowni, towarzyscy. Mama nie wdała się w babcie, można nawet powiedzieć, że pod względem temperamentu była jej przeciwieństwem. Na studiach poznała tatę, wyszła za niego, dostała pracę, a potem urodziła Ankę. Wrosła w Warszawę. Dziadkowie nigdy wprost nie narzekali na tę rozłąkę, ale po prostu tacy już byli – mało wylewni, nieabsorbujący sobą i swoimi problemami innych. „Taka jest kolej rzeczy”, stwierdził kiedyś dziadek. Babcia pokiwała głową. Anka przez lata brała to za dobrą monetę. Najpierw po prostu nie dostrzegała tego problemu, bo była za mała, potem, mniej więcej w liceum, pobyty u dziadków przestały być tak

fajne, bo zaczął ją wciągać świat rówieśników, wyjazdy na obozy, pod namiot, pierwsze zakochania. Później przyszły studia i też nie było czasu, w natłoku nauki i uczelnianego życia towarzyskiego, a potem nastąpiła praca. Wtedy dorosła już Anka zaczęła zauważać osamotnienie dziadków, ale jakby miała mu zaradzić na odległość? Wreszcie pojawił się pomysł mamy z tą przeprowadzką, ale ponieważ się zbiegł z początkiem jej znajomości z Marcinem, to nawet nie wiedziała, na jakim etapie są ustalenia, bo chwilę później rodzice wybrali się na urlop.

Wreszcie dojechała do Suwałk. Znajoma nieduża ulica wysadzana lipami. Rząd podobnych domów jednorodzinnych. Jedne z szarym tynkiem, pamiętającym tużpowojenne czasy, inne odnowione. Dachy mniej lub bardziej błyszczące, schodki z betonu bądź obłożone terakotą, ale jeden element wszędzie się powtarzał – wszystkie budynki tonęły w zieleni.

Anka zaparkowała na ulicy. Dziadkowie kiedyś mieli garaż, ale dziadek przerobił go na pracownię, gdzie majsterkował, więc swój nieduży samochód zostawiali na podjeździe, zajmując go prawie całkowicie. Teraz podjazd był pusty, co trochę Ankę zdziwiło, bo przecież byli umówieni. Dziadka nie ma, ale babcia na pewno jest.

Anka pchnęła metalową furtkę, która otworzyła się bezgłośnie. Dziadek dbał o to, by nie skrzypiała. Dziadek zresztą dbał o wszystko. Weszła po betonowych schodach i nacisnęła dzwonek. Po chwili drewniane drzwi wymalowane brązową farbą olejną się otworzyły. Stała w nich babcia.

– Dzień dobry, Aniu! – Jej twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

Wydała się drobniejsza, bardziej krucha niż ostatnim razem. Na ciemnych włosach dostrzegła nowe srebrne pasma. Powodowana nagłym wzruszeniem, mocno uściskała babcie.

– Och! – Zaśmiała się starsza pani. – Chyba naprawdę się stęskniłaś, moje kości to czują.

– Przepraszam. – Anka ukradkiem starła łzę z policzka. Rzeczywiście, jakaś tęsknota ją dopadła. – Dawno się nie widziałyśmy.

– No to nadrobimy. Chodź, dziecińko.

Usiadły na tarasie obrośniętym z jednej strony winogronami, z drugiej – bluszczem. Między nimi o swoje miejsce walczył wiciokrzew. Wystawa była południowa, ale dzięki zarośniętej pnączami pergoli panowało tu przyjemne zacienienie. Na przykrytym ceratą stoliku stały porcelanowy czajnik

z herbatą, filiżanki i placek z rabarbarem. Poczula, jakby się przeniosła w przeszłość. Są takie miejsca, gdzie czas się zatrzymuje. Dom dziadków był jednym z nich.

– Na pewno nie chcesz jeszcze obiadu? Dziadek może zjeść później, sam. Widzisz, tak się umawiali z Kazikiem na te ryby, że już nie chciał przekładać. Zresztą wcześniej rano pojechali, niedługo powinien wrócić.

– Nie, na pewno, babciu. Ciasto w zupełności teraz wystarczy – zapewniła żarliwie Anka.

Babcia pokiwała głową. Odkroiła kawałek placka i podsunęła go wnuczce. Z czajniczka nalała herbaty.

– Ach, zapomniałam. Mam konfiturę z pigwy, świetna zamiast cytryny. Może ci przyniosę?

Anka chciała zaprzeczyć, żeby babci nie facygować, ale uwielbiała tę konfiturę, która nadawała herbacie słodko-kwaśny aromat. No a owoce były z własnego ogrodu. I jak tu odmówić?

– Chętnie – przytaknęła więc.

Babcia podniosła się z wiklinowego fotela i zniknęła w salonie.

Anka też wstała i podeszła do barierki. Ogród, zapamiętany jako troskliwie wypielęgnowany i magiczny, teraz wydał się jej bardziej zarośnięty, mniej zadbany. Czy to pamięć ją oszukiwała, czy widać było, że ogrodnik się starzeje...?

– Jestem już. – Usłyszała za plecami głos babci.

– Wydawało mi się, że w rogu – Anka wskazała ręką lewą stronę – rosła róża, która wspinała się na ogrodzenie. Miała taki piękny karminowy kolor...

– Rosła. – Babcia z przyjemnością ponownie siadła przy stoliku. – Ale w tym roku nie odbiła. Tyle lat u nas była... Ostatniej zimy było tak ciepło, że jej nie okryliśmy. A potem się gwałtownie ochłodziło, zaledwie kilka dni i nocy mrozu. Wystarczyło. Dziadek jej nie wykopał, bo ma nadzieję na jakiś ogrodniczy cud. Twierdzi, że w tym szkieleciku tli się jeszcze życie. – Babcia się uśmiechnęła.

– Może cud się wydarzy. Dziadek ma dobrą rękę do roślin – stwierdziła Anka.

Dziadek taki był, to prawda, ale co, jeśli w tym przypadku po prostu nie

chciało mu się wykopywać kłujących łydyg lub o tym zapomniał, co by znaczyło, że rzeczywiście starość go zagarnia...? „Trzeba będzie go o to delikatnie zapytać”, pomyślała Anka.

– To co u ciebie słyhać, kochanie? Wspominałaś przez telefon, że ktoś się pojawił... – Urwała babcia, dając do zrozumienia, że wie tylko tyle i to o wiele za mało, ale daje Ance wolną rękę w dzieleniu się informacjami.

– No tak... Pojawił się i ma na imię Marcin. Jest bardzo fajny. Zakochałam się w nim. A on we mnie. – Pach, pach, pach, Anka zaczęła od największych, choć jednocześnie najważniejszych ogólników. – Ma trzydzieści osiem lat, jest analitykiem w firmie konsultingowej, to znaczy zajmuje się doradztwem w sprawach finansowych, ważnych i trudnych, o których ani ja, ani ty nie mamy pojęcia.

Babcia się uśmiechnęła. Też nie była za pan brat z ekonomią.

– Jest bardzo przystojny. Można powiedzieć, że ma coś z dziadka, bo jest blondynem z niebieskimi oczami, więc pewnie by ci się spodobał, tyle tylko, że jest wysoki i ma sportową sylwetkę, inaczej niż dziadek. Lubi książki i teatr, zwierzęta i podróże. Jest z Warszawy, mieszka na Mokotowie. Ma ładny głos i potrafi śpiewać. To chyba tyle, tak z grubsza.

Do istotnych informacji zaliczało się także to, że jest fantastycznym kochankiem – czułym i pełnym inwencji, ale tego Anka nawet mamie, zdecydowanie bardziej wyluzowanej, by nie powiedziała.

– A jak się poznaliście? – zapytała babcia.

– Cóż... Przez portal. – Anka niby przeszła nad tym do porządku dziennego, a jednak się tłumaczyła z tego początku znajomości.

– Przez portal? – Babcia nie zrozumiała.

– Internetowy. Taka strona, miejsce, gdzie ludzie piszą o sobie po to, żeby się spotkać, tak wirtualnie, a potem umówić naprawdę. I albo coś z tego wyjdzie, albo nie.

– Takie anonse? – upewniła się babcia.

– Tak, można to tak nazwać. – Anka nie potrafiła ocenić, czy to babcie po prostu dziwi, czy może kryje się za tym jakaś ocena. – Dużo związków tak się teraz zaczyna. No bo gdzie kogoś poznać? Jeśli nie w pracy, a u mnie same kobiety, czyli odpada, to jak? Na ulicy? Przypadkiem? – Mówiła to, jakby się broniła, choć babcia przecież jej nie atakowała. – A ty jak poznałaś dziadka?

Nigdy nie opowiadałaś... – Wpatrzyła się w babcię.

Ta przez chwilę milczała. W końcu odpowiedziała:

– Właśnie na ulicy, przypadkiem.

„No tak”, pomyślała Anka. „Dobre miłości zaczynają się przypadkiem. Wszystkie dobre, romantyczne miłości ze starych książek mają taki początek... Jezu, znowu to samo”, zaraz się skarciła. „Znowu idę w tę krainę fikcji”.

– To chyba miałaś więcej szczęścia – powiedziała beztroskim, serdecznym tonem, na który jednak musiała się zdobyć. „Głupie uprzedzenia”, skarciła się w myślach. – Ja musiałam posiłkować się siecią. Ale mam nadzieję, że efekt będzie ten sam. To znaczy u mnie, bo wy z dziadkiem jesteście razem tyle lat. Tyle dobrych lat... Udało się wam.

Babci zaszklily się oczy.

„Jak ona go kocha”, Ankę coś ścisnęło w środku. Od czasu poznania Marcina zrobiła się bardziej wrażliwa, jakby teraz wreszcie pozwoliła sobie naprawdę przeżywać różne wzruszenia. Wcześniej była na nie zaimpregnowana, co chyba stanowiło rodzaj obrony – „Skoro w moim życiu uczuciowym brak poezji, to wolę jej nie dostrzegać gdzie indziej, żeby się – na niekorzyść – nie porównywać”. To oczywiście nie dotyczyło literatury – tam przeżywała, że hej, co z kolei było ucieczką. „Wychodzi na to, że byłam po prostu dziwolągiem”, Anka aż się uśmiechnęła do siebie po tej myśli. Od kiedy poznała Marcina, na wiele spraw zaczęła patrzeć inaczej.

– O, tu sobie siedzicie. Takie zatopione w rozmowie, że można by was wynieść. – Na tarasie pojawił się dziadek.

Rzeczywiście, nie usłyszały, że przyjechał.

– Tak wszystko naoliwiłeś, że nic w tym domu nie skrzypi. – Anka podeszła do niego i mocno go przytuliła. Pachniał jeziorem – wodą, tatarakiem. – Bez ryb? – Rozejrzała się dokoła.

– Bez. Taka była malizna, że z powrotem do wody szła. Kazio dwa większe okonie trafił, to zabrał. Mnie nie zależało, to dla rozrywki i relaksu, tak wędkę w wodzie pomoczyć i ze starym druhem porozmawiać. No to opowiadaj, co w wielkim świecie, Anulka.

– Po drugiej już, pójdę do kuchni wstawić ziemniaki. – Babcia podparła się ręką o blat stolika i podniosła.

- Może ci... – Anka i dziadek zaczęli równocześnie.
- Nie, staruszka daje radę. – Babcia się uśmiechnęła. – Porozmawiajcie sobie. Po obiedzie wylosujecie zapalną, kto będzie zmywał.
- To jak ci życie płynie, co, Anulka? – Dziadek powtórzył pytanie, gdy zostali sami.
- Dobrze. Nawet bardzo dobrze. Praca ta sama, rodzice ci sami...
- Nie chcieli przyjechać? – Dziadek wszedł jej w słowo.
- Nie ma ich. Są w Indiach.
- No tak! Mówili. Wariaci – taka podróż! Ale jeszcze nie wrócili? To jakoś długo mi się wydaje... – Dziadek zaczął coś obliczać w pamięci.
- Przeciągnęło im się. Piszą, że tam taniej niż na Mazowszu po sezonie, więc jeszcze dwa tygodnie pobędą. Teraz cały świat jest na wyciągnięcie ręki, dziadku.
- Młodość. – Uśmiechnął się dziadek.
- Raczej druga młodość – uściśliła Anka. – Mama już na emeryturze, tata ma całe tygodnie zaległego urlopu.
- Grunt, że dobrze im się żyje. No, a tobie, bo tak ci przerwałem?
- Też dobrze, dziadku. Opowiadałam babci, że... że się z kimś spotykam. Zakochałam się w bardzo fajnym facecie. I to chyba poważna sprawa. To znaczy poważna sprawa, bez chyba.
- Bardzo się cieszę! – Dziadek rzeczywiście wyglądał na uradowanego. – A to dobry człowiek?
- „Uroczy, staroświecki dziadek”. Anka się rozczuliła.
- Tak, myślę, że tak. Na ile zdążyłam go poznać, to wydaje mi się bardzo dobrym człowiekiem.
- Bo to ważne. Oczywiście, serce nie sługa, ale żeby z kimś całe życie przeżyć, to wiesz, musi być dobry w środku.
- Wiem, jak ty i babcia na przykład. I jeszcze najlepiej, żeby się romantycznie poznać... Nasz początek nie był taki jak u was, ale czasy się zmieniły. Poza tym jest super, czuję, że to jest właśnie to – powiedziała pełna entuzjazmu.
- Chyba trochę zaskoczyła dziadka tą szczerością, bo nic nie odparł. „No tak,

mężczyźni mają problem z mówieniem o uczuciach”, pomyślała. „A starsi mężczyźni to już zwłaszcza”.

– No... – Dziadek odchrząknął. – To wszystko bardzo dobrze brzmi. Nigdy bym ci tego nie powiedział, bo już jesteś dorosła i przecież najlepiej wiesz, co dla ciebie odpowiednie, ale czasem się z babcią martwiliśmy, że sama przez życie idziesz. W pojedynkę jest smutniej, gorzej. Ja wiem, że teraz ludzie inaczej żyją, inne są wzorce, ale mnie się wydaje, że bez drugiego obok to trudno. Jeśli kogoś takiego spotkałaś, to bardzo, ale to bardzo się cieszę. Mogę ci tylko doradzić, żebyście dbali o uczucie. Jak o rośliny.

– A, właśnie – Anka postanowiła wykorzystać sposobność – co z tą ładną różą? Tą na tyłach ogrodu. Wygląda jakby uschła...

– Pozornie tak. Ale ja mam przeczucie, że odżyje. I powiem ci, że nawet wczoraj, kiedy obok pielilem, to zauważyłem malutki zielony pęd. Wolno to idzie, ale czuję, że będzie dobrze.

– Ogrodnik musi być cierpliwy. – Anka była zadowolona z dwóch powodów: że dziadek nie cierpi z powodu sklerozy lub braku sił i że krzew nie usechł.

– Musi. Tak jak ten, kto dba o miłość.

Po południu, kiedy babcia robiła kawę, a dziadek uparł się pozmywać, a wcześniej chyba nawet oszukał podczas wyciągania zapalek, Anka poszła do ogrodu. Ukłękła na trawie, obok tego krzewu róży. Delikatnie rozgarnęła ziemię. Rzeczywiście – intensywnie zielony pęd odbijał z brązowej łodygi. Zamyśliła się. Był koniec sierpnia – czy ona by czekała tak długo, dając róży szansę, czy od razu na wiosnę by ją wykopała i wyrzuciła na kompostownik...?

Najwyraźniej miłość dziadków, choć podarowana im przez przypadek, trwała dzięki ich obopólnym staraniom. To sprawdzony przepis na długie szczęście.

Wyciągnęła telefon z kieszeni spodenek. Trzy SMS-y od Marcina, których nie przeczytała. Pierwszy był tęsknotą naskórkową. „Dziś ma być pełnia. Czuję to w kościach. I jeszcze gdzieś. Łóżko i ja wariujemy bez Ciebie”. Ona też poczuła. Drugi – podobną emocją napędzany: „Opalasz się? Co akurat wystawiasz do słońca?”. Starła się nie wystawiać, bo miała delikatną skórę. Ale trzeci, popołudniowy, był już bardziej nostalgiczny: „Znalazłem w łazience coś do demakijażu. Nigdy nie sądziłem, że plastikowy pojemnik

z płynem tak mnie wzruszy. Tęsknię, smutno mi bez Ciebie. Trzymaj kciuki za mecz!”.

Tak, ona również tęskniła. Zakochanie szumiało jej w głowie, pożądanie niżej, ale jednocześnie zdążyła się do Marcina przywiązać. W tym wieku człowiek inaczej myśli o związkach. To dobro, o którym mówił dziadek, jest istotne. A Marcin był dobry. Mecz, na który się wybierał, był imprezą charytatywną. Mówił o nim od kilku dni, naprawdę przejęty losem dzieci, które miały dostać finansowe wsparcie. I o dzieciach też mówił, że chciałby mieć, i to więcej niż jedno, bo on jest jedynakiem, a zawsze chciał mieć rodzeństwo. I tu byli zgodni. Pojedyncza Anka także czuła się w dzieciństwie samotna.

„Trzymam kciuki! Daj z siebie wszystko, cel wspaniały! Całuję mocno!”, napisała. Schowała telefon do kieszeni.

Spojrzała w kierunku tarasu. Dziadkowie stali przy barierce i patrzyli w jej stronę. Pomyślała, że wyglądają jak dwa pnie jednego drzewa – lekko pochyleni, blisko siebie, biali, nierozdzielni. Jak stara brzoza.

Anka zawsze bardzo lubiła brzozy.

Rozdział dziewiąty



Grudzień 1939 roku

Było pięknie, wprost bajkowo. W nocy znowu padał śnieg. Białe pierzyny przykryły konary sosen, ostre stożki jałowców, osiadły na rozłożystych gałęziach dębów. Najpiękniej wyglądała brzoza – królowa zimowego lasu, biel biła od niej jak od świętej. Śnieg całkowicie zasypał ulicę i chodnik, nigdzie nie było widać nawet skrawka czarnej ziemi. Szyby okienne zostały zmatowione mroźnymi wzorami, więc żeby oglądać ten obrazek, Sara musiała otworzyć okno i paznokciami wyskrobać kwadracik prześwitu.

– Ależ tu zimno! – Wzdrygnęła się matka, gdy weszła do jadalni. – Nie otwieraj okna, ojciec będzie się gniewał, że chłodzisz pokój. I jakie masz czerwone dłonie, jeszcze je odmrozisz!

– Nic nie było widać – próbowała się bronić Sara.

– Lepiej, że nie widać. – W pokoju pojawił się Mans Flinkier. – Od kilku miesięcy wolałbym żyć przy gęsto zasuniętych firankach, żeby nie widzieć

tego, co się dzieje. I taniej by było, bo cieplej. Zaraz trzeba będzie znowu dołożyć do pieca.

– Przecież mamy opał... – Sara brnęła w tę obronę, choć przecież zdawała sobie sprawę, że sytuacja robi się coraz gorsza. Nie była małą rozkapryszoną dziewczynką, która życzy sobie, by spełniać każdą jej zachciankę. Nigdy taka zresztą nie była. To znaczy nie mogłaby taka być, bo ani mama, ani tata by na to nie pozwolili, ale też ona nigdy nie miała takich zapędów. Zawsze skądś wiedziała, co jej wolno, a co nie. Co zostanie dobrze przyjęte, a za co będzie zganiona. Wszystkie zasady, którymi rządził się świat, miała wewnątrz poukładane, jakby się z nimi urodziła. Dopiero teraz zaczynała przekraczać obowiązujące granice, a impulsy, które ją do tego popychały, po prostu się pojawiały; przyjmowała je i ufała im. Tak, miała w środku jakąś busolę, która ją prowadziła przez życie. I teraz ta busola kierowała ją do Jana Górskiego i mówiła jej, że nie można się poddawać, że trzeba sobie zrobić choćby okienko na świat i nie dać się zamknąć jak w klatce albo pułapce.

– Mamy, prawda. Dużo opału. A wcale nie chcielibyśmy go mieć, bo chcielibyśmy, żeby się sprzedawał, z czego mielibyśmy pieniądze. Choć zaraz i tak ich mieć nie będziemy, bo trzeba płacić. Sto tysięcy złotych w taki czas! Kto wytrzyma taką kontrybucję? Z czego brać? Z tego interesu, którego ludzie potrzebują, ale ich nie stać, więc w paltach siedzą w domu albo starymi deskami czy chrustem palą? Z gości, którzy nie przyjeżdżają, i w pensjonacie pusto? I jak w ogóle prowadzić interesy, kiedy Niemcy je przejmują? Biada, nam, biada! – Mans Flinkier chodził nerwowo po pokoju, w końcu zatrzymał się przy ścianie i oparł się o nią czołem i dłońmi. Jego ramiona lekko się poruszały; bezgłośnie szlochał. Cóż to był za bolesny widok! Kiedy ojciec płacze, to znaczy, że jest źle, naprawdę źle. I jeszcze te pieniądze – zarząd miasta, na polecenie starosty powiatu warszawskiego, miał ściągnąć z otwockich Żydów ogromną kwotę. Czas – do dwudziestego grudnia.

Ruta podeszła do męża, położyła mu dłoń na plecach i na moment zastygła w takiej pozycji. Potem poszła do kuchni, skąd niedługo później doleciał zapach cebuli. Ostatnio często jedli cebularze, proste danie z prostych składników. Im trudniejsza była sytuacja na zewnątrz, tym prostsza była ich egzystencja.

Sara tak bardzo się cieszyła, że ma Jana Górskiego. To znaczy, że ma w nim... to jeszcze nie do końca było jasne, kim oni dla siebie są, ale na pewno zaczynała ich łączyć silna nić sympatii. Nie mieli w pracy zbyt wiele wolnego czasu, właściwie to nie mieli go wcale, bo Zofiówka miała

niezwyczajne obłożenie. Trafiło tu kilkudziesięciu nadprogramowych pacjentów, a zanosilo się, że będzie ich jeszcze więcej, bo ich zakład miał być jedyną tego typu placówką w całej Guberni. To wydawało się niemożliwe, ale Sara już się nauczyła, że słowo „niemożliwe” traci swoją moc. A może odwrotnie – zyskuje moc? Bo to, o czym wczoraj się tak mówiło, dziś się działo. To co będzie jutro?

Jan Górski też się właściwie wpisywał w to „niemożliwe”. Taki przystojny, mądry i dobry mężczyzna, który mógłby wybrać podobną sobie młodą kobietę, a adorował Sarę... Może nie tak ostentacyjnie i przy wszystkich, ale to było dla Sary cenniejsze. Nie umiałyby się zachować, gdyby on był inny, na przykład taki jak Zygmunt, palacz z kotłowni, który przychodził do Marii. Śmiali się wtedy, on się do niej nachylał, ona go odtrącała, ale widać, że ją to zainteresowanie cieszyło. Zresztą nie tylko Zygmunt był Marią zainteresowany. Ona była po prostu atrakcyjną, młodą kobietą, pełną życia. Widać jednak odpowiednio wychowaną, bo z żadnym z tych absztyfikantów się nie wiązała.

Sara pomyślała, że mimo wszystko ma w życiu dużo szczęścia, że poznała taką dwójkę, jak Maria i Jan. Miała nadzieję, że kiedy wojna się skończy, ich losy dalej się będą splatały – będzie przyjaciółką Marii i... Nie tego nie wypowie, nawet po cichu, żeby nie zapeszyć.

* * *

– Smutno jakoś bez choinki. Tak nieprzytulnie, jakby wcale świąt nie było. – Maria oparła się dłońmi o parapet i spoglądała przez okno na wszechobecną biel. Stały z Sarą na korytarzu pawilonu drugiego. Pacjentki jadły obiad, one miały chwilę oddechu. Sara już coraz sprawniej radziła sobie w pracy, coraz więcej obowiązków, takich *stricte* pielęgniarskich, dostawała. Zresztą taka była potrzeba chwili, bo stosunek między napływającymi pacjentami a możliwościami finansowymi ośrodka był odwrotnie proporcjonalny. – Dlaczego właściwie nie możecie mieć choinki? To taki ładny zwyczaj... – Maria odwróciła się do Sary. Bardzo ładnie wyglądała. Nawet strój służbowy nie odbierał jej sylwetce kobiecości.

– Bo na pustyni nie było choinek. – Uśmiechnęła się Sara. – Jezus urodził się w ciepłym miejscu, wśród owiec i kóz.

– No tak, to prawda. – Maria niby przytaknęła, ale także jakby trochę się zdziwiła. – No ale jednak jest taka tradycja, żeby choć gałązkę zieloną przystroić. Dla klimatu, dla zapachu. Och, tęskno za tym.

– A ty jedziesz na święta do domu? Dostaniesz dni wolne? – Sara nie tęskniła za tym, o czym mówiła Maria, bo tego nie знаła. W jej domu obchodzono inne święta.

– Mówiłam o tym z dyrektorem Millerem. Dał zgodę. Dla większości z was to czas zwykły. Dla nas, katolików, to inaczej wygląda. On to przecież świetnie pojmuję.

– A daleko masz do domu? – Sara nagle się zorientowała, że nie wie, gdzie jest prawdziwy dom Marii, nie ten pokój u Ziębińskich, tylko miejsce z matką i ojcem.

– Do Mińska Mazowieckiego. Niby nie tak daleko, ale połączenie liche.

– Tęsknisz za rodzicami? Za rodziną? – Sarze mimo wszystko udzieliła się atmosfera świąt. Maria od kilku dni opowiadała o Wigilii, pasterce, prezentach pod choinką. Te scenki przeniosły Sarę w inny, spokojniejszy świat.

– Dość. – Maria obwieściła to bez zawahania, jakby robiła kolejny zastrzyk.

– Ja bym tęskniła bardzo. – Sarze aż się ścisnął żołądek na myśl, że miałyby być sama, bez mamy, ojca, Rebeki i Dawida podczas Purimu. Jaka by to wtedy była radość? Może nie zgadzała się z ojcem na temat swojego zamążpójścia, ale kochała swoich bliskich i była do nich bardzo przywiązana.

– Głuptasie, to się zmienia z wiekiem. Zresztą poczekaj, sama zobaczysz. A już najbardziej, jak będziesz miała własną rodzinę.

Im dłużej Sara znała Marię, tym bardziej ją lubiła. Traktowała ją jak starszą siostrę – opiekuńczą, wprowadzającą w świat, przychylnie usposobioną. Ale chyba nawet starszej siostrze by nie powiedziała o Janie. To było takie... jej. Prywatne. Mama też w końcu zapytała Sarę, czy ma upatrzonego jakiegoś chłopca, innego niż Jakub. Że jeśli tak, to ojciec może pójść do jego ojca, porozmawiać. Mógłby, gdyby Jan był Żydem. Ale nie był. Więc nikomu nie mówiła. Z Janem, który już kilka razy ją odprowadzał po skończonej pracy, żegnała się u wylotu Reymonta, a potem szła już sama. On nie naciskał, ona nie potrafiła inaczej, jeszcze nie. Wszystko robiła po kryjomu – trochę dlatego, że Jan nie był oczywistym w jej przypadku wyborem, a trochę dlatego, że wciąż nie dowierzała, że to, co się między nimi rodzi, dzieje się

naprawdę. Chciała to chronić, jak świeże pąki róż przed nagłym chłodem w połowie maja. Żeby nie przemarzło, nim rozkwitnie.

– A ty byś chciała mieć rodzinę? – zapytała Marię, w ten sposób unikając odpowiedzi. – Swoją rodzinę. To znaczy najpierw męża.

Maria się zaśmiała.

– Oczywiście, że najpierw męża. Znam takie dziewczęta, co odwróciły tę kolejność. I to nie skończyło się dobrze. Też to sobie zapamiętaj. Choć u was to wszystko prościej ułożone, nie wydaje mi się, żebyś mogła takie szaleństwo popełnić, prawda, kochanie?

Sara nie do końca zrozumiała, czy Marii chodzi o wybór narzeczonego czy gorzej – ciążę bez męża, ale okazało się, że nie musi odpowiadać, bo Maria ciągnęła swoją wypowiedź:

– Pytałaś, czy tęsknię za domem rodzinnym. Oczywiście, że tak, głuptasie.
– Maria patrzyła na nią jak czasem na swoje podopieczne, te spokojniejsze i łagodnego usposobienia. – Dlatego chcę ich odwiedzić, usiąść do stołu, zjeść pierogi mamy, porozmawiać z braćmi. Ale nie chciałabym tam wrócić na stałe. Otwock to też niby nieduże miasto, ale tu jest zupełnie inaczej. To znaczy było, do września. Ruch, ferment, goście, różni ludzie, różni mężczyźni. To miejsce, gdzie los się może odmienić. A ja bym chciała odmienić swój los. Widzisz... – zawiesiła głos – ja nie chcę żyć jak moja matka. Wiecznie z jakimś zajęciem na głowie lub w rękach. Niby uczesana i umalowana, ale to pozór, bo tylko tyle ma dla siebie z tego świata – te krótkie chwile przed lusterkiem. To znaczy tylko tyle może mieć przy moim ojcu, a swoim mężu.

Sara wciąż nic nie mówiła. Mama Marii, kobieta ze zdjęcia w jej pokoju, nie wyglądała na nieszczęśliwą. Oczywiście, że zdjęcia się robi w zakładzie, fotograf przygotowuje człowieka przed naciśnięciem migawki, ale żeby aż tak się dać zwieść uchwyconej chwili?

– To jest złe małżeństwo? – Sara się w końcu odezwała.

– Jak wiele. Są i trwają. Ale ja bym chciała czegoś innego. Kogoś innego, lepszego, kto mnie może pociągnąć w lepszy świat, a nie tkwić ze mną w tym moim, szarawym. – Maria upewniła się dłonią, że upięte z włosów fale trzymają się w wyznaczonym im miejscu. Trzymały się.

– Na pewno ktoś taki ci się trafi. – Sara była o tym przekonana. Maria, prócz oczywistych atutów urody, miała w sobie taką siłę, która pchała jej

życie w odpowiednim, wyznaczonym przez nią kierunku. Sarze to imponowało. Ona też powolutku popychała swoje życie. Bez takiego rozmachu, bez ostentacji, ale w końcu się zdecydowała i nie zawróci z tej drogi.

* * *

– Życzymy sobie, żeby to był dobry czas, który przyniesie nam otuchę i pogodę ducha, tak potrzebne w tych czasach. – Doktor Górski powoli przesunął wzrokiem po twarzach obecnych na sali osób. Zebrali się w pokoju lekarskim, doktorzy i pielęgniarki, Polacy i Żydzi. Kilkoro z nich na parę dni opuszczało Zofiówkę. – Wiem, że tylko dla części z nas to świąteczne dni, dla innych zwykły czas. Ale takie życzenia można złożyć każdemu, a nam i naszym pacjentom one, a przede wszystkim ich spełnienie, są bardzo potrzebne.

Zgromadzeni pokiwali głowami.

– Racja, panie doktorze. Dziękujemy i życzymy tego samego – Maria przemówiła w imieniu wszystkich. – A teraz, choć na kwadrans, ile przerwa w pracy pozwala, zapraszam do naszego skromnego świątecznego stołu.

Sara też wzięła talerzyk i podeszła do blatu przykrytego białym obrusem. Nałożyła sobie trochę śledzia, wzięła kawałek pieczywa. Mogłaby jeszcze tę sałatkę z salaterki, ale poczuła wyrzut sumienia, że miałyby coś lepszego niż matka albo Rebeka. A może niepotrzebnie się tym zamartwia? Przecież od tego, że ona nie zje, im nie będzie lepiej.

Zobaczyła, że Jan stanął obok Marii. Rozmawiali o czymś pogodnym, bo Maria co chwilę unosiła brodę i obnażała zęby w uśmiechu. Niczego nie jadła, może dlatego, że nie chciała zetrzeć szminki, czerwonej, błyszczącej jak owoce irgi. A może znowu jakąś dietę uskuteczniała? Maria wciąż mówiła o jakichś kuracjach na sylwetkę, choć według Sary jej sylwetka nie wymagała zmian. „Dobrze razem wyglądają”, pomyślała Sara, patrząc na tę dwójkę. Poczowała bolesne ukłucie. To byłaby dobrana para – oboje blondyni, oboje niebieskoocy. On postawny, ona – o kobiecej sylwetce. Przez te biodra wyszłyby na świat naprawdę ładne dzieci. Sara oparł dłoń na stole. „Co się ze mną dzieje?”, pomyślała. „Skąd ta zazdrość? Przecież Jan nigdy nie odprowadził Marii, tylko mnie. Nie jej powiedział, że o niej myśli. Nie dla

niej ma ten rozmarzony wzrok. Maria zaś ma swoich adoratorów, a szuka kogoś lepszego, zapewne bogatszego. Ochłoń, Saro Flinkierówno, nie bądź dla siebie najgorszym sędzią i wrogiem”.

Ugryzła kęs chleba, bo poczuła się jakoś słabo. Porcja kalorii wróciła jej lepsze samopoczucie. Gdy odstawiała pusty talerzyk, usłyszała:

– Saro, mogę pani przeszkodzić? – To był Jan.

– Nie przeszkadza pan, doktorze – zapewniła go szybko. – Pan też nas opuszcza na święta...? – Zabrzmiało to smutno, mimo że się starała o neutralny ton.

– Nie, zostaję w Zofiówce. Nie mam kogo odwiedzić. Mam ciotkę w Warszawie, to znaczy: miałem – przygarnęła mnie na czas studiów, ale już we wrześniu wyjechała do siostry, do Krakowa, żeby jej było różnie w ten czas. Mieszkanko na Hożej stoi więc puste, a pustka w święta szczególnie dotkliwa. Zatem zostaję tutaj, bo tutaj nie jestem sam. – I uśmiechnął się tak, że nawet ostrożna w sercowych rachubach Sara zyskała pewność, że ta niesamotność to także dzięki niej. A może przede wszystkim dzięki niej. – Jutro mamy skromną kolację wigilijną z właścicielami kamienicy, w której odnajmuję pokój, i kilkoma lokatorami. Potem pasterka i następnego dnia msza, więc w pracy zjawię się później, ale będę, na pewno będę. I pomyślałem sobie, że może tego dnia, jeśli nie będzie zamieci ani innych przykrych niespodzianek pogodowych, poszlibyśmy na dłuższy spacer? Bo pani tak blisko zakładu mieszka, że aż żal, że to odprowadzanie tak krótko trwa, zwłaszcza że tylko do rogu...

Sara się spłoniła. Z emocji na ten „dłuższy spacer” i lęku, że on niewłaściwie to krótkie odprowadzanie rozumie.

– Ja... to dlatego, że rodzice... Zresztą to przecież zupełnie nie po drodze... – zaplątała się. – Ale ten długi spacer to ja chętnie. Z wielką przyjemnością. – Uspokoila oddech i to ostatnie zdanie powiedziała już powoli i wyraźnie, patrząc mu prosto w oczy. Chyba zrozumiał.

– To bardzo się cieszę. Naprawdę. – On też wciąż na nią patrzył. – Mimo że to nasz zwyczaj, to chciałbym coś pani podarować. Drobiazg, ale na pewno się przyda. Będzie od niego cieplej. Może nie tylko w dłonie. Zresztą te delikatne dłonie chciałbym bardziej ogrzać, własnymi otoczyć.

Na pewno zrozumiał.

Tego popołudnia, gdy Sara mijiała spaloną synagogę, pomyślała, że Bóg, mimo że pozbawiony domu, jest tu w Otwocku i czuwa nad nią i jej szczęściem.

Rozdział dziesiąty



„Nie znoszę życia na wsi. Od dziecka nie lubiłam tam mieszkać. Zapach obory, zwierząt hodowlanych, świeżego mleka – mdliło mnie od tego. Chciałam wyjechać z tego miejsca, od rodziców i dziadków też. Czułam, że oni nie są wolni, tylko żyją według jakiegoś okropnego schematu – kolejne trybiki tej samej maszyny. Wpadają w nią po urodzeniu i zostają do śmierci. Udało się, studiowałam w mieście. Rodzina mi to umożliwiła, to prawda. I jestem im za to wdzięczna, ale teraz chcę mieć swoje życie, według swojego planu. A oni wszyscy – dziadkowie i rodzice – mówią, że jestem podła. I że będę żałować tej decyzji, że na pewno odwracając się od rodziny, nie znajdę szczęścia. Podają przykład wujka, który też opuścił rodziców, bo «wiedział lepiej» i «źle skończył» – nie wiem jak, nigdy go nie poznałam. Zaczynam się gubić, chwiać w swoim postanowieniu. Kto ma rację? Gdzie się kończy wdzięczność, a zaczyna wolność? Co powinnam robić?” No i co byście napisały? – Marta spojrzała na Ankę i Olę. Siedziały w pokoju, każda zajęta swoją rubryką, ale czasem radziły się sobie w różnych kwestiach. Tak było i tym razem.

– Żeby zapytała psychologa, czyli ciebie – odparła Ola.

– Żeby robiła, jak uważa – powiedziała Anka. – To znaczy z tą wdzięcznością to się zgadzam. Szacunek, podziękowania – tak. Ale żeby dorosła kobieta tak się oglądała na rodziców? Na dziadków? To jak w dziewiętnastym wieku. O, a mówiłam wam, że byłam niedawno na *Skrzypku na dachu*?

Ola i Marta pokręciły przecząco głowami.

– Więc byłam. I nawet tam, mimo że to zamierzchłe czasy, ojciec daje się przekonać i jego córki idą w świat, to znaczy wybierają swoje życie. A tu – dwudziesty pierwszy wiek i takie problemy. Aż trudno uwierzyć.

– O, gdybyś była terapeutką i posiedziała kilka miesięcy w gabinecie z pacjentami, uwierzyłabyś we wszystko. – Marta wygodniej usadowiła się na swoim krześle. – Rodzina to potęga: siła tworzenia i siła niszczenia. Bez niej źle, z nią – no, bywa różnie. W każdym razie ma na nas ogromny wpływ. I to taki, z którego nawet sobie nie zdajemy sprawy.

– No ale jak zły, to może lepiej się odciąć? Chyba to właśnie mówią terapeuci? – Anka popatrzyła na Martę. Nie miała pojęcia o psychologii, to znaczy o takiej akademickiej psychologii. Właściwie o takiej wynikającej z życiowych doświadczeń również niewiele wiedziała – po prostu życie oszczędziło jej dramatycznych wydarzeń, płynęło jak spokojna rzeka. Dobrzy rodzice, dobry dom. Jedynym problemem, który właśnie zniknął, był brak odpowiedniego mężczyzny przy boku. Oczywiście, zdawała sobie sprawę, że istnieją różne uwarunkowania, które mają wpływ na podejmowane decyzje, ale to była bardzo ogólna wiedza.

– Generalnie mówią, że nie jesteśmy wolni – odparła Marta po chwili zastanowienia.

– O, to jak ten psycholog, kurczę, zapomniałam jego nazwiska. Ten od tych ustawień rodzinnych. Jak to się nazywało... – Ola się poderwała, a teraz gorączkowo szukała w pamięci nazwy. Nie znalazła, więc zaczęła na stojąco wpisywać coś do komputera.

– Ustawienia rodzinne Hellingera – powiedziała Marta.

– O, no właśnie! – ucieszyła się Ola i zdjęła palce z klawiatury.

– A to nie jest jakaś szarlataneria? – Ance się przypomniało, że słuchała kiedyś o tym audycji w radiu. Była to rozmowa z profesorem psychologii, który niepochlebnie się wypowiadał o takim sposobie uzdrawiania relacji w rodzinie.

– No jak? Przecież to był psychoterapeuta. To akurat sprawdziłam. – Ola znowu wykazała się rzetelnością informacyjną.

– Tak, ale studiów nie ukończył. Niemieckie towarzystwo psychologiczne odżegnuje się od jego metod, bo uważa, że to techniki manipulacyjne – wyjaśniła Marta.

– Ale w jakim sensie? Że oszukuje się pacjentów? Coś się im wmawia? – Ola była wyraźnie zawiedziona. – To ponoć działa. Ludzie na takich terapiach przeżywają intensywne emocje, oczyszczają się, wreszcie udaje im się zrozumieć różne sprawy, które miały wpływ na relacje w ich rodzinie i na nich samych. Widziałam taki film w internecie. To nie było zagrane, tylko prawdziwe. Grupka ludzi, która weszła w role rodziny jednego z nich. Jezu, co tam się działo! Płacz, krzyk, szloch. Aktorzy by tak nie zagrali, to były prawdziwe emocje.

– No, przeżywają, to akurat jest prawda – zgodziła się Marta. – Po prostu ci, którzy prowadzą takie ustawienia, to mistrzowie w zadawaniu pytań i dociskaniu uczestników. Tworzy się coś w rodzaju zbiorowej hipnozy. I padają różne odpowiedzi, które jednak niewiele mają wspólnego z rzeczywistością. Generalnie w tych ustawieniach chodzi o to, że ich uczestnicy wcielają się w różne postaci z konkretnej rodziny – zarówno w żywych, jak i zmarłych jej członków. Mają między nimi zachodzić różne relacje, jak to się dzieje w rzeczywistości. Znam przykład takiego ustawienia, podczas którego jeden z uczestników miał się wczuć w sytuację dziecka, które podczas wojny zostało odebrane polskiej rodzinie i przekazane Niemcom. Prowadzący go pytał, jak się odnajduje w tej sytuacji. Naprowadzał go: „Jak się czuje małe dziecko, oderwane od swojej rodziny? Poczuj to, wejdź w to mocniej. Czy czujesz, że cierpisz?” Jasne, że to budzi emocje, ludzie się wczuwają. Ten facet też się wczuł, ale skąd tak naprawdę miałyby wiedzieć, jak się czuje takie dziecko? Źle – to oczywiste. Reszta „rodziny” też weszła w tę sytuację, opętała ich jakaś zbiorowa histeria! – Marta także się chyba wczuła w opowieść, bo pacnęła ręką w blat biurka, aż papiery podskoczyły. – No więc właśnie tak to działa. Ludzie sobie wyobrażają różne rzeczy, jak na filmie. Wchodzą w cudze uczucia, a potem im się wydaje, że naprawdę tym kimś byli – zakończyła już spokojniej.

– Ale w tych ustawieniach jest założenie, że przeszłość naszej rodziny wpływa na naszą przyszłość. Ty mówisz to samo, choć może w inny sposób... – Ola wyglądała na zagubioną.

Anka też przestała łąpać. Wciągnęła ją ta tematyka, bo ostatnio sporo myślała o historii dziadków i rodziców. I o sobie. Jak oni, spokrewnieni, na siebie wpływali?

– No to o co chodzi z tym, że nie jesteśmy wolni? Że powtarzamy los rodziców? Że nie możemy porzucić rodziny, bo ona i tak w nas zostanie, nawet jeśli jej nie chcemy? – zapytała Martę.

– Tak, w pewnym sensie nie jesteśmy wolni, bo przecież jesteś wychowywana w określonym środowisku, które przekazuje ci swoje wartości. I ty również traktujesz je jak swoje, czasem nawet nie zdając sobie z tego sprawy, to znaczy możesz myśleć, że sama je sobie ustaliłaś. – Marta postukała ołówkiem w blat biurka i spojrzała przez okno. – Teraz nauka mówi nawet, że pewne zachowania, upodobnia przejmujemy na poziomie genetyki. Że lubimy nowości lub wolimy rzeczy znane. Mamy predyspozycje do religijności bądź ateizmu, do prawicowych albo lewicowych poglądów. Jesteśmy „jacyś”, bo tak nas ukształtowała nasza rodzina, nasze więzy krwi to w nas zbudowały. Możemy się zmienić, jeśli zrozumiemy te mechanizmy. I to jest długa praca nad sobą – rozplątywanie nitek uwarunkowań i plecienie nowej rzeczywistości. Hellinger natomiast twierdził, że wpływa na nas jedno wydarzenie z przeszłości. I że gdy je odnajdziemy, zrozumiemy i naprawimy, to znaczy pogodzimy się z przodkiem, który nabroił, to sprawa załatwiona. Całe to myślenie opiera się na założeniu, że w przyrodzie istnieje naturalny porządek i jego zakłócenie sprawia, że zaczynamy się źle czuć, źle funkcjonować. Prościutkie wytłumaczenie i równie prosta recepta. Fastfoodowa psychologia. – Marta westchnęła.

– Ale czy to znaczy, że my mamy wybaczyć temu przodkowi, który zrobił coś złego? – Ola była zdumiona. – To absurdalne. To znaczy to chrześcijańskie, ale... jak to ma mi pomóc?

– Hellinger twierdził, że jeśli ktoś zrobił coś złego, to był wykluczony z rodziny i wtedy ten naturalny porządek się sypał, bo każdy ma prawo być w rodzinie. Cierpiał i on, i inni. Dlatego symbolicznie się przywraca tego członka do rodziny, właśnie w ustawieniach. – Po minie Marty było widać, że jest więcej niż sceptyczna wobec takiej teorii.

– W sumie... – Anka nie mogła się zdecydować, co myśleć. Z jednej strony wciąż uważała, że takie seanse z ustawieniami to podejrzana sprawa, bo ludziom łatwo wmówić różne emocje, gdy się zagra na odpowiedniej strunie, z drugiej zaś – przebaczenie jest przecież dobre. Życie w żalu i złości niszczy.

– To może jednak nie jest takie głupie? To znaczy chodzi mi o takie godzenie się, zapominanie o winach.

– A, bo zapomniałam dodać – naturalny porządek oznacza także to, że poprzednie pokolenia mają rację, a dzieci muszą bezwzględnie szanować rodziców. – Marta się uśmiechnęła. Chyba perfidnie.

– Z szanowaniem rodziców to ja się zgadzam. Żebyście wiedziały, jak te moje diabły dają mi czasem popalić – westchnęła Ola. – To jeszcze podstawówka, aż strach pomyśleć, co będzie potem...Kiedy ja byłam mała, ech... Dobra, ja się poddaję. Nie bez powodu nie wybrałam psychologii do studiowania. To nie są proste sprawy... – Zamyśliła się. – A podobno to jest tak, że na psychologię idą przede wszystkim ci, którzy mają swoje problemy. I nadzieję, że po studiach się z nimi uporają. – Wpatrzyła się w Martę; trochę niepewnie, czy nie przekroczyła jakiejś granicy, a trochę z nadzieją na odpowiedź.

Marta milczała – w taki sposób, gdy się coś potwierdza, ale nie ma się ochoty o tym rozmawiać. Nie wyglądała na urażoną, raczej – na lekko zasmuconą.

– No to co napiszesz? – Anka była ciekawa odpowiedzi na pytanie, które zapoczątkowało tę dyskusję, ale jednocześnie nie potrafiła znieść ciszy, jaka zapanowała. Zrobiło się jakoś dziwnie.

– W sumie to, co zawsze. Żeby porozmawiała, wyjaśniła, żeby każdy z nich spróbował zrozumieć racje drugiego, bez oceniania – powiedziała Marta. Zabrzmiało to profesjonalnie i niezaangażowanie.

– Teoria brzmi łatwo... – westchnęła Ola. Widząc, że to już koniec rozmowy, dodała: – No, to ja wracam do pisania o planowaniu budżetu domowego.

Marta pokiwała głową, a Anka pomyślała, że jest prawdziwą szczęściarą, ponieważ nie musi prowadzić takich rozmów z bliskimi. I zrobi wszystko, żeby się nigdy nie wpakować w tak zawikłaną sytuację. To chyba nie jest trudne, gdy wszystko się omawia na bieżąco i wiecie się zwyczajne życie?

* * *

– Ale się opaliłaś, mamó! – Anka patrzyła na rodzicielkę z podziwem. Ona

sama miała jasną karnację i po pobycie na słońcu wyglądała, jakby się wybrudziła sokiem z malin. Mama zwykle też wracała z urlopu w odcieniach czerwieni i różu, tym razem jednak jej skóra miała ładny oliwkowy odcień.

– No wiesz, byliśmy tam prawie pięć tygodni. Przeszłam różne fazy opalania – od Miss Piggy przez bąble i schodzącą skórę do ładnego karmelu. Okazuje się, że to wszystko jest kwestią czasu. Jeśli masz go wystarczająco dużo, to ładnie wypoczniesz.

– Jeśli masz... – Anka westchnęła. Właściwie to mogłaby pojechać na urlop, ale Marcin był w oku cyklonu, to znaczy wciąż w tym projekcie, który się przeciągał, bo dochodziły nowe okoliczności, i póki nie będzie finału, to z odpoczynku nici.

– A nie masz? – Mama nie była wdrożona w te uwarunkowania. – Wakacje to chyba w gazetach martwy sezon, można jechać na urlop.

– Można. Ale czekam na Marcina.

– Aha – powiedziała mama. – To już ten etap...

– Znaczący jaki? – Anka się lekko zdenerwowała, właściwie nie wiedząc dlaczego. Ta dziwna rozmowa w pracy wprawiła ją w trudny do określenia nastrój.

– No, etap wspólnego jeżdżenia na wakacje. Czy ja powiedziałam coś złego? – Mama spojrzała na nią zdziwiona. – Chodziło mi o to, że to chyba coś poważnego, jeśli się dzieje w takim tempie. I jeżeli wolisz wcale nie jechać na wakacje, niż jechać bez niego. To chyba dobrze?

– Dobrze. Jestem rozdrażniona, to pewnie przez tę pogodę. – Anka zawstydziała się swojego prychnięcia. – I może też dlatego, że Marcin nie może się teraz wyrwać, bo zasuwa w tej robocie jak szalony. Ale to podobno jeszcze góra dwa–trzy tygodnie. A, i jeszcze dziś miałyśmy z dziewczynami w pracy taką dziwną dyskusję. O rodzinie, o wolności, o obowiązkach. O tym, jak cię te więzy kształtują, czy cię nie pętają. I tak się zaczęłam zastanawiać...

– Czy cię pętają? – Mama się zdziwiła. – Nigdy bym nie przypuściła, chyba nie zrobiliśmy z tatą niczego...

– Nie, nie, wy nie, no skąd. Wręcz przeciwnie. Nawet tak sobie ostatnio o tym myślałam, że nie rozumiem, dlaczego ty i tata, i dziadkowie tak sobie dobrze życia poukładaliście, a ja przez te wszystkie lata co facet, to jak kulą

w płot. Gdyby to była prawda, że idziemy w ślady przodków, to już dawno bym miała przy sobie kogoś fajnego.

– Czasy się zmieniły. Kiedyś to było normalne, że ludzie się pobierali na studiach. Bo w sumie – co było robić? Jedyne rozrywki to prywatki, imprezy, kino, teatr, domówki. Ludzie chodzili, spotykali się i trafiali na siebie. Jak ja i tata. – Mama powiedziała to jak najoczywistszą rzecz na świecie. To zresztą było dla niej typowe – w jej ustach wszystko brzmiało, jakby było oczywistością.

– Dziadkom się udało i bez imprezy. Więcej było kiedyś przypadków czy co?

Mama spojrzała na Ankę.

– A wiesz, że początkowo babcia nie była przychylna twojemu tacie? To znaczy w ogóle naszej miłości. Po latach to się zmieniło, teraz jest naprawdę dobrze, ale na początku... Dlaczego tak szybko, jak ćma do światła lecisz, w amok jakiś wpadłaś... Nie powiedziała tego wprost, ale dawała odczuć. Myśmy szybko z tatą zamieszkali razem. On wtedy miał pokój u swojego wujka, który się zgodził, żebym z nim w tym pokoju była. Na kocią łapę żyliśmy, rozumiesz! – Mama się roześmiała.

– To pewnie to babcię tak zabolalo. W jej czasach seks to raczej po ślubie... Teraz to wydaje się śmieszne...

– Może... Nie wiem, nie powiedziała tego. Żadnego „nie tak cię wychowałam”, nic z tych rzeczy. Po prostu czułam, że ma jakiś opór przed zaakceptowaniem tego związku.

– Może się wstydzila o tym mówić? – To wytłumaczenie wydało się Ance najbardziej oczywiste.

– Niewykluczone. Ale ja miałam wrażenie, że coś jeszcze w tym jest. Jakby... czy ja wiem: zazdrość?

– Ale o co? – Anka się zdumiała. – O tatę? No nie chcesz chyba powiedzieć, że babcia mogłaby się w tacie... – Zabrakło jej tchu, żeby dokończyć.

– Nie, nie. – Mama aż zamachała rękoma. – No coś ty! – parsknęła. – Tata to przeciwieństwo twojego dziadka – wtedy dodatkowo wyglądał jak punkowiec: dzinsy, skóra, włosy na wodę z cukrem. Nie, nie mógłby się spodobać mamie. Chodziło mi raczej o to, że... jakby to ująć – mama się

zawahała – jakby babci było żal, że to nie jej się przytrafiło. Że żałuje, że takie lata są za nią, że już nie ma czasu i miejsca na szaleństwa.

– Babcia mi nie wygląda na szaloną. Chyba zawsze było jej dobrze tak, jak wybrała. – Anka próbowała sobie wyobrazić babcię w jakiejś wariackiej sytuacji. Nic z tego. Babcia była pomnikowa. Już pewnie jako mała dziewczynka zawsze miała czystą sukienkę i równo wpiętą kokardę we włosach.

– To się zdarza kobietom w pewnym wieku... Najczęściej wtedy, gdy ich córki układają sobie życie. A one wtedy sobie uświadamiają, że przed chwilą to one były na miejscu tych córek. A teraz... Nie rozumiesz, bo tego trzeba doświadczyć. – Mama przyglądała się jej z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Mamo, czy ty mi chcesz powiedzieć, że też się tak teraz czujesz? Że mój związek z Marcinem działa na ciebie depresyjnie? – Anka zaczynała myśleć, że w tych ustawieniach rodzinnych coś jednak jest. Może tak naprawdę nie zna się swoich bliskich?

– Nie, oczywiście, że nie! Ja jestem inna niż babcia. Ona zawsze była taka zamysłona, nostalgiczna. Jakby lata płynęły, a ona została w swojej przeszłości. I tylko czasami się rozglądała i myślała ze zdumieniem: „O, to już?”. Chyba dlatego wybrała pracę w bibliotece – tam mogła się chować przed światem. Babcia jest taka krucha, jak porcelanowa filiżanka... – Mama się wzruszyła. – Jesteś do niej podobna pod tym względem. Nie aż tak, ale czuć, że jesteście z jednej gliny.

– Może... Czy to nie dziwne? Bo przecież ty... No ty jesteś zupełnie inna, mamo.

– Chyba nie jest dziwne. Jest w tym nawet pewna logika – dzieci są albo takie jak ich rodzice, albo całkiem inne. Albo chcą iść ich śladem, albo wybrać zupełnie inne ścieżki.

– Zupełnie inne to nie, bo się okazuje, że to ścieżki poprzedniego pokolenia... Rany, no to rzeczywiście rodzina nas ustawia! Albo w kontrze, albo tak samo. Wychodzi na to, że na oryginalność nie ma miejsca. – Anka wciąż próbowała sobie – *nomen omen* – poustawiać w głowie te psychologiczne uwarunkowania.

– E, coś by się znalazło. Bo zobacz – ty na przykład nie potrafisz dobrze gotować, a przecież ja i babcia uwielbiamy siedzieć w kuchni.

Anka spiorunowała mamę wzrokiem.

– No bardzo zabawne. Coś tam potrafię upichcić.

Mama się roześmiała.

– Przecież mówię to z miłością. I dla celów naukowych. No to może inny przykład – babcia ma córkę, ja mam córkę. Może ty będziesz mieć syna?

– Chciałabym. To znaczy niekoniecznie syna, a po prostu dziecko. Czuję, że przyszedł ten czas. – Anka czuła zresztą nie tylko to, także jakieś otwarcie, szczerość. Była z mamą blisko, bo mama była serdeczna i ciepła, ale rzadko rozmawiały poważnie na poważne tematy. Zresztą nie było takiej potrzeby, bo w ich wspólnym życiu nie pojawiły się do tej pory żadnej poważniejszej problemy. Nawet te dawne, nieudane związki się do nich nie zaliczały. „To jeszcze nie było to”, mówiła po prostu mama, a Anka się z nią zgadzała. Poza tym wszystko układało się dobrze i zwyczajnie, nie było potrzeby, by grzebać w duszach i się tym dzielić.

– Przyszedł ten czas, bo czujesz się coraz starsza, czy chciałabyś mieć dziecko właśnie z tym mężczyzną? – Mama wpatrywała się w nią czujnie. Chyba także poczuła to samo, co Anka. Rodzinę z pewnością łączyły specjalne więzy, tym szczególniejsze, jeśli była to matka i córka.

– I jedno, i drugie, mamó. Myślę o tym i trochę się tych myśli boję. Kiedyś było chyba inaczej – dzieci się pojawiały w związkach, mało kto się zastanawiał nad takim wyborem. Teraz – wręcz przeciwnie. Wszystko się roztrząsa, wręcz wpisuje w arkusze kalkulacyjne i czeka na wynik – z dokładnością do dwóch miejsc po przecinku.... Na przykład u mnie w pracy – Ola ma dwoje dzieci. Bardzo je kocha, ale widzę, jak żyje – w wiecznym pędzie, zmęczona. A nawet kiedy się ze wszystkim wyrabia, to i tak ma jakiś lęk o te dzieci – czy nie zachorują, czy nikt im nie dokucza, czy nie będą brać narkotyków. I narzeka, że nie ma dla siebie czasu. A jak już znajdzie ten czas dla siebie, to ma wyrzuty sumienia, że go zabrała dzieciom. I chyba jakoś się z mężem oddalili od siebie, bo działają jak spółka rodzicielsko-wychowawcza, a nie jak para. A Marta... Marta jest mądra i do tego jest psycholożką. Nie ma dzieci, choć ma faceta. Mówi, że jest im dobrze, ślubu jednak nie biorą. Opiekuje się ojcem z demencją i chyba ma tego dość. Gdy ją kiedyś Ola zapytała o te dzieci, tak delikatnie, bo Ola jest delikatna, to odparła, że się nie nadaje. Nie mam pojęcia, z której strony się nie nadaje, bo jest empatyczna i mądra. No więc widzisz, mamó, że już samo to powoduje natłok myśli. A jeśli trzeba o sobie samej zdecydować...

– Ale poczekaj, mnie się wydawało, że jesteś zakochana tak bez wyłączania

roзумu... To znaczy, że Marcina jesteś pewna? – Mama pogłaskała ją po głowie. Jak wtedy, kiedy się po nią spóźniła do świetlicy. I, jak wtedy, uspokoiło ją to.

– Jestem. Rozum pewnie trochę wyłączony, no bo się jednak nie da inaczej, gdy jest zakochanie. Och, już sama nie wiem, skąd te obawy. Po prostu kiedy nagle wszystko zaczyna się układać, to pojawia się lęk, że może jest za gładko... Wiesz, mamo, ja wcześniej nie byłam jakoś specjalnie nieszczęśliwa, że jestem sama.

– No, bywało różnie... – Mama pamiętała to widzieć inaczej.

– Ale to przez chwilę, gdy się kończyło. Żal mi chyba było, że po raz kolejny zamiast baśni trafiła mi się nudna nowelka. Nie żałowałam tak naprawdę żadnego z tych facetów, to raczej było uzalanie się nad sobą. No i nie bałam się samotności, bo ja potrafię być sama. Ale teraz... Gdyby Marcina zabrakło... To by była wyrwa. Jest mi z nim tak dobrze... W rozmowie, w byciu, w łóżku. Po nim samotność byłaby nieznośna, więc czasem, sama nie wiem po co i dlaczego, ale się boję, że...

– Wykapana babcia! – Mama się roześmiała i przygarnęła Ankę do siebie. – Będzie dobrze, zobaczysz. Bo dlaczego niby miałyby być źle? U nas nie ma takiej tradycji... To co, kiedy przyprowadzisz przyszłego zięcia?

Rozdział jedenasty



Styczeń 1940 roku

– Nie, ciociu Rachelo, nie mogę zostać na noc. – Sara odmawiała po raz trzeci, coraz bardziej zdenerwowana. Była w tym domu już ponad godzinę; tyle trwało podanie ciotce listu, oczekiwanie, aż go przeczyta, dopowiadanie tego, czego ojciec nie napisał, a w przerwach jedzenie rosółu. Bała się, że będzie wracała do Otwocka po ciemku. I że bez słońca będzie już tak zimno, że może wcale do domu nie dotrze.

Ojciec wysłał Sarę do swojej siostry, do Falenicy. Bezdzienna wdowa, dobrze uposażona po zmarłym wujku Chaimie. Zawsze była dla nich, to znaczy dla dzieci, szczodra. Teraz jednak ojciec prosił ją o szczodrość dla całej rodziny. I to nie o taką zbyt kowną szczodrość, lecz taką, która uratowałaby ich egzystencję.

Źle się 1940 rok zaczął. Nowy interes ojca nie przynosił takich dochodów, żeby mogli żyć jak dawniej, zwłaszcza że zaczęły na nich spadać różne klęski. Podatki od pustego pensjonatu trzeba było płacić. Składki na zbiorczą

kontrybucję – także. Matka i Dawid byli chorzy, doktor Kenigsberg stwierdził poważne zapalenie dróg oddechowych. Zalecił leki, dobre odżywianie i spokój. Dwa pierwsze punkty dało się załatwić odpowiednią sumą pieniędzy, z trzecim było krucho. Zresztą ze wszystkim było krucho. Do tego stopnia, że należało prosić ciotkę Rachelę o pomoc. Ojciec się przed tym wzbraniał, ale w końcu jednak napisał do siostry list, a Sara miała być posłańcem. Tyle tylko, że te wahania spowodowały, że kiedy zapisana gęstym pismem kartka znalazła się w kopercie, pociągi przestały jeździć. Nie dosłownie – one przestały jeździć tylko dla Żydów. Zakaz wydał Hans Frank, ten sam, który wsunął im na rękawy biało-niebieskie opaski. Ojciec przyniósł do domu tę wiadomość, a potem ściągnął usta i nic nie powiedział. Mama westchnęła, Rebeka zaś zaczęła dopytywać o ten zakaz podróży przez Żydów kolejami. A wtedy ojciec wyszedł z jadalni. Nigdy się tak nie zdarzyło, żeby ich zostawił, gdy rozmawiali i gdy padały ważne pytania. Odpowiadał na nie i tłumaczył im świat. Jego odejście od stołu oznaczało, że on już tego świata nie rozumie. Więc jeśli on nie rozumiał, to jak mogła go pojąć dziewięcioletnia dziewczynka? Sarze zrobiło się podwójnie przykro – za siebie i za siostrę. Bardzo kochała Rebeke, która była jej mniejszą wersją – jeszcze drobniejsza, jeszcze smuklejsza, jeszcze ładniejsza i jeszcze bardziej do zaopiekowania. Wyczekiwała na Sarę, aż ta wróci z Zofiówki, a potem ją zagadywała o pracę, o szpital, o pacjentów, o wszystko. Twierdziła, że kiedy dorośnie, też chce być pielęgniarką. Ojciec nie reagował na te deklaracje, widać był zmęczony i co innego mu myśli zaprzętało. Matka zaś była wdzięczna starszej córce, że spędza czas z siostrą i odpowiada na jej niekończące się pytania. Rebeka była niezwykle wszystkiego ciekawa – to ją różniło od reszty rodziny – pchała się do świata, nie widząc różnych barier i granic. Sara się czasem zastanawiała, co Rebeka by zrobiła, gdyby była na jej miejscu – czy byłaby odważniejsza? Bardziej otwarta? Sara przecież i tak już robiła rzeczy, na które by się pół roku temu nie zdobyła. Na przykład opowiadała doktorowi Górskiemu o Rebecce. I o bracie, i o rodzicach. O coraz większych kłopotach. I nawet o tej pożyczkowej wizycie u ciotki, z powodu której musiała prosić o zwolnienie z pracy na jeden dzień. Osiem kilometrów w jedną stronę, w zimę, to poważny dystans. On zaś opowiadał jej o sobie, o tym, że jest sierotą, jedynakiem, o troskliwej bezdzietnej ciotce, o medycynie, którą wybrał po śmierci matki, żeby móc uratować innych chorych. Podczas tego dłuższego spaceru, gdy poszli na skarpe wiślaną, objął ją. „Nie darowałbym sobie, gdyby coś się pani stało”, powiedział. Fakt, brzeg tam jest stromy i było ślisko, ale oni stali kilka kroków od urwiska, na pewno

by nie wpadła do wody. Zamiast tego wpadła w jego ramiona. Z taką przyjemnością...

– Skoro tak, to zabierz ten list dla ojca. – Ciotka do tej samej koperty włożyła nową kartkę. Sara zauważyła, że nie ma na niej wiele tekstu; zajęta była trzecia część strony. – Pozdrów mojego brata, jego żonę Rutę i ich dzieci, Dawida i Rebekę. Ciebie też będę mieć w pamięci... Saro – dodała po chwili – a ślub się żaden u was nie szykuje?

Sara pokręciła głową.

– Dawid nie... – zaczęła.

– Nie o Dawida się pytam, tylko o ciebie. W lecie Mans coś wspominał o dobrym kandydacie. Widzisz... – Ciotka miała sporo lat i dużo doświadczeń. – Mąż jest jakby tylko twój, a zarazem nie tylko twój. Przecież nikt nie żyje sam, zawsze w rodzinie. A rodzina męża to i twoja rodzina. I twoich rodziców, i rodzeństwa. Nowe więzi potrzebne teraz bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, zwłaszcza gdy się wiążą z pieniędzmi. – Patrzyła Sarze prosto w oczy. – Nie podejmij złej decyzji, bo może nie tylko ty za nią zapłacisz. Napisałam kilka zdań mojemu bratu, ale i tobie je powiem – rodzina mojego zmarłego Chaima jest duża i duże są ich potrzeby w tak trudny czas. Teraz wam pomagam i to cieszy moje serce, ale nie wiem, czy będę mogła tę pomoc powtórzyć.

Sara pokiwała głową. Ciotka nie mogłaby powiedzieć tego jaśniej.

– Szalom, Saro – powiedziała ciotka, kładąc jej rękę na głowie.

Wyszła na zasypaną śniegiem ulicę. Teraz będzie musiała przez ponad dwie godziny iść w dojmującym mrozie do domu i nieść ojcu złą nowinę. Pieniądze na pewno go ucieszą, bo na chwilę ujmą mu trochę trosk, ale informacja, że więcej od ciotki nie będą mogli pożyczyć, pewnie natychmiast zgasi tę radość.

Mocniej naciągnęła futrzany toczek na uszy i szczelniej obwinęła szyję chustą. Płaszcz nie zapewniał jej wystarczającej ochrony przed mroźnym wiatrem. Miała wrażenie, że zimne szpilki atakują jej ciało. Słońce już całkowicie zniknęło za chmurami. Było chwilę po drugiej, więc końcówkę drogi pokona w ciemności i jeszcze większym ziąbie.

Włożyła rękawiczki. Ciepłe, z gęsto ubitej wełny w pięknym bordowym kolorze. Sara, gdy w domu odwinęła prezent od Jana Górskiego, najpierw sobie pomyślała, że szkoda, że nie czerwone, bo to by był taki symbol. Zaraz

potem się zgaśniła – czerwone rękawiczki do jej burobrązowych ubrań. Taka ekstrawagancja! A o bordowym można myśleć, że jest takim bardzo dojrzałym czerwonym. Prezent od Jana był piękny.

Zrobiło się jej ciepło w dłonie. Gdyby jeszcze mieć takie ciepłe getry lub skarpety. Tak bardzo potrzebowała się ogrzać.

– Saro! Siostró Saro! – Usłyszała.

Obróciła się zdumiona. Kto mógłby ją wołać na falenickiej ulicy? I to tym określeniem, którym nazywano ją tylko w pracy. Ktoś z personelu? Ktoś z rodziny jakiejś pacjentki? A może jej się przesłyszało? Nie dostrzegła nikogo, kto by zwracał na nią uwagę – ludzie się spieszyli, mijali ją szybkim krokiem.

Wcisnęła dłonie w kieszenie i poszła w kierunku szosy otwockiej.

– Siostró Saro! – Teraz głos był donośniejszy.

Więc jednak to nie omamy. Znowu się odwróciła. I wtedy go zobaczyła – wysoka sylwetka, ciemny płaszcz i jasna grzywka. Biegł w jej stronę i machał ręką. Jan Górski.

Gdyby nie było tak zimno, zdjęłaby te cudownie miękkie rękawiczki i przetarła by oczy ze zdumienia. Skąd on tu? Przecież powinien być w pracy. Sara wzięła urlop, wyższa konieczność. A on?

– Dzień dobry! Już myślałem, że nie zdążę. – Dobię do niej i się uklonił. – Miałem wrażenie, że pociąg jedzie całą wieczność, a to tylko kilka stacji.

Tak, to był on. Doktor Jan Górski. Sara wciąż jeszcze nie potrafiła sobie racjonalizować jego obecności w tym miejscu. On zaś inaczej zrozumiał jej milczenie.

– Przepraszam, palnąłem z tym pociągiem. Gamoń ze mnie. – Uśmiechnął się.

– Nie, nie szkodzi, to... to po prostu fakt. Zresztą ja się na pociąg nie obrażam. Cóż mi on zawinił? – Mimo że stała bez ruchu, to jednak zrobiło się jej cieplej. – A co pana tu sprowadza?

– Pani – odparł po prostu.

– Ja? – Nie potrafiła zrozumieć.

– Pani. – Ten ich dialog zaczynał przypominać grę w badmintona: lotka–odbicie–lotka–odbicie. – Wiedziałem przecież, że tu panią zastanę, więc

postanowiłem zaprosić panią na spacer. Najdłuższy, jaki do tej pory mieliśmy.

– Ale dlaczego tak? Tak niezapowiedzianie? I tu? – Sara wciąż była zdumiona.

– A gdybym zaproponował go wcześniej i chciał się z panią tutaj umówić, zgodziłaby się pani? – Patrzył na nią, a jej się przypominało to piękne sierpniowe niebo.

– Pewnie nie – przyznała.

– No właśnie. Dlatego jestem. – Rozłożył ręce.

– Ale to daleko. I jest zimno. I... I pan nie musi przecież spacerować, bo pan może dowolnie podróżować.

– Pani towarzystwo jest miłsze. Saro – nagle chwycił ją za dłonie i lekko do siebie przyciągnął – proszę dać już spokój. Jestem tu, żeby pani towarzyszyć. Z ludzkiego odruchu. I męskiej potrzeby serca.

* * *

Wieczorem Sara miała dreszcze. Matka, sama słaba, wstała, żeby dać jej syrop z cebuli, a potem kazała jej zjeść całą główkę czosnku. Na koniec przyniosła swój ciepły sweter i dała dodatkową kołdrę. „Musisz się wygrzać. Jeszcze by tego brakowało, żebyś i ty się rozchorowała”. Rebeka siedziała na jej łóżku i tylko raz zapytała o wizytę u ciotki, jak było, co nowego, co ciotka mówiła. Widać, że była ciekawa i mogłaby tak pytać i słuchać dużo dłużej, ale nie chciała męczyć siostry, nawet bez upomnień mamy widząc, że Sara jest rozpalona.

Sara rzeczywiście miała czerwone policzki i dygotała. Trudno stwierdzić, czy ten karmin na buzi był spowodowany mrozem, czy rozwijającą się chorobą. A dreszcze – czy były wynikiem zarażenia, czy może emocji?

Ponad dwie godziny tylko z Janem. Początkowo szli chodnikiem, obok siebie, rozmawiali. Trochę o pracy, trochę o ciotce, trochę o wojnie. Potem weszli na szosę; pustą i wietrzną. Było tu zimniej niż w mieście i bardziej ślisko. Może dlatego Jan wziął ją za rękę. A potem ona wsunęła swoje wątłe ramię pod jego – mocne i pewne. I tak zespoleni, nie rozmawiający prawie, doszli do Otwocka. Na przedmieściach odsunęła się od niego, pod pozorem

poprawienia poluzowanej sznurówki. Potem już mu nie podała dłoni. Zrozumiał, pokiwał głową. Znowu zaczęli rozmawiać, jak dwoje znajomych, którzy przypadkiem wpadli na siebie na ulicy. Podprowadził ją do skrzyżowania Warszawskiej i Żeromskiego. „Dziękuję. Dziękuję za wszystko”, powiedziała. „To ja dziękuję”, odparł. I ją pocałował. Na tej słabo oświetlonej, ciemnozimowej ulicy, jego usta spotkały się z jej ustami. Mogłaby go całować raz po raz. Mogłaby już tam zostać na zawsze, z tymi połączonymi oddechami.

Rozedrgana Sara, leżąca w chłodnym pokoju pod dwiema kołdrami, nie wiedziała już, czy te pocałunki jej się wyobraziły, czy wydarzyły się naprawdę. Czy to od nich teraz nią tak telepało, czy jednak z powodu choroby.

Rano obudziła się wyczerpana, biała, z przemoczoną od potu koszulą.

– Dziękować Bogu, że się przesiliło. – Matka odetchnęła z ulgą. – Syrop, czosnek i matczyzna modlitwa potrafią zdziałać cuda. – Pogłaskała ją po policzku.

„Może”, pomyślała Sara. „Albo miłość”.

Rozdział dwunasty



– No to opowiadaj, jak pierwsze spotkanie – rodzice zaakceptowali przyszłego zięcia? – Kaśka lekko podciągnęła spódnice, żeby wygodniej sięść w głębokim pluszowym fotelu.

„Jak to się robi, że po całym dniu pracy wygląda się wciąż jak spod igły?”, pomyślała Anka. Zawsze ją to fascynowało. I jeszcze te rajstopy – niby cienkie, ale jednak coś przylegało do ciała, opinało brzuch i pupę sztuczną tkaniną, podczas gdy temperatura na zewnątrz zmuszała do tego, żeby zostać w samej bieliźnie.

– Nie chcesz ich zdjąć? – zapytała przyjaciółkę, wskazując palcem na cienką mgiełkę na jej nogach.

– Co? A, rajstopy. Już nawet nie zauważam, że je mam na sobie. Piętnastki, jak gaza. W robocie jest okej, bo nam dowalają klimatyzatory, poza tym nogi ładniej wyglądają, nie takie bladziochy. Z pracy mam tu bliziotko, no a później do auta. Więc nawet o tym nie myślę. W domu ściągnę, boby mi zaraz Kora porwała. Albo dzieci.

– A dlaczego nie byliście na urlopie w tym roku? – Anka szła nowo

wytyczonym tropem rozmowy. Kaśka zawsze się strzaskała na mahoń. Wystarczył jej tydzień na południu Europy, żeby wracała jak po najsilniejszym samoopalaczu.

– Bo Piotrek nie mógł, mają teraz rejestrację ważnego leku, a bez niego... On uważa, że bez niego to się zawali. Zupełnie nie potrafi cedować obowiązków. To znaczy, w pracy nie potrafi, bo w domu to jest mistrzem. A, daj spokój. – Machnęła ręką. – W jednym mu przyznałam rację – teraz ceny są zwariowane, wszędzie tłum. Dlatego jedziemy we wrześniu. Dzieci jeszcze małe, nie zaszkodzi im, że przez dwa tygodnie nie będą w zerówce czy przedszkolu. A ty też coś w kolorze ducha? – Przyjrzała się ramionom Anki o barwie słabo wypieczonego chleba.

– No bo Marcin... – zaczęła.

– No właśnie! – Kaśka klepnęła się po gładkim udzie. – Tak mnie zagadałaś, że zapomniałam, po co się spotkałyśmy. To jak było?

– No chyba nie tylko po to... A było... dobrze było. – Anka wzięła łyk kawy, a właściwie spienionego mleka z góry. Nie rozumiała, dlaczego zawsze wybiera latte, skoro nie lubi samego mleka. Kojarzyło się jej ze stołówką i obrzydliwymi zupami mlecznymi z kozuchem lub z kakao, również z kozuchem. Aż się wzdrygnęła. Ale gdy się tak cukwała przy kasie i myślała „Co by tu?”, to sprzedający lub sprzedająca pytali: „A może latte?”, a ona kiwała głową. Cóż za bezsens!

– O, no chyba jednak nie tak dobrze. – Kaśka przyglądała się jej uważnie. Sama piła espresso. Czarno, mało i konkretnie.

– Nie, to z powodu mleka. – Anka wymieszała długą łyżką kawę z białą pianą.

– Przecież zawsze taką pijesz? – zdziwiła się Kaśka.

– Wiem i w sumie to nie mam pojęcia dlaczego. Po prostu gdy przychodzi moja kolejka, to zamawiam to, co zawsze. Zresztą tak ładnie wygląda, jak pierzynka. I jeszcze jakiś wzór na górze robią...

– Boże, mam nadzieję, że faceta inaczej wybierasz! – Kaśka teatralnie pokręciła głową. – No to się wreszcie dowiem czy nie?

– Naprawdę było okej. Po prostu nie wydarzyło się nic takiego, że od razu by mi przyszło do głowy, że muszę ci to opowiedzieć. Mama zrobiła obiad, jakoś inspirowany tym ich wyjazdem do Indii, czyli były sosy, orientalne

przyprawy, placki jak podplomyki, ryż i tak dalej. Wszystko smaczne. Inne i smaczne.

– Marcinowi smakowało? – zapytała Kaśka.

„Powinna pracować w CBA”, pomyślała Anka. Przyjaciółka czasami naprawdę ją zadziwiała, bo umiała dojrzeć w wypowiedziach już nawet nie drugie, a trzecie dno. Przecież Anka dopiero zmierzała do sedna wypowiedzi, a Kaśka już je uchwyciła.

– Tak. Zjadł, podziękował, był miły. Tyle tylko, że miałam wrażenie, że był trochę zdziwiony. Jakby oczekiwał czegoś innego. A tu rodzice jak to rodzice – ojciec w szerokiej koszuli w jakieś mazy, mama w sukience z sieciówki, na stole kolorowo i orientalnie, a on... Bardzo ładnie – koszula, mokasyny, wielki bukiet dla mamy. Tak klasycznie, spod igły, rozumiesz.

– Czyli że średnio dopasowani teściowie i zięć – podsumowała Kaśka.

– To oczywiste, nie miałam złudzeń, że będzie inaczej. Przecież znam rodziców i jego już też trochę znam. Po prostu razem, obok siebie... Dopiero teraz było to widać.

– Ludzie mogą się różnić. Nawet dobrze, że się różnią. – Kaśka uśmiechnęła się wyrozumiale. Stosowała tę zasadę do wszystkich prócz swojego męża. On musiał być taki jak ona.

– No... Po prostu się zastanawiałam, jak ja wyglądam na ich tle.

– I co ci wyszło? – zainteresowała się przyjaciółka.

– Że się plasuję gdzieś pośrodku.

– No dobra, a co twoja mama mówiła potem, gdy już poszedł?

– Że miły, że elegancki, że przystojny. Że pewnie by się babci spodobał.

Kaśka się roześmiała.

– Twoja mama to potrafi tak bokiem coś powiedzieć. Znacząca miała na myśli, że on jest staroświecki!

– Aż tak to może nie... Zresztą dla mamy większość ludzi jest staroświecka. Może spodziewała się kogoś innego? W każdym razie nie dała nic po sobie poznać, było naprawdę miło. Marcin też zresztą nic nie mówił, tylko potem, kiedy już się żegnaliśmy, wspomniał, że może za oficjalnie się ubrał. On jest elegancki, ale w fajny sposób – nie że buty w szpic, śliski garnitur na wysoki połysk, tylko dobre jakościowo ciuchy. Taki ma *dress*

code w pracy, po pracy także się starannie ubiera. Jak ty. – Przez twarz Kaski przebiegł cień zrozumienia. – Mnie się podoba. I w sumie było naprawdę okej, tylko trochę tak, jakby dwa odmienne plemiona się spotkały. Wydaje mi się, że to dlatego, że on był chowany przez dziadków. Nie wiem, oczywiście, jacy byli jego rodzice, ale siłą rzeczy młodszy niż dziadkowie, więc pewnie bliżej im było do moich rodziców. No ale nie żyją od dawna, więc Marcin jest taki trochę... no właśnie jakby dorastał z dużo starszymi ludźmi. Wydaje mi się, że w Suwałkach czułby się jak w domu. Bardzo jest z tymi swoimi dziadkami związany, to aż wzruszające. Wiesz, jak nazywa babcię?

– No, dawaj. – Kaśka wygodniej rozsiadła się w fotelu. Teraz było widać przede wszystkim jej gładkie nogi w butach na obcasie.

– Buba. Słodko, nie? – Anka ugryzła dodane do kawy kruche serce.

– Słodko. Może nawet za słodko. Ile on ma lat, mówiłaś?

– Trzydzieści osiem. No, daj spokój, przecież nazywa ją tak od dawna. Do mamy też tak można, bez względu na wiek: mamuś, mamuniu, mateńko...

– Można. A mówisz tak?

– Raczej nie. Ale wiesz, że ja mam problem, żeby tak otwarcie wyrażać czułość. Jakoś mnie to krępuje. Zresztą nie wiem, czy mama by tak lubiła, ona sama jest przecież zupełnie inna.

– Moja podobnie. Za dużo cukru, za dużo mdłości, jak to mówią. A zatem... – Spojrzała wyczekująco na Ankę.

– Zatem co? – Anka nie rozumiała, do jakiego wniosku ta dyskusja ma doprowadzić.

– Zatem pewnie jego babcia lubi, gdy on tak do niej mówi. Bo jest jej ulubionym wnuczkiem. Jedynym wnuczkiem. Wnuczkiem-synem, spadkobiercą, sensem i celem życia. Zobaczysz, że jest jej oczkiem w głowie.

Ance zrobiło się lekko niedobrze. Może po tym mleku, może po ciasteczku, a może od tych słów.

– Nie przesadzaj. To samodzielny facet, pod każdym względem. Świetnie zarabia, ma swoje mieszkanie, bardzo ładne, w fajnym miejscu na Mokotowie, oszczędności, poglądy, potrzeby. Nic do tej pory nie wskazuje na to, że jest jakoś patologicznie z tą babcią związany.

– No, obym się myliła. U Piotrka w rodzinie jest taka świruska. Też straciła córkę i ma tylko wnuczkę. Ona była, co prawda, starsza, kiedy to się stało, bo

już na studiach, ale babcia owinęła ją sobie wokół paluszka. A to źle się czuła, a to miała problemy z chodzeniem, a to potrzebę, by z nią pójść do okulisty. I to zawsze wtedy, gdy ta biedna Paulinka chciała gdzieś wyjść ze swoim chłopakiem. Raz czy drugi to może być przypadek. Ale dziesiąty i następnym? A potem zawsze płacz i wyrzuty, że ona jest taka samotna, poza tym opiekowała się Paulisią, gdy ta była mała. I jakoś się kręci.

– Okropne, ale z Marcinem tak nie jest. Ani razu niczego nie odwołał, to znaczy odwołał, ale nie przez babcię, tylko przez pracę. I w sumie niewiele o niej mówił, to znaczy o babci. A ona nigdy przy mnie do niego nie dzwoniła. – Anka zrobiła szybki przegląd zachowań Marcina.

– A wie o tobie? – Kaśka wpatrywała się w nią jak anakonda.

– No – zaczęła dziarsko Anka. I utknęła. Niby powinna wiedzieć, bo dlaczego nie, ale z drugiej strony, czy Marcin jej kiedyś wprost powiedział, że poinformował dziadków o jej istnieniu? O ich związku?

Kaśka triumfowała. Po cichu, bez słów, ale ewidentnie.

Ance do końca odechciało się tej kawy. Pianka oklapła, wyglądała teraz jak rozpuszczona bita śmietana. Kawy w modnych kawiarniach są dobre tylko przez chwilę, zaraz po zrobieniu, przed postawieniem na stoliku i spróbowaniem. „Oby z facetami było inaczej”, pomyślała Anka.

– Weź, no nie smuć się. Przecież ja to tak z sympatii i troski. – Kaśce chyba nagle zrobiło się głupio. – Po prostu staram się zlokalizować wszelkie możliwe rafy, żebyś się o nie nie rozbiła, tylko je ominęła. Zresztą może na wyrost, bo wcale go nie znam. No, Anka?

Spróbowała się uśmiechnąć. Kaśka ją bardzo lubiła, na pewno nie chciała jej dokuczać. Po prostu na wszystko patrzyła racjonalnie. A nawet bardziej niż racjonalnie, bo z dwóch wersji wybierała tę ze szklanką w połowie pustą. „Miej mniejsze oczekiwania, będziesz mieć większą radość”, powtarzała. A Anka lubiła mieć oczekiwania. Ciche, ale wyraziste. Marcin był bardzo wyrazisty.

– No, powiedz coś, bo...

W torbie Anki zawibrował telefon.

– Sprawdzę kto, przepraszam – powiedziała.

„Marcin”, zobaczyła na wyświetlaczu.

– Cześć! – powiedziała dziarsko.

– Cześć, najdroższa! – Z drugiej strony popłynął aksamitny głos. – Właśnie skończyłem pracę i pomyślałem sobie...

– Jestem z Kasią. – Anka postarała się, by zabrzmiało to jak czysta radość, a nie informowanie o trudnościach z ewentualnym spotkaniem.

Kaśka niby to przerzucała „Czas Kobiet”, który Anka jej przyniosła, ale strzygła uchem. Zresztą siedziały tak blisko siebie, że chcąc nie chcąc, musiała słyszeć ich rozmowę. A pewnie chciała.

– Ach, no tak. – Za to Marcin stracił trochę animuszu. – Czyli z kawy nici. Ale może kolacja wchodzi w rachubę? Najlepiej taka ze śniadaniem?

Anka poczuła znajome mrowienie. Rozwinął się u niej sposób reagowania jak u psów Pawłowa. Słowo „kolacja” przywodziło od razu na myśl miłą knajpkę, pyszne jedzenie, spotkanie dłoni i ich wędrówkę pod stolikiem, a potem upojny seks przy zapalonych świecach. Tak, Marcin to był fantastyczny facet, który na pewno nie ukrywałby jej przed babcią. A jego babcia nie mogła być upiorną zazdrośnicą.

– Tak, oczywiście. Posiedzimy sobie jeszcze, potem pojedę metrem do domu...

– Wpadnę po ciebie, daj tylko znać, że jesteś gotowa. – Żadnych wyrzutów, proste rozwiązanie.

– Jasne. – Anka znowu czuła się świetnie. Precz, głupie podszepty!

– No to miłego popołudnia, pozdrów Kasię.

– Jasne, pa, kochany. – Anka już się miała rozłączyć, gdy usłyszała:

– A, poczekaj, bo zapomniałem. Mam nadzieję, że na najbliższy weekend nie masz żadnych planów.

– Nie, niczego.

– No tu super, bo jesteśmy zaproszeni do moich dziadków. Nie mogą się doczekać, żeby cię poznać.

– Jasne, bardzo się cieszę!

Anka odłożyła telefon do torebki. Powoli zapięła zamek. Potem podniosła głowę, spojrzała na Kaśkę i powiedziała:

– Marcin dzwonił. Kazał cię pozdrowić. I idziemy do jego dziadków na obiad, bo chcą mnie poznać.

Kaśka powoli podniosła się z fotela. Był tak wyprofilowany, że kolana układały się wyżej niż pas i człowiek się lekuchno składał, jak scyzoryk.

– No, to alarm odwołany. Ale nie ma tego złego – teraz pewnie jeszcze bardziej się cieszysz na to spotkanie, niż gdyby nie było tej rozmowy, co?

Anka się roześmiała. Kaśki nie sposób było nie lubić. I prawda, cieszyła się jeszcze bardziej. „Och, życie potrafi być naprawdę w porządku”, pomyślała, dodając ciasteczko w kształcie serca. I nawet zimna, rozbełtana kawa smakowała całkiem nieźle.

Rozdział trzynasty



Kwiecień 1940 roku

– A ty byś nie chciała wyjść za mąż? – Maria układała lekarstwa w przeszklonej szafce, a Sara cięła gazę na mniejsze kawałki, żeby były gotowe do opatrunków. Gdy usłyszała pytanie Marii, nożyczki zbczyły z wytyczonej trasy i drasnęły ją w środkowy palec lewej ręki.

– Och! – westchnęła cicho. Od pamiętnego styczniowego spaceru jej relacja z Janem – już nie doktorem Górskim, choć tę familiarność zostawiali na czas, kiedy byli tylko we dwoje; w pracy wciąż pozostawali dla siebie panem doktorem i siostrą Sarą – wkroczyła w nowy etap. Nie tylko zresztą ona – w Zofiówce panowały coraz trudniejsze warunki. Z przedwojennej kuracyjnej atmosfery nie zostało prawie nic. Brakowało miejsc, pieniędzy, pracowników. Coraz trudniej było zapewnić pacjentom odpowiednią opiekę psychiatryczną; w pierwszej kolejności zajmowano się ich podstawowymi potrzebami życiowymi, i to na coraz niższym poziomie. Sara myślała, że to ironia losu – Zofiówka była początkowo wzorowana na podberlińskim Zehlendorfie. Miała

być drugą tego typu placówką w Europie – gdzie pacjent, mimo że o odmienniej, ułomnej konstrukcji psychicznej, jest pełnoprawnym członkiem społeczności. Tymczasem ci, którzy stworzyli ów wzór do naśladowania, czyli Niemcy, teraz jasno mówili, że jeśli ktoś jest Żydem, to nie jest pełnoprawnym członkiem społeczności. A jeżeli dodatkowo jest Żydem z chorobą nerwową, to właściwie jest już całkiem poza społeczeństwem. Zofiówka coraz bardziej zaczynała przypominać skupisko ludzi wyrzuconych poza nawias.

Sarze oczywiście się to udzielało, spędzała bowiem tam większą część dnia, czasem brała też dyżury nocne. Z jednej strony ta niespodziewana miłość do Jana była kołem ratunkowym, dzięki któremu utrzymywała się na powierzchni coraz duszniejszego wojennego życia, z drugiej zaś – pulsującą niepewnością. Dodatkowo ojciec Sary szukał kolejnego kandydata na jej męża, już wprost mówiąc, że zięć nie tylko musi utrzymać Sarę, lecz także byłoby dobrze, żeby był całe rodziny stał się dzięki temu małżeństwu bezpieczniejszy.

Sara była rozdarta. Zakochana, więc rozmarzona, jak każda młoda dziewczyna. Ale jednocześnie pełna lęku: czy taka pomieszana miłość ma szansę? Jaka przyszłość ich czeka – w trudnych czasach, bez wsparcia rodziców (Jan ich już nie miał, ojciec Sary natomiast miał jasny ogląd obowiązków męża względem żony i nie wspierałby córki, zwłaszcza że sam coraz mocniej uginał się pod ciężarem problemów, a o innych różnicach między nimi nawet nie było co wspominać), ba, jaka przyszłość czeka ją, Żydówkę? A Jana, Polaka – przy jej boku? Była także przepełniona wyrzutami sumienia – że sprzeciwia się ojcowskiej woli, że nie dba o potrzeby rodziny i że nosi w sercu szczęście, bo czy można być szczęśliwą, gdy wokół tyle nieszczęścia?

Z tych wszystkich powodów jej miłość na razie pozostawała w ukryciu. Zwykle zakochani chcą wykrzyczeć całemu światu swoje uczucia, ale Sara nie miała teraz zaufania do świata, więc wolała go nie informować o uniesieniach swojego serca. Jan podążał za jej chęciami, rozumiał jej obawy. Chodzili więc na spacer, ale w mniej uczęszczane rejony Zofiówki lub w otwockie lasy, Jan odprowadzał Sarę do domu, to znaczy na róg jej ulicy, a potem patrzył, jak jej sylwetka maleje, aż wreszcie niknie w drzwiach drewnianej willi. Rozmawiali ze sobą w pracy, spotykali się na posiłkach. Wymieniali czułe uściski dłoni pod stołem, gdy jedli obiad, namiętnie i pospiesznie się całowali w pokoju pielęgniarskim.

Sara właściwie chętnie by o tym z Marią porozmawiała, nawet kilka razy się przymierzała, by zacząć, ale ostatecznie się nie zdecydowała, trochę z wstydu, trochę z lęku. Może teraz, to pytanie, to odpowiedni moment...?

– Chciałabym. Tylko że tata...

– Tata! A cóż ojcowie mają do tego? Przecież nie twój tata będzie z twoim mężem żył! – Maria miała dziś bojowy nastrój. Od kilku dni, to znaczy od powrotu z domu, dokąd pojechała na święta wielkanocne, wydawała się jakaś podminowana, ale jej poglądy odpowiadały temu, co się kotłowało w duszy Sary.

Tak, to chyba był dobry moment.

– Nie możesz sobie sama znaleźć jakiegoś miłego żydowskiego chłopca? Nawet tu, w zakładzie. Przecież od jakiegoś czasu pojawiają się także pacjenci, którzy tylko w teorii się leczą, a tak naprawdę to są tu na przeczekanie. Na przykład ten Szaja z pawilonu trzeciego. Nie zauważyłaś, jak on na ciebie patrzy? Tylko wypatruje, czy nie idziesz korytarzem. Gotów specjalnie zachorować, żebyś mu kładła zimne okłady na czoło.

Sara niczego takiego nie zauważyła. Widać uczucie do Jana tak ją pochłonęło, że zupełnie nie zwracała uwagi na innych mężczyzn.

– Nie, nie widziałam. Ja... Wiesz, Marysiu, chyba nawet jest ktoś taki, kto by... – zaczęła.

Maria aż podskoczyła z ekscytacji. No wreszcie! Więc jest nadzieja dla tej biednej, spłoszonej dziewczyny, że nie podzieli losu matki, babki i tak dalej.

– No to mów! Umieram z ciekawości! Taka jesteś cichutka, tylko praca, po pracy do domu, a tu... No kto to? Jakiś kolega twojego brata? A może któryś z lekarzy? – Maria dała jej lekkiego kuksańca w bok.

Sara zadrżała. A więc to widać! Na nic jej uważność, skoro Maria się zorientowała. To pewnie i inni wiedzą. Niedobrze.

– Poczekaj, to na pewno ten Abram Majzner! – Maria postanowiła sama zgadnąć. – On nawet na mnie robi pewne wrażenie, mimo że jest Żydem. To znaczy nie zrozum mnie źle, ja po prostu z urody wolę nasz typ, ale on jest taki miły. I takie piękne ma dłonie... Ale podobno ma także jakąś umówioną dziewczynę w Karczewie, więc... – Zawiesiła głos. No, takiego ruchu po Sarze by się nie spodziewała, więc trop chyba mylny.

– Nie, to nie on... Ja bym nigdy nie mogła wejść tak między dwoje. – Sara

odetchnęła. Maria jednak nie wiedziała i źle obstawiała.

– Ach, no teoretycznie to ty masz rację. Ale miłość, jeśli się zjawi i jest prawdziwa, to jest też bezwzględna. – Maria powiedziała to z uśmiechem, ale nie był to uśmiech pogodny, raczej uśmiech zwycięzcy, pewnego, o co walczył. – Widać ten twój chłopiec, o którym nie chcesz powiedzieć, to jeszcze nie to. Bo gdyby to było to, nie miałybyś wahań.

„Tak, spodziewać się po Sarze szaleństwa, samo w sobie byłoby szalone”, pomyślała Maria.

Teraz to Sara już całkiem nie wiedziała, czy wspominać o Janie. Maria, pogodna, ciepła, miękko-kobieca, z jasnym spojrzeniem oczu, mówiła takie dziwne rzeczy. Może jednak coś się w tym Mińsku wydarzyło? Więc zamiast zwierzyć się jej z sercowych spraw, zapytała:

– Marysiu, a nie stało się coś złego w domu? Bo, nie obraź się, jakby w ciebie co wstąpiło od tego ostatniego wyjazdu.

Maria najpierw lekko poczerwieniała, i Sara się przestraszyła, że to pytanie, mimo że w dobrej wierze zadane, jest zbyt osobiste i Maria już nie będzie chciała się z nią przyjaźnić. Ona jednak westchnęła głęboko i powiedziała:

– Cóż, nie tylko w żydowskich rodzinach ojcowie by chcieli układać swoim córkom życie. Mój papa – powiedziała to ironicznie – także ma takie pragnienia. Że idę w lata, a żyję samotnie. I jeszcze mi podsuwał takiego jednego. Kopyciarza! Że niby ludzie zawsze będą potrzebować chleba i butów, a to taki dobry człowiek. Brrr! – Maria się otrząsnęła. – Jeszcze bym może zrozumiała, gdyby on sam do czegoś w życiu doszedł. A on – urzędniczyna. Nigdy nie będzie mieć więcej, niż ma. Przecież widzę, jak się matka męczy! Płaszcz ten sam od nie wiem ilu lat, kilkukrotnie nicowany. Pierścionek ma jeden, zaręczynowy, tak cienki, że cud, że się jeszcze nie wytarł, zwłaszcza że jej ręce tyle pracy wykonują – w wodzie się moczą, zimnej lub gorącej, obierają, czyszczą, gotują, piorą, wynoszą, podnoszą! Dzień do dnia podobny i tak aż do śmierci. Och! A to wszystko w imię czego? – Wymierzyła tym pytaniem w Sarę. Niech dziewczę wreszcie przejrzy na oczy.

– Rodziny? – zapytała Sara.

– Rodziny? No, pewnie tak. Ale nie w imię miłości. Bo gdyby to było w imię miłości, tobym to zrozumiała, przyklasnęłabym. Ale w tym domu nie ma miłości. Są obowiązek i wieczna mordęga. Nigdy nie powtórzę takiego

losu, nigdy! – Maria zatrzasnęła drzwiczki szafki i przekręciła w nich klucz. – I tobie też radzę, z serca przyjaciółki – nie idź za zaaranżowanego męża. To jakby się dać pogrzebać za życia. A zobacz! – Wskazała głową na okno, i dalej, za szybą, na świeżo zielone drzewa, jasną trawę, pierwsze kwiaty. – Świat jest taki piękny. A wiesz dlaczego?

Sara pokręciła głową.

– Bo natura jest niezłomna. Zamiera i się odradza. Niby ustępuje jesieni i zimie, niby ginie i karleje, ale z wiosną odżywa. Przebija się przez ziemię, przez tę starą ściółkę, i żyje.

To zdanie było jak iskra, która rozpałała w Sarze ognisko odwagi. Powie Marii o Janie; nie będzie już sama nieść tej tajemnicy. Maria na pewno ją zrozumie.

– Marysiu, ja to wszystko pojmuję, bo...

W tym momencie drzwi się otworzyły i w progu zabielił się lekarski fartuch.

Jan Górski. Sara poczuła ścisk w gardle. Jeśli potrzebowała znaku, że warto się zwierzyć, to on się właśnie pojawił.

– Siostró Mario, potrzebna jest siostra w pokoju zabiegowym. Jedna z pacjentek bardzo brzydko sobie rozcięła dłoń, trzeba będzie opatrzyć. A potem jeszcze będzie potrzebna siostra w pawilonie drugim, do pielęgnacji odleżyn.

Sara patrzyła na Jana – zmęczonego, ale z błyszczącymi oczami. Troska o podopiecznych dodawała mu uroku. Poczła miłe ciepło na sercu. Uśmiechnęła się do niego, on odwzajemnił ten uśmiech. Oboje wiedzieli, że kryje się pod nim coś więcej niż koleżeńską sympatią. Poczła ulgę. Będzie dobrze. Ma przy sobie właściwych ludzi.

– Już idę, doktorze. Wezmę jeszcze dodatkową porcję ligniny z szafki i zaraz przyjdę. – Maria znowu wyciągnęła klucz z kieszeni fartucha i umieściła go w zamku.

Gdy Jan wyszedł z gabinetu, obróciła się w stronę Sary.

– Cóż za uroczy mężczyzna. I jaki atrakcyjny – westchnęła Maria.

Przez Sarę przepłynęła kolejna fala radości. Jej serce dobrze wybrało.

– Za takiego mogłabym wyjść za mąż – dodała przyjaciółka.

Nie, to nie był dobry moment na wyjawienie ich związku.

Rozdział czternasty



– Rany, jak tu jest pięknie! – Ance aż odebrało dech. Pewnie większość ludzi jakoś się wzrusza, gdy widzi coś ładnego, ale Anka odbierała urodę świata wręcz fizycznie – coś ją ścisnęło w brzuchu i gardle, kazało przystanąć i po prostu patrzeć w obezwładniającym zachwycie. Widok był nierzeczywisty.

Zatrzymali się niedaleko szosy, na ślepym odcinku starej asfaltowej drogi prowadzącej w głąb lasu. Potem asfalt się zwężył, zaanektowany przez naturę – bujne krzewy, rozróżnione konary drzew, wysokie trawy weszły na drogę i zaczęły ją zarastać. Po kilkuset metrach utwardzona trasa się kończyła. Teren gwałtownie się obniżał, trzeba było zejść z piaszczystej, dość stromej skarpy. Na dole krajobraz był inny – już nie mieszany, gęsty las, a szerokie łąki z pojedynczymi starymi topolami. Kolory jak na sawannie – późne, suche lato zmieniło zielenią w żółto-beżowo-ugrowe barwy. Szli wąską ścieżką, wyznaczaną przez szlak. Aż doszli do kolejnej skarpy, z której rozpościerał się właśnie ten niesamowity widok – na Wisłę. Płynęła szeroką granatową wstęgą, omijając piaszczyste łachy. W miejscach, gdzie odbijało się słońce, woda miała nierzeczywisty, księżycowy kolor. Po drugiej stronie widzieli szerokie białe plaże. Przed sobą – bezkres łąk. Wiał lekki wiatr, pachniało...

naturą. Anka nie potrafiłaby inaczej nazwać tego zapachu.

– Ładnie, co? – Marcin był wyraźnie zadowolony, że to on ją zaprowadził w tak piękne miejsce.

– A skąd znasz te tereny? Z jakiegoś przewodnika? – zapytała Anka. Nigdy tu nie była. Te podwarszawskie ziemie były jej obce.

– Ten fragment trasy tak, sprawdziłem wśród szlaków Mazowsza. Ale samo miejsce pamiętam z dzieciństwa. Tę skarpe, ale przede wszystkim plażę, na którą idziemy. Jest przed nami, jakieś dwa kilometry stąd. Byłem na niej w dzieciństwie, teraz bym nie trafił bez pomocy mapy. Ale zapamiętałem ją, bo wtedy zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Świder wpada tam do Wisły. Mała, płytka rzeka o ładnych i łagodnych brzegach łączy się z żywiołem. Idziesz tą cicho płynącą płycizną i nagle się zatrzymujesz przed wartkim nurtem i głębinami. A dokoła cudne plaże. Dziadek mnie tu kiedyś przywiózł. Stałem wtedy wryty i zachwycony, jak ty teraz.

– Często tu przyjeżdżaliście?

Marcin westchnął.

– Tylko ten jeden raz. Pamiętam awanturę, jaką Buba zrobiła dziadkowi, kiedy się dowiedziała, że przyjechaliśmy do Otwocka się kąpać. Że chyba oszalał, że to takie niebezpieczne miejsce, że na pewno się utopię i tak dalej. Wiesz, lęki o dziecko. Dziadek nic nie powiedział, ale się ugiął. Efekt był taki, że od tamtej pory pływałem tylko w basenach. To co, idziemy na tę przerażającą plażę?

Poszli.

Gdy dotarli do miejsca, w którym Świder łączy się z Wisłą, Anka pomyślała, że to jeszcze cudowniejszy widok niż ten ze skarpy. Zdjęli buty i szli po rozgrzanym piasku w kierunku wody. Zatrzymali się nad brzegiem, a właściwie nad dwoma brzegami, w miejscu, gdzie wody się łączyły.

– Rzeczywiście, Wisła to nieokiełznany żywioł. – Anka przyglądała się rwącej toni. – Wpadniesz i przepadniesz.

– Jak ja w miłość do ciebie. – Marcin ją przytulił. – Ale prawda, trzeba nie mieć oleju w głowie, by się w niej kąpać. Cholernie niebezpieczna rzeka. Jednak wtedy, gdy byłem małym chłopakiem, dziadek mnie naprawdę pilnował. Raz podeszliśmy razem w to miejsce, a potem się cofnęliśmy. – Pokazał ręką w głąb Świdra. – Ciągle mi przypominał, żebym się nie zbliżał

do Wisły. Tłumaczył to babci, ale była nieugięta. I tak, dla świętego spokoju... – Rozłożył ręce w geście poddania się.

– Babcia nosi w domu spodnie? – zapytała Anka. Przypomniała się jej rozmowa z Kaśką. Chciała o to zapytać jakoś tak delikatnie, więc niby zażartowała.

– Nie, nigdy. Ani razu jej nie widziałem w spodniach. Nawet do lasu wkłada spódnice. Wiesz, to przedwojenny styl. – Marcin się roześmiał. – Ale tak na serio... No, jest coś z tego. Powiedziałbym, że babcia kieruje domem. Nigdy nie pracowała zawodowo. Nie musiała i chyba zresztą nie chciała. No i czasy były inne. Zajmowała się dziadkiem, moją mamą... A potem, gdy ja się pojawiłem na świecie, to mną. Mama szybko wróciła do pracy, wtedy urlopy macierzyńskie były krótkie. Pracowała w laboratorium, była diagnostką. Wiesz, że jeszcze pamiętam te sale? Z menzurkami, mikroskopami, próbkami, paniami w białych fartuchach. Unosił się tam taki specyficzny zapach. Dziwny, ale mnie się podobał. I było cicho. No, więc mama wróciła do pracy, a ja byłem pod opieką babci, szefowej domowej logistyki.

– A powiedziałaś, że babcia jest... – Anka szukała właściwego słowa – ... dominująca? Władcza? – „Dobra, niech to wybrzmi”, pomyślała.

– Nie, ale pewnie mam spaczony osąd, bo bardzo ją kocham. Nie bój się, też ją polubisz. Jej się nie da nie lubić. Może bywa czasem stanowcza czy gderliwa, ale ma złote serce. I jest strasznie rodzinna. I świetnie gotuje. Przekonasz się jutro. O, czuję, że mi burczy w brzuchu. Chodźmy do samochodu, a potem pojedźmy do Otwocka i poszukajmy jakiejś knajpy, dobra?

Wracali do auta. W drugą stronę trasa też była piękna. Niby ten sam krajobraz, a jednak, widziany z innej perspektywy, wyglądał odmiennie. „Jak różne sprawy w życiu. Zależy, z której strony spojrzeć”, pomyślała Anka. Była ciekawa tego jutrzejszego spotkania. Marcin milczał, zresztą ścieżka była wąska, więc szli gęsiego, a tak się trudno rozmawia. Anka oddała się więc rozmyśleniom, co jutro na siebie włoży, żeby podobać się zarówno Marciniowi, jak i Bubie.

Doszli do samochodu. Okropnie się nagrzał. Nie znosiła zapachu gorącego plastiku. Kiedy była mała i jeździła z rodzicami polonezem, robiło jej się niedobrze od tej woni. Teraz ta nuta była dużo delikatniejsza, bo samochód Marcina był zupełnie innej generacji i klasy, ale coś z tego okropnego

zapachowego skojarzenia zostało. Dobrze, że do miasta było blisko.

* * *

– Myślałem, że będzie tu jakiś lepszy wybór – westchnął Marcin, gdy wreszcie usiedli w stylowej kawiarni na obrzeżach parku. Na szczęście mieli tu także kilka potraw barowych na słono, więc zamówili na obiad coś innego niż wielkie puchary lodowe lub kawa mrożona z bitą śmietaną.

– Rzeczywiście. Zupełnie inaczej sobie wyobrażałam to miasto – odparła Anka. – Że całe będzie miastem-ogrodem, jak Podkowa. Lub zabudowane pięknymi willami. W końcu to miejscowość uzdrowiskowa. A tu kebab i kuchnia chińska w budkach na placu... Okropnym zresztą – centrum miasta i tak szkaradnie.

– Przed wojną było uzdrowiskowe. Potem to już chyba nie? – Marcin z przyjemnością pił zimną colę przyniesioną przez kelnerkę. Ania zamówiła wodę.

– Też. Szpital dla gruźlików, dla astmatyków, leczenie chorób psychicznych. Tu podobno jest unikatowy mikroklimat, ze względu na połączenie lasów sosnowych i Świdra. Andriolli, wiesz, ten od ładnych ilustracji do książek, kupił tutaj ziemię i zbudował kilkanaście domów na wynajem. Uważał, że wypoczynek w tym miejscu koi nerwy, leczy i cieszy. Gałczyński nazwał później ten charakterystyczny styl budowania, taki między wzorcami mazowieckimi a tymi z alpejskich wsi, świdermajerami. To wszystko tak ładnie funkcjonowało. A teraz...

– Nasza kawiarnia też w tym stylu. – Kelnerka z uśmiechem postawił przed nimi talerze. Prawda, kawiarnia była zbudowana z drewna, miała piękne tarasy – przeszklony i na świeżym powietrzu, starannie wykonane detale.

– Dziękujemy. – Marcin kiwnął głową. – Nooo – powiedział przeciągle i z uznaniem, przesuwając wzrok w kierunku Anki – widzę, że się przygotowałaś.

– Niespecjalnie. Na studiach to miałam.

– Proszę. A myślałam, że tylko czytałaś powieści.

– Wyobrażenia ekonomistów na temat humanistów. Że żyją książkami, a świat mógłby dla nich nie istnieć. Błąd. Mamy kontakt z rzeczywistością,

i to niezły. – Anka wygodniej się rozmościła w wiklinowym fotelu.

– Tak dobry, jak te quiche? – Marcin z lubością wziął pierwszy kęs parującego placka.

– No... Może ciut gorszy.

Jedzenie było pyszne.

* * *

– A to mój wkład w wycieczkę. Robi wrażenie, co? – Marcin rozglądał się dokoła, wyraźnie zafascynowany.

Anka też była pod wrażeniem, choć... Miała mieszane uczucia. Bo z jednej strony, rzeczywiście, była w tym miejscu jakaś tajemnica, groza może nawet, wspomnienie historii, ale równocześnie – smutek.

– A tu w ogóle wolno wchodzić? – zapytała, gdy szli po nierównej ścieżce. Korzenie drzew podniosły płyty, trzeba było wciąż zerkać pod nogi, żeby się nie potknąć.

– Chyba tak. Z tej strony, z której przyszliśmy, jest mur i brama, ale otwarta. A od tyłu podobno nie ma ogrodzenia. Zresztą gdzieś na tym terenie ktoś jeszcze mieszka. W tych starych budynkach, w których wcześniej był zakwaterowany personel, są, zdaje się, lokale komunalne.

– Ale to musiało być piękne! – westchnęła.

Przystanęli przed wysokim budynkiem.

– Zobacz, te duża okna ze szprosami. Między obiema częściami taras, pewnie zadaszony, z widokiem na sosny. Kręcone schody. O, nawet widać fragmenty starej posadzki.

– Trzeba wyobraźni, żeby to dojrzeć. – Marcin patrzył w tym samym kierunku, ale chyba widział co innego: zniszczony dach, oberwane rynny, młode brzozy na dawnym tarasie, potłuczone szyby w oknach, zasprejowane ściany.

– Pewnie tak. Tu humanistka różni się od ekonomisty. – Anka się uśmiechnęła, ale wciąż czuła ten ucisk w żołądku. Ruszały ją takie miejsca, gdzie każdy kamyk, każdy kafel i deszczułka były świadkami historii. – Patrz,

tam są kolejne budynki. – Wyciągnęła rękę i pokazała w głąb lasu. – Ile tu ich ma być?

– Nie wiem. – Marcin wzruszył ramionami. – Chyba kilka. Te zawody odbywają się tutaj. Na zdjęciu wygląda tak samo. – Wpatrywał się w ekran komórki. – „Poligon Zofiówka. Teren dawnego szpitala psychiatrycznego w Otwocku, wejście od Kochanowskiego”. Wszystko się zgadza.

– A to jest legalne?

– W sumie to nie wiem – przyznał Marcin. – Kiedy jeździłem na zawody paintballowe, to one były albo w lasach, albo na jakimś terenie prywatnym, typu strzelnica. W takim miejscu – nigdy. Przypadkiem zobaczyłem tę ofertę. W zamkniętej grupie, więc... – Przerwał znacząco. – To było niedawno, może miesiąc temu. Pomyślałem, że skoro już tu jesteśmy, to warto zobaczyć. I jestem pod wrażeniem. Jest naprawdę klimatycznie.

– Jest – przyznała Anka. – Ale tak jakoś... Wiesz, tu ludzie się leczyli, pewnie i umierali. No i to tak niszczeje, żal po prostu.

– Paintballowcy nie niszczą, te bazgroły to jakaś gówniarzeria. I amatorzy piwa. – Marcin kopnął zgniecioną puszkę. – No, to chyba starczy, co? Pójdziemy w jakieś przyjemniejsze miejsce?

– Właściwie... Ja też się przygotowałam, kiedy się dowiedziałam, że mnie zabierasz do Otwocka. Nie chodzi o świdermajery i Andriollego. Chciałabym tu coś zobaczyć.

– No dobra. A jaki adres? – Marcin znowu sięgnął po komórkę. – Włączę mapę. Co wpisać?

– Wpisz ulicę Reymonta.

Marcin wstukał nazwę w ekranik. Przez chwilę czekał na wyznaczenie trasy, potem przyjrzał się jej i powiedział:

– Okej, to całkiem blisko, już wiem, jak iść. A co tam jest?

Anka uśmiechnęła się delikatnie.

– Miejsce związane z pewnym wierszem. Więcej ci powiem, kiedy dojdziemy.

* * *

– „Przestrzelił świat matczyny: dwie pieśszczotliwe zgłoski. / Trupa z okna wyrzucił na święty bruk otwocki”.

Anka wpatrywała się w niepozorny dom pomalowany na żółto. Czuła taki sam ucisk w brzuchu jak przy tej Zofiówce.

– Jezu, a o kim to? – Marcin na pewno się nie spodziewał takiego rozwiązania zagadki. Nie był fanem poezji, więc nie dopytywał, ona nie dopowiedziała. Dopiero teraz.

– O Adeli Tuwim. Matce Tuwima. Ukrywała się pod tym adresem podczas wojny. Przechowywała ją jakaś Polka, Rybakowa się nazywała. No ale się nie udało...

– Dlaczego?

– Nie wiem. Właściwie należałoby się dziwić, gdyby się udało. Takie historie zdecydowanie częściej nie kończyły się szczęśliwie. Niemcy ją znaleźli. Zastrzelili i zrzucili ciało z balkonu. Była pochowana na podwórku, dopiero po wojnie Tuwim ją przeniósł na cmentarz. I napisał wiersz. Bardzo piękny, wzruszający. Z tym właśnie fragmentem o bruku. Omawialiśmy go na zajęciach z literatury. „Grób mojej Matki Polki, mojej Matki Żydówki”.

– To ona była Polką czy Żydówką? – Marcin gubił się coraz bardziej.

– Polką pochodzenia żydowskiego. Zasymlowaną Żydówką.

– A Tuwim? Znaczy rozumiem, że tak samo, ale kim on się czuł?

– Chyba podwójnie. Antysemita zarzucali mu, że jest Żydem, który udaje Polaka, Żydzi – że wybrał polskość. Ironia, co?

– No, trochę. A on przeżył wojnę? Też był w Otwocku?

– Nie. Zaraz na początku, w trzydziestym dziewiątym, wyjechał do Francji.

– I tak ją zostawił samą, to znaczy matkę? – zdumiał się Marcin.

– On był wtedy już dorosłym mężczyzną, po czterdziestce. Zresztą kto mógł wiedzieć, że ta wojna tak się potoczy? – Anka nigdy wcześniej nie myślała o tym w ten sposób. To było dwoje dorosłych ludzi, a okoliczności – okropne.

– Ale nie próbował jej jakoś stąd wyrwać? Przecież był znany, no chyba mógł coś zrobić?

– Aż tak dokładnie to nie wiem, nie śledziłam tej historii. Gdyby mógł ją

uratować, toby to zrobił. Przecież to jego matka. – „Kto by nie chciał ratować matki?”, pomyślała Anka.

– No ale skoro miał pieniądze na wyjazd, na życie za granicą... Zresztą oni zwykle mieli pieniądze. – Marcin nie odpuszczał tego wątku.

Anka poczuła niemiłe mrowienie na plecach. Ta wycieczka, od momentu wędrowki po Otwocku, zaczynała się robić jakoś dziwna. Miało być beztrosko, słonecznie. W tym miejscu – czule, tkliwie. To naprawdę piękny wiersz, o matce, a Marcin jest sierotą.

– Kto „oni”? – zapytała po chwili, choć nie musiała. Albo inaczej: właśnie musiała, żeby mieć absolutną pewność, że Marcin mógłby powiedzieć coś takiego.

– No... – Zacukał się. Pierwszy raz od początku ich znajomości. I pierwszy raz Anka nie patrzyła na niego tak wiernie zakochanym wzrokiem. Na pomniku zrobiła się rysa. – Żydzi. Przecież tak było przed wojną. Nawet tu – większość budynków była ich. Przecież nie bez powodu się mówiło „nasze ulice, wasze kamienice”. I teraz też tak jest. Na przykład w bankach.

– Marcin, mieli pieniądze, bo potrafili zarabiać. To przestępstwo? Powód do potępienia? Po co mówić „oni”? Kiedy mówisz „oni”, to wtedy dajesz do zrozumienia, że są w innej grupie niż ty. Obcy, różni. A stąd krok do... – Zamilkła, ale postanowiła dokończyć: – Do tego, co się stało Adeli Tuwim.

– Aniu, chyba przesadzasz. – To było powiedziane tonem niezadowolonej nauczycielki, która jednak nie chce wypaść z roli wyrozumiałej pedagoga. – Szukasz drugiego dna. A jego nie ma. Poza tym odbiegliśmy od tematu, to znaczy od tego, że on porzucił matkę. Związał, a ona tu została. Tak się chyba nie robi, co?

Anka czuła się nieswojo. Nie wiedziała, czym ta rozmowa się skończy. Wolałaby ją uciąć już teraz, zostawić, żeby nie padło coś jeszcze gorszego.

– Nie wiem, co się robi w takiej sytuacji. Bo to była sytuacja ekstremalna. Znamy się tak dobrze, jak życie nas sprawdziło. Jesteś pewien, że ty byś został, gdyby w grę wchodziła twoja babcia? Mama? Albo... ja? A może wybrałbyś ratowanie swojego życia?

Marcin milczał. Odwrócił się i patrzył na niepozorny budynek, który ich tu przywiódł.

– Myślę, że bym nie zostawił nikogo, kogo kocham. Ale zgoda, nigdy nie

byłem w podobnej sytuacji. Tu przyznaję ci rację. Co do nich, to znaczy Żydów... To nie tak, że ich nie lubię, ale przecież są narody, z którymi jest nam nie po drodze. Wyszłabyś za Niemca na przykład? – próbował obrócić tę rozmowę w żart.

– Chodzi ci o wojnę? Że Niemiec zawsze naszym wrogiem? To tyle lat już... Okropne winy, okropne czyny, ale to minęło. Nie można w nieskończoność żywić urazy. Nienawidzić. Zresztą mnie to nie dotknęło w osobisty sposób.

– No ale byś się zastanowiła, pewnie czułabyś jakiś opór. Ja po prostu... Dobra, nieważne. Aniu – chrząknął – nie psujmy tego dnia. Był naprawdę miły. Nie we wszystkim musimy być identyczni. To znaczy nie we wszystkim jesteśmy, ale do tej pory to nas wzbogacało jako parę. I niech tak zostanie. – Przytulił ją.

A ona po raz pierwszy nie poddała się temu gestowi tak naturalnie i lekko. Coś ją kłuło. Jakaś małeńka zadra weszła w duszę.

* * *

Wieczorem Anka nie mogła zasnąć. Przewijała w głowie film z dzisiejszej wycieczki. Generalnie było super. Piękne miejsce, przyroda jak z filmu, cudowny spacer, uroczy obiad. Zaczęło się psuć potem. Najpierw to smutno-piękno-ponure miejsce, gdzie Marcin ją zabrał, a potem jeszcze gorzej pod adresem, który ona chciała zobaczyć. Co ją podkusiło? Miejsce śmierci matki poety oglądane podczas randki. Rany! Nie każdy musi mieć jej wrażliwość, ona zresztą bywała czasami nadwrażliwa. Na przykład nie potrafiła zdeptać mrówki czy zabić muchy. Płakała, gdy oglądała zdjęcia psów w schronisku. Uwielbiała poezję. A Marcin? Był facetem. I tak na tle średniej wypadwał świetnie. A że... że tak głupio powiedział o Żydach...? Mama zwykle kwitowała taki stereotypowy tekst słowami: „Taki u nas klimat”. Może to przez dziadków? Starsi ludzie tak myślą, kliszami. Ale przecież jutro jedzie do tych dziadków...

Znowu przewróciła się na bok. Było gorąco. Wciąż i wciąż. Chyba naprawdę planetę dopadło ocieplenie, przecież kiedyś tak nie było. Przygotowała sobie na jutro ładną sukienkę – szmizjerkę. Dość opiętą, elegancką, z rękawem prawie do łokcia. Oby w tym mieszkaniu było chłodno.

Pewnie będzie, bo to stare budownictwo, takie mury nie wpuszczają ciepła.

Znowu się przekręciła. Cholera, no nie da rady. Wstała, poszła do kuchni, nalala sobie wody do szklanki. Spojrzała na kuchenkę – za kwadrans pierwsza. Będzie jutro niewyspana, z sińcami pod oczami. Znowu się położyła.

Telefon zachrobotał na stoliku. Podniosła się i spojrzała na wyświetlacz. Wiadomość od Marcina. Widać też nie mógł spać.

„Kocham Cię. Bardzo. Wczoraj też Cię kochałem. I jutro również będę. Zawsze”.

Uśmiechnęła się do rozświetlonego ekranu. Wszystko jest dobrze i będzie dobrze. Nagle ogarnęła ją senność. Wybrała ikonkę serduszka i wysłała ją Marcinowi. Potem odłożyła telefon na stolik i zasnęła mocnym, głębokim snem.

Rozdział piętnasty



Sierpień 1940 roku

– Saro, nie pojmuję, co się z tobą dzieje. Może po prostu nie rozumiem młodych kobiet, bo sam jestem starym już mężczyzną, ale przecież rok temu też byłem stary, ty również byłaś młoda, a wiedziałem, co moja córka myśli.

– Mans Flinkier gładził brodę, chodząc po pokoju. – Jakub Lubliner – nie, Abram Grytzman – nie. Jakby tylko „nie” w języku istniało!

– Abram Grytzman jest wdowcem! – wybuchnęła Sara. Pomysły ojca były coraz gorsze. Choć rozumiała, co nim powoduje. Abram Grytzman był właścicielem piekarni. „Ludzie zawsze będą potrzebować chleba i butów”. Widać wszyscy ojcowie myślą podobnie i wiara nie ma tu nic do rzeczy.

– Ale czy on jest wdowcem ze swojej winy? – Mans przestał krążyć po pokoju. Teraz stał przed córką, wpatrując się w nią. – Czy to przez niego pani Grytzman umarła?

Sarze przypomniały się inne słowa Marii z tej samej rozmowy: „Nie idź za

zaaranżowanego męża. To jakby się dać pogrzebać za życia”. Pani Grytzman podobno umarła na zapalenie płuc, ale...

– Dzieci ma – broniła się dalej.

– A dzieci cóż? Dwoje tylko. Prawie odchowane. Zresztą to córki, to niedługo za mąż pójdą.

– Nie chcę, tato. – Spuściła wzrok.

– Nawet się z nim nie spotkałaś, Saro. I tak bez tego wiesz, że to nie mąż dla ciebie? Skąd ty to możesz wiedzieć?

„Bo kocham innego”, miała na końcu języka. Ale to nie był dobry moment. „Nigdy nie jest dobry moment”, pomyślała Sara. „Może to po prostu nie jest odpowiedni mężczyzna dla mnie? Może to ja się mylę, nie inni wokół?” A potem, trzeci już raz, wróciła do niej ta dyskusja z Marią: „Gdyby to było to, nie miałybyś wahań”. Nie, nie miała. W środku była tego pewna.

– Bo kocham innego. – W końcu to powiedziała.

– A kogo takiego?! – Ojciec był zdumiony.

Skoro zrobiła pierwszy krok, postawi i następny. Już nie ma odwrotu. Trudno, najwyżej ojciec przestanie się do niej odzywać, wygna ją, powie: „Już nie mam córki Sary”.

– Chodzą po domach! – Okno w jadalni zamknęło się z hukiem, gdy Dawid wpadł do pokoju. Widać był tak przejęty, że nie zamknął drzwi wejściowych.

– Kto chodzi? Po co chodzi? – zapytał zdezorientowany ojciec. Jeszcze przed chwilą rozmawiał z córką o zamążpójściu, a teraz musiał zgadywać, kogo ma na myśli jego przerażony syn, choć oboje z Sarą, bez dokładniejszego tłumaczenia, wiedzieli, że nic dobrego z tego się nie może.

– Przynoszą wezwania. – Dawid się trząśł. Nie doszedł jeszcze do siebie po zimowym chorowaniu. Zresztą nie było specjalnie jak się odkurować, skoro trzeba było chodzić do pracy. Latem w składzie opału zajęcia nie było nawet dla jednego z Flinkierów, więc pomagał Lublinerom. Tu jednak było zdecydowanie więcej zachodu niż wynagrodzenia, ale poświadczenie o pracy stanowiło konieczność.

– Dokąd te wezwania? I kogo wzywają? – Ojciec ciężko opadł na krzesło przy stole. Oddychał z trudem. Sara się przestraszyła, że to coś z sercem. Podeszła do niego, ale ruchem ręki pokazał, że nic mu nie jest.

– Przynoszą wezwania do obozu pracy. Gdzieś pod Lublinem. – Dawid usiadł przy nim. Ukrył twarz w dłoniach.

– Ale przecież chyba nie tobie, bo ty masz pracę... – zaczęła Sara.

Nie udało się jej skończyć, gdy w progu pojawił się mężczyzna z pomarańczowo-niebieską opaską na ramieniu. Policja Żydowska. Sara poczuła, że kurczą się jej płuca, że już nie są w stanie pobierać i wymieniać powietrza. Oparła się plecami o ścianę.

– Szalom – powiedział ojciec.

– Szalom – odparł ten mężczyzna.

Sara go kojarzyła. Chodziła do szkoły z jego córką Miriam. Prowadził wtedy chyba jatkę. Miriam tylko kilka miesięcy była w ich placówce, potem przeszła do innej, tańszej, a później, zdaje się, w ogóle zaprzestała takiej edukacji.

– Pismo mam, dla Dawida Flinkiera. – Spojrzał na niego jak na obcego, jakby nigdy w życiu nikogo z Flinkierów nie spotkał. – Wezwanie do pracy w obozie w Tyszowcach.

– Dlaczego Dawid? – zapytał ojciec. – Przecież on ma zajęcie, u Lublinera jest zatrudniony. Papiery też ma. A czy my się nie znamy? Czy nie kupowaliśmy mięsa u Gujskiego?

„Miriam Gujska, zgadza się”, przypomniało się Sarze.

Mężczyzna nieznacznie kiwnął głową. Więc on też ich kojarzył.

– Rada decyduje, nie ja – odparł. Prosto i bez emocji. – Trzeba się stawić jutro rano na Umschlagplatzu.

Coraz częściej w tym nowym wojennym świecie nie obowiązywały żadne zasady ze starego życia. „Lęk, to wszystko z lęku. To pierwotna siła, która ludźmi kieruje. Jeśli mają wybrać między swoim a cudzym życiem, to oczywiście, że wybiorą swoje”, powiedział Jan. Tak właśnie było.

Ojciec patrzył na Gujskiego i nic nie mówił. W tym spojrzeniu było jednak nieme pytanie, oczywiste dla wszystkich zebranych w tym pokoju.

– No, jak ktoś ma – mężczyzna w charakterystyczny sposób poklepał się po kieszeni – to może... Więc albo... albo jutro rano zbiórka. Kto się będzie ukrywał... Lepiej pracować, choćby i w obozie, niż być zabitym.

Gdy wyszedł, cała trójka milczała jeszcze przez dobrych kilka minut.

Pierwszy odezwał się ojciec:

– Może to lepsze będzie niż praca tutaj? W końcu skoro wiozą tak daleko, to przecież nie po to, żeby... żeby było źle.

Dawid pokiwał głową, Sara także. Ona w to nie wierzyła. A jej brat...?

Wieczorem usłyszała, jak ojciec płacze. Starał się tłumić spazmy, ale cały się trząsał. Kiedy się uspokoił, zaczął rozmawiać z żoną. „Boże, czym, ci zawiniłem, że doświadczasz mojego syna?”

Nie zmrużyła oka.

* * *

Rano się okazało, że nie tylko Dawid dostał skierowanie do pracy. Jakub Lubliner również. Jednak jego nazwisko zniknęło z listy.

– Pieniądze, gdybyśmy mieli pieniądze! – Mans Flinkier po ostatniej nocy postarzał się o kilka lat. Spojrzał na Sarę wzrokiem pełnym bóleści, ale też wyrzutu.

„On mnie o to obwinia”, pomyślała. „Przecież gdybym wyszła za Jakuba, to i Dawida dałoby się uratować”. Fala żółci podeszła jej do gardła. Wybiegła z pokoju na podwórko i zwymiotowała. Potem się wyprostowała, przytrzymując się drewnianej ściany budynku, i próbowała ustać na miękkich nogach. Czowała się okropnie. „Boże, spraw, by ta miłość do Jana była tego warta”, myślała, dygocąc. Przecież w tym wszystkim musi być jakiś sens, po prostu musi.

* * *

– On nie wróci – powiedziała do Jana, gdy po obchodzie wyrwali się na kwadrans ze swoich obowiązków. Stali między drzewami, za blokiem czwartym, tym ostatnim, od przypadków beznadziejnych. – Nie wróci, rozumiesz? Z takich miejsc się nie wraca. Odprowadziliśmy go rano z ojcem. Mama się wymówiła jakąś pracą w domu i pożegnała się z nim na podwórku. Kiedy wróciliśmy, leżała na łóżku i płakała. Nie sądziłam, że można tyle płakać. Nie chciała iść, bo wiedziała, że nie da rady nie płakać przy nim. Jej

pierworodny... – Po policzkach Sary zaczęły kapać łzy. – A my z ojcem zostawiliśmy go na tym placu, jakbyśmy go odprowadzali na kolej do Warszawy po jakiś sprawunek. Pożegnaliśmy się tak zwyczajnie, jakby miał niebawem wrócić, choć trzeba było go uściskać i powiedzieć mu, że go kochamy. Bo to była ostatnia szansa. Rozumiesz, Janie? – Wyszepiała i wtuliła głowę w jego rękaw.

Jan ją przytulił.

– Rozumiem – powiedział, choć nie był pewien, czy rzeczywiście rozumie. To znaczy rozumiał, ale nigdy nie musiał czegoś takiego przeżywać. On też był zakochany w Sarze, ale teraz, w tym momencie, nad miłosnym uniesieniem wzięła górę czułość. Ochronić tę dziewczynę przed całym złem tego świata – tego chciał.

Tak samo pomyślała o tej scenie Maria, która wracała z magazynu z naręczem czystych prześcieradeł. „Nasza biedna Sara. Nasza mała, biedna Żydówka”. Jej serce też było przepełnione czułością – wobec doktora. „Taki mężczyzna i do tego dobry człowiek”, pomyślała.

Sara zaś, zmęczona szlochem, w bezpiecznych objęciach Jana, przypomniała sobie to beztróskie leżenie na piasku rok temu. Tak, właśnie tak sobie wyobrażała uścisk jego ramion – silny i pewny. Ocalający. „Jeżeli to jest cena za szczęście, to zrobię wszystko, by nasza miłość była warta tej ceny”.

Rozdział szesnasty



Kamienica była bardzo ładna. Ładniejsza niż ta, w której mieszkał Marcin. Przedwojenna, starannie odnowiona, w bocznej, cichej uliczce. Też na Mokotowie. I całkiem blisko mieszkania Marcina. To było trochę... niepokojące. Marcin wytłumaczył Ance, że mieszkanie, w którym żył, odziedziczył po rodzicach. Przez lata stało puste – dziadkowie nie potrafili go ani sprzedać, ani wynająć. Gdy był na studiach, wprowadził się do niego. Dziadkowie kupili to mieszkanie jego mamie, kiedy wyszła za męża. Żeby być pod ręką, bo wiadomo, zaraz się pojawią wnuki, będzie potrzebna pomoc, a tak będzie wygodniej. „Nigdy mi ta bliskość nie przeszkadzała. Wręcz przeciwnie – obiady u Buby, pranie, prasowanie... No wiem, trochę nadużywałem. Ale babcia sama mówiła, że chętnie, że się nudzi, że nie ma innych zajęć. A co do mieszkania... Nie sprzedałbym go. To pamiątka po rodzicach”. Anka to rozumiała. Jasne, już wcześniej wiedziała, że dziadkowie mieszkają w tej samej dzielnicy. Ale że to tak nieduża odległość? Anka mieszkała na Ursynowie, w bloku z wielkiej płyty. Złożyli się na nie rodzice, dziadkowie i jeszcze musiała dobrać kredyt. Miało dwa nieduże pokoje i na tym kończyły się jego zalety. Rodzice mieszkali na Grochowie. Również

w bloku. Z przydziału, jak to w tamtych czasach. Mama wspominała, że i tak byli przeszczęśliwi, że mają swoje klucze i własny adres. Przez trzy lata po ślubie waletowali u wujka taty. Miły, fajny, bezproblemowy, Anka go pamiętała. Ale mieli u niego do dyspozycji jeden pokój, gdzie z trudem mieściły się wąski tapczan, nieduże biurko i szafa. Ściany były cienkie, intymności brak. Choć mimo to, w takich niesprzyjających warunkach, powołali do życia Ankę. Jak to mama skwitowała: „Było szaro, nudno, bez nadziei na zmiany. Ludzie potrzebowali ciepła, odskoczni, Ignęli do siebie. Właściwie mieli tylko siebie, i to wtedy, gdy byli razem. Nic na odległość, nic wirtualnie. To i dzieci się rodziły”. Więc Anka się urodziła, już na Grochowie, a dokładniej to w szpitalu na Szaserów. Mama wozila ją w dostanym w spadku po dzieciach przyjaciółki wózku po skwerku, gdzie hulał wiatr, a teraz jest śliczny park z placami zabaw i kawiarnią. Wtedy Grochów to były wschodnie rubieże Warszawy. Zresztą i teraz prawa strona Wisły uchodzi za gorszą. A Suwałki, gdzie mieszkali jej dziadkowie...? Koniec świata.

Ciekawe, ile myśli może przyjść człowiekowi do głowy, gdy stoi przed klatką takiej eleganckiej kamienicy i czeka na chłopaka, który zapomniał zabrać z domu pożyczone od babci pojemniki, w których dostał ostatnio potrawkę cielecą. Marcin wrócił po opakowania, a Anka czekała na niego w cieniu ozdobnego wejścia. Dłoń spocila się jej od bukietu czerwonych róż, który kupila dla Buby. Uznała, że powinna coś przynieść w prezencie, a kwiaty wydały się jej najlepsze. Gdy się kogoś nie zna, są najbezpieczniejszym wyborem. W kwiaciarni było ich zatrzęsienie: bukietiki, które wyglądały, jakby były zerwane z angielskiej łąki, oryginalne rośliny o geometrycznych kształtach, obłędnie pachnące lewkonie, margerytki. Zdecydowała się na róże. Wysokie, sztywne, dostojne, burgundowoczerwone. Powinny pasować do babci Marcina. Ona też się ubrała tak, by pasować. Pozapinała wszystkie guziki tej schludnej szmizjerki, dobrała do niej buty na niedużym słupku, spięła włosy w kok. Wyglądała elegancko i skromnie. Nie jak dziewczyna z Ursynowa, Grochowa czy z Suwałk. Bo właśnie o to chodziło. Czuła się troszkę gorsza. Troszkę niepewnie. Troszkę nie z tej bajki. Pewnie dlatego się denerwowała przed tym spotkaniem. Pomyślała o tarasie u dziadków i stoliku przykrytym ceratą. O bieżniku w przedpokoju. O kapach na tapczanach i narzucie zrobionej przez babcię na szydełku. W tym wyrosła, to był jej świat. Oczywiście, że lubila warszawski pęd, wielkomiejskość, piękne wystawy, ale to nie było jej środowisko naturalne.

– No, już jestem. – Na zalanej słońcem ulicy pojawił się Marcin. W ręku

trzymał bawełnianą torbę. – I tak pewnie zabierzemy je z powrotem, z jakimś wsadem. – Uśmiechnął się. – Pięknie wyglądasz. I ten bukiet też. Dziadkowie będą zachwyceni. Chodźmy.

Mieszkanie było takie, jak sobie wyobrażała. Albo takie, jak to, które opisywał Prus, przedstawiając zamożne mieszczaństwo: długi korytarz, jak w poczekalni, z którego wchodziło się do kolejnych pokoi. Na podłodze gruby wełniany dywan, w innych pokojach również było widać miękko zasłane parkiety. Ciemnobrązowe meble, dużo bordowego, na ścianach obrazy, na półkach bibeloty i wazony. Dostatnio i statecznie.

– Bardzo się cieszę, że przyszlście. – Babcia pocałowała Marcina w oba policzki, Ance podała rękę.

Buba też była taka, jak Anka sobie wyobrażała. Zadbana starsza pani. Niezbyt wysoka, dość korpulentna, w taki sposób, w jaki obrastają ciałem kobiety o tak zwanej kobiecej sylwetce – wszędzie po trochu, wszędzie lekka kołderka tłuszczu. Ubrana w elegancką plisowaną spódnicę, choć korzystniejszy byłby fason nieposzerzający bioder. Jedwabna bluzka, złoty naszyjnik. Na nogach skórzane pantofle na koturnie. Krótkie włosy starannie ufarbowane na blond i zaondulowane. Twarz upudrowana, ale delikatnie. Czerwona szminka. Przy tej szmince Anka pomyślała, że trzeba być do niej przyzwyczajonym, żeby i w takim wieku wybierać mocny karmin. Na dłoniach szeroka obrączka i dwa pierścionki. Bardzo pasowała do tego wnętrza lub to wnętrze bardzo pasowało do niej.

Dziadek przytulił Marcina, tak po męsku, ją pocałował w dłoń.

– Więc to jest ta cudowna dziewczyna, o której mój wnuk opowiadał? Miło poznać.

Dziadek także był elegancki. W spodniach od letniego garnituru i lnianej koszuli, bardzo starannie odprasowanej, choć z natury powinna być lekko pomięta. We wsuwanych zamszowych pantoflach. Był wysoki i szczupły. Teraz trochę zgarbiony, ale i tak miał doskonałą sylwetkę. Siwy, ale włosy miał bujne. Twarz pociągła, szczupła. I dwoje ładnych niebieskich oczu. „Musiał być naprawdę przystojny w młodości”, pomyślała Anka. Właściwie to wciąż był. Babcia Marcina nie była brzydka, ale miała pospolitą urodę. Jego twarz się zapamiętywało.

Babcia przyjęła kwiaty, zachwycając się nimi:

– Cudowne, naprawdę. Bardzo szlachetna odmiana. Włóż, proszę –

zwróciła się do męża – do tego kremowego wazonu w salonie.

Dziadek przejął bukiet i poszedł w głąb korytarza.

– A tu twoje pojemniki, babciu. – Marcin wręczył jej torbę.

– Och, pamiętałeś. – Pogłaskała go po policzku i odebrała pakunek.

Anka przez moment się wahała, czy zdjąć buty. Marcin zsunął swoje mokasyny, zostając w kolorowych skarpetkach, no ale on tu był na prawach domownika. Ona zaś czułaby się głupio bez butów, na bosaka. Albo w kapciach – zauważyła w wiklinowym koszu filcowe papucie z wyhaftowanym napisem „Dla gości”. Gdyby jej zabrać eleganckie słupki, od razu wyglądałyby gorzej – brzydziej, niepasująco. Zresztą miała czyste buty, susza była taka, że nie widziała kałuży od kilku tygodni.

– To co, idziemy? – zapytała babcia. Nie wspomniała o butach, ale Anka czuła, że właśnie o to chodzi. Ten moment zawahania, jakby coś jeszcze było do zrobienia, jakby jakiś element rytuału nie został wykonany.

– Tak – odpowiedziała jednak. Nie miała pasujących do wystroju pereł, to przynajmniej buty sobie zostawi.

Salon był kwintesencją panującego w tym mieszkaniu stylu. Gęste firanki, suto marszczone zasłony z aksamitu, storczyki na parapetach. Wielki dywan w drobny wzór, z frędzlami. Pod ścianą kredens z przeszkloną nadstawką, w której było widać porcelanę: filiżanki, dzbanki, talerzyki. Po drugiej stronie szafki biblioteczne, też przeszklone. Na środku duży stół z dostawionymi krzesłami, których na pierwszy rzut oka nie zliczyła. Przykryty bielusińskim obrusem z jakiejś szlachetnej tkaniny. W środku stał jasny wazon z przyniesionym przez Ankę bukietem, a dookoła: salaterki z różnymi sałatkami, miseczki z owocami, chyba w occie, marynowanymi grzybami, talerze z wędlinami, nawet półmisek ze śledziem. Do tego woda, kompot, sok. Koszyk z pieczywem. A to miał być obiad, więc na pewno będzie danie na gorąco. Rzeczywiście, babcia się postarała.

– No to zapraszam do stołu, nie będziemy tak stać. – Babcia wykonała zachęcający do zajęcia miejsca gest ręką.

Anka już miała sięść, gdy zauważyła, że ubrudziła sobie dłoń od folii aluminiowej ściskającej różę.

– Chętnie skorzystałabym z łazienki. – Pokazała zabrudzenie, jakby chciała się wytłumaczyć, że to nie siku, tylko mycie rąk przed jedzeniem.

– Zaprowadzę. – Dziadek Marcina stał najbliżej niej. Marcin i Buba znajdowali się z drugiej strony stołu. – Proszę za mną, pani Aniu.

Wyszli z salonu. Mieszkanie było naprawdę spore. Wzdłuż korytarza naliczyła cztery pary drzwi, po każdej stronie.

– Duży metraż – powiedziała, bo nie lubiła ciszy, gdy z kimś była.

– Za duży. – Dziadek na chwilę przystanął i obrócił się w jej stronę. – Dla naszej dwójki zdecydowanie za duży. Kiedyś, gdy Marcinek był mały i Małgosia...

No tak, Małgorzata, ich córka, mama Marcina.

– Właściwie wtedy też było za dużo miejsca. A teraz...

– To bardzo ładne mieszkanie. Widać przedwojenny rozmach. – Anka naprawdę była pod wrażeniem powierzchni. I chciała uciec od tematu zmarłej córki. Jej dwa małe, niskie pokoje były jak pomieszczenie dla służby w porównaniu z tymi przestrzeniami. Nie zazdrościła dziadkom Marcina, bo właściwie niczego nikomu nie zazdrościła, po prostu pomyślała sobie, jak inne było życie przed wojną od tego, co potem oferował ludziom PRL. Oczywiście, jeśli było się odpowiednio urodzonym. W innym wypadku można było mieszkać na robotniczym Powiślu lub biednej Pradze.

– Tak. Tej części Mokotowa się poszczęściło, wojna nie wyrządziła tu tylu strat, co gdzie indziej. Proszę, tu jest łazienka, a obok toaleta. Zostawiam panią bezpiecznie u celu. – Uśmiechnął się do niej. Po raz drugi tego popołudnia Anka pomyślała, że ma ładne spojrzenie. Łagodne, ale jednocześnie męskie. To był taki typ mężczyzny, jak na przykład Paul Newman. Młody – przystojny, starszy – przystojny i ciekawy. Uroda, która szlachetniała z wiekiem, nabierała interesującej patyny. „Pod tym względem dziadkowie Marcina średnio do siebie pasują”, pomyślała, wycierając rękę w czyściutki ręcznik. „Ona jest taka... nijaka”. Zawsze ją fascynowało, co takiego mają w sobie te przeciętnej urody, niczym niewyróżniające się kobiety, w których zakochują się bardzo przystojni mężczyźni. Z opowieści Marcina wynikało, że czułość, wierność, oddanie, troskę. Właściwie dlaczego nie? Przecież się burzyła na ten kult kobiecej urody – tu niewiele od człowieka zależy. Takie geny dostał, jakich miał przodków. Trochę można poprawić, ale tylko trochę. Po prostu była przyzwyczajona, że w najbliższych jej parach rozkład atrakcyjności fizycznej wyglądał w ten sposób, że więcej było po stronie kobiet: piękna, filigranowa babcia i dość pospolitej urody dziadek; śliczna mama i swojski chłopak, czyli tata. A ona? Anka spjrzała

w duże lustro w złoczonej ramie. Bardzo ładnie wyglądała, dziś szczególnie. „Pasujemy do siebie z Marcinem”, pomyślała. Długo spała wczorajszej nocy. A gdy się obudziła, niedobre myśli odeszły. „Każdemu się zdarza coś palnąc. Albo nie pomyśleć”. Do końca przegnał je oszałamiająco kolorowy bukiet od Marcina, który dał jej, gdy po nią przyszedł.

Lekko przyglądała włosy i wyszła z łazienki. Teraz trochę wolniej, rozglądając się, szła przez korytarz w kierunku salonu. Tak, całe mieszkanie było zanurzone w przeszłości, każdy chyba przedmiot pamiętał czasy przedwojenne: meble, bibeloty, obrazy. Fajna ciągłość pokoleniowa. U niej w rodzinie tego nie było. Babcia straciła podczas wojny rodziców i brata, dziadek – siostrę, rodzice zmarli kilka lat później. Zresztą dziadek pochodził ze wsi, a kamienica babci została zniszczona podczas powstania. Nie mieli szczęścia. To ją troszkę zakłuło, ale co temu winni dziadkowie Marcina? Los czasem działa na oślep.

Weszła do salonu.

– Bardzo piękne mieszkanie – powiedziała, gdy trzy pary oczu skupiły się na niej.

– Dziękuję, staram się, żeby było przytulnie. – Skromnie uśmiechnęła się babcia.

– Urocze są te wszystkie pamiątkowe przedmioty: meble, dekoracje, drobiazgi. To wszystko przedmioty z międzywojnia, prawda?

– Tak – potwierdziła babcia.

– Pewnie mają dużą wartość sentymentalną? Fajnie, że udało się je ocalić z wojennej zawieruchy. Takie rodzinne skarby.

Babcia tylko lekko się uśmiechnęła.

– Nie, to nie są pamiątki rodzinne, niestety. – Dziadek wyprowadził ją z błędu. Chyba wbrew woli babci, bo na moment spochmurniała.

– Ach, bo myślałam... – Anka się spieszyła. Już sobie ułożyła w głowie historię.

– Ale są stare. Żona ma taką pasję, że lubi kolekcjonować stare przedmioty.

– Kiedyś rzeczy były ładniejsze. Solidniejsze. Potem – ach, szkoda gadać. Ale my tu tak stoimy, jakby krzesel brakowało. Usiądźmy, proszę. – Babcia ujęła Marcina za ramię i skierowała w stronę krzesła.

Anka podeszła bliżej stołu. Na kredensie zauważyła starą fotografię w srebrnej ramce. Ona i on, bardzo szykowni, młodzi, zdjęcie zrobione chyba gdzieś w centrum Warszawy.

– Coś jednak zostało z tamtych lat – ucieszyła się. – Może to nawet cenniejsze niż meble.

– Nie, to też kupne – wyjaśnił dziadek. Babcia była zajęta przestawianiem czegoś na stole.

Anka się zdziwiła. Kupować zdjęcia obcych ludzi i ustawiać je w salonie? Fakt, fotografia była śliczna, ale...

– Zupełnie nic nie zostało po wojnie? – zapytała. Może nie powinna, ale to wszystko wydało jej się dziwne. Jakby była w teatrze. Albo w muzeum. Na jakiejś wystawie.

– Nic. – Smutno pokiwał głową dziadek. – Wszystko straciliśmy – dodał ciszej, odsuwając jej krzesło. Właściwie powiedział to bardziej do siebie niż do niej. I chyba tylko ona to usłyszała.

– No, kochani, to skoro taka okazja, to chyba oprawa będzie odpowiednia? – Marcin sięgnął po butelkę wina, którą przyniósł ze sobą. – Uśmiechnął się do Anki. – Opowiadałem wam już o Ani. Że jest piękna, mądra, wrażliwa i że miałem szczęście ją spotkać. A dzisiaj wy się poznajecie. I mam nadzieję, że to będzie początek bardzo dobrej znajomości. – Wyjął korek i zaczął nalewać wino. Najpierw babci, potem Ance, dziadkowi i na końcu – sobie. Uniósł kryształ. – Za przyszłość!

Oni też podnieśli swoje kieliszki i upili trochę czerwonego płynu. „W domu zanurzonym w przeszłości picie za przyszłość sprawia dziwnie wrażenie”, pomyślała Anka.

– No, a teraz proszę się częstować. Już pewnie wszyscy głodni. Pani jest taka szczupła. – Babcia zwróciła się do Anki. Siedziały obok siebie, naprzeciwko – panowie.

– Taka uroda. U nas w rodzinie kobiety są drobnej budowy – powiedziała Anka. Może trochę nietaktownie, biorąc pod uwagę tuszę babci Marcina.

– Geny, taki los – westchnęła teatralnie, ale przyjaźnie. Chyba rzeczywiście była fajna. – Ma pani oryginalną urodę. Taką... niespotykaną. I piękne oczy.

– A, to po mamie. I po babci. Znajomi się śmieją, że wyglądamy jak ta sama osoba, tylko na zdjęciach robionych co dwadzieścia lat.

– A czym się pani zajmuje? Marcinek wspominał, że pisaniem? – Babcia płynnie przechodziła od pytania do pytania, jakby miała przygotowaną listę.

– Tak. Jestem dziennikarką w miesięczniku. „Czas Kobiet”, może pani zna? Babcia się namyśliła.

– Chyba nie. Jestem starej daty. „Poradnik Domowy” czytam, „Przekrój”, ale mi się nie podoba, kiedyś był lepszy. A takich zupełnie współczesnych to nie. Już nie dla mnie. Ja jestem kobieta domowa. – Zaśmiała się. – A pani? Przepraszam, że tak pytam, ale... wie pani, teraz świat się zmienił. Kobiety chcą być równe mężczyznom, zajmować ich miejsca. A kto wtedy będzie chuchał na to domowe ognisko? I dzieci rodził? Tu się nie da wprowadzić równouprawnienia.

– Babciu, przecież widzisz, że Ania jest niezwykle kobieca. O żadnej zamianie ról nie ma mowy. – Marcin płynnie wtrącił się do rozmowy.

Wszyscy się roześmiali. „Sprytnie z tego wybrnął”, pomyślała Anka. Jednak w tym, co podejrzewała Kaśka, musiało być trochę prawdy. Starsza pani była konserwatywna. I najwyraźniej lubiła, gdy świat funkcjonował po jej myśli.

– No dobrze, dobrze. To pozostając w kwestii kobiecości, przyniosę pieczeń i sos. Duma gospodyni! – I poszła do kuchni.

– Buba chce dobrze – powiedział dziadek. – Dom to dla niej świętość. Wiem, że wy, młodzi, inaczej teraz żyjecie. I dobrze, każda epoka ma swoje prawa.

– Dziadek jest postępowy. – Marcin pokiwał głową.

Tak, byli do siebie podobni. Nie tak, że skóra zdjęta, ale było widać, że z tych samych genów ulepieni. Takie samo mieli spojrzenie – przenikliwe, pociągające, niebieskie.

– Już jestem. – Babcia wróciła z półmiskiem i sosjerką.

– Pomógłbym ci. – Marcin się poderwał.

– Daję radę – uspokoiła go. – To o czym tam szeptaliście, gdy mnie nie było? Pewnie coś przeciwko mnie? – Zaśmiała się, ale z pewną czujnością.

– A jest coś, czego się wstydzisz? – zapytał ją lekko zaczepnie Marcin.

– No wiesz! – Spłonila się.

– Żartowałem przecież. Wiem, jak kochasz dziadka. Ale...

– Ale co? – Babcia stężała, nakładając sobie plaster pieczeni na talerz. Podpuszczenie przez wnuka przyjmowała z pewną rezerwą.

– Ale opowiadałem Ani, jaka byłaś nadopiekuńcza, kiedy byłem mały.

– No wiesz, różne rzeczy się zdarzają, dzieciom zwłaszcza. Chwila nieuwagi i nieszczęście gotowe. Dzieci trzeba pilnować jak oka w głowie.

– Trzeba. Ale kiedy jest z nimi ktoś dorosły... – Marcin się uśmiechnął.

– To znaczy? Proszę. – Podała Ance półmisek. – Kruche, nawet noża nie potrzebuje.

Anka też wzięła plaster pieczeni. Rzeczywiście, wyglądała, jakby się miała rozpaść. Babcia Marcina była niezrównaną gospodynią.

– No na przykład na plaży. Pamiętasz, jak kiedyś pojechałem z dziadkiem nad Wisłę?

– Nad Świder – wtrącił dziadek, jakby się usprawiedliwiając, że nie chciał utopić wnuka we rwącym prądzie.

Babcia spojrzała na nich. Nawet po tylu latach nie potrafiła podejść do tego z odpowiednim dystansem, bo lekko ściągnęła usta.

– Nie ma po się narażać niebezpieczeństwo. A tak to się nauczyłeś pływać pod okiem instruktora, bezpiecznie i dobrze.

– Ale tam jest pięknie – powiedziała Anka. – Marcin mnie tam zabrał wczoraj. Niezwykłe miejsce, zupełna magia. Te łąki nad skarpą, wysoki brzeg, ujście Świdra, wąskie ścieżki szlaku, kolory dojrzałego lata...

– Ania jest humanistką, mówiłem wam. – Marcin słuchał jej z przyjemnością. – Ale, żeby oddać sprawiedliwość, to dołożę łyżkę dziegciu do tego poetyckiego opisu. Potem pojechaliliśmy do Otwocka, i tam było... no, już dużo brzydziej.

– A gdzie byliście? – zapytał dziadek.

– Trochę pochodziliśmy w poszukiwaniu restauracji, ale ostatecznie wylądowaliśmy w miłej kawiarni na terenie parku – powiedziała Anka. – Bardzo tam ładnie, park jest zresztą remontowany, to znaczy cała infrastruktura. Pochodziliśmy po mieście, ale to było dość przygnębiające. Ślady dawnego uroku niszczą, w centrum jakieś brzydkie pawilony, przedziwne połączenie.

– Taki los wielu miast po wojnie – stwierdziła babcia. – A Warszawa jaka biedaczka... Komuś jeszcze pieczeni?

– A potem byliśmy w jeszcze dziwniejszym miejscu. – Marcin się ożywił. – Wielki teren, wysoki mur, stara brama – wyglądało jak z horroru.

– A po co w takie miejsca chodzić? – zdziwił się dziadek.

– Bo tam są rozgrywki... – Nagle urwał.

– Paintballa – dokończyła za niego Anka.

– Dziadkowie nie lubią tego sportu – powiedział Marcin. – Dlatego się zreflektowałem.

– Bo co tu lubić – strzelanie do ludzi? – Dziadek wzruszył ramionami. – Tłumaczyłem ci – w naszym pokoleniu broń się kojarzy tylko z zabijaniem na serio, nie dla zabawy. Zresztą jaka to może być zabawa?

– Ach, no co wy o takich sprawach. Za oknem ładnie, my tu w takim miłym gronie, a wy... Sosu? – Babcia lekko się uniosła, z sosjerką w dłoni.

– Dobrze, Buniu, dobrze. – Marcin pokiwał głową i uniósł dłonie w geście oznaczającym poddanie się. – Ale samo miejsce naprawdę niezwykle. Mogliby tam kręcić thriller. Aniu, jak się nazywało, bo wyleciało mi z głowy?

– Zofiówka. – Anka nabrała trochę sosu i oddała sosjerkę babci, która teraz polewała swoją pieczeń.

– Och, ależ ze mnie niezdar! – Najpierw usłyszeli głucho plaśnięcie metalowej łyżki o stół, a potem zobaczyli dwie brązowe plamy – na śnieżnobiałym obrusie i jedwabnej bluzce Buby.

– To nic. – Anka się poderwała. – Pewnie przez ten gorąc, wszyscy jesteśmy zmęczeni upałem.

Co prawda, w tych starych murach było chłodnawo, ale wystarczyło wyjść, by wpaść pod żarzące słońce, to na wszystkich źle działało.

– Ja... – zaczęła babcia. Widać było, że jest zmieszana. Ance zrobiło się jej żal – tyle starań, przygotowań, a tu takie coś. Dla niej to nie miało znaczenia, cóż tam pobrudzona bluzka czy zachlapany obrus, ale babcia włożyła w to tyle pracy... No i chciała wpaść idealnie. A tu – taka plama.

– Zaraz to wytrę – Marcin wstał od stołu. – Idę do kuchni po gąbkę.

– Pójdę się przebrać – powiedziała babcia. Była blada.

– Dobrze się czujesz? – zapytał dziadek, wyraźnie przejęty jej stanem.

– Tak. To... chwilowe.

– Pomogę ci. – Wstał od stołu i wziął żonę pod rękę.

Anka została sama w tym dużym pokoju – jakby nagle aktorzy zeszli ze sceny, a ona, na widowni, nie wiedziała, czy to już koniec przedstawienia.

Po chwili wyczekiwania zaczęła jeść. Mięso i sos były naprawdę przepyszne.

Rozdział siedemnasty



Listopad 1940 roku

Sara nie mogła już patrzeć na Jakuba. Każdego dnia rano, kiedy siedzieli przy stole w tej lichej kuchni, żołądek podjeżdżał jej do gardła. Wiedziała, że musi jeść, bo słabi szybciej umierają, ale z trudem połykała kolejne kęsy chleba. Potem szła do pracy, gdzie zakasywała rękawy i pracowała tak, jakby od tego jej życie zależało; później wracała, zdawkowo rozmawiała z ojcem i matką, wymawiając się zmęczeniem, wymieniała kilka zdań z Lublinerami, myła się w wąskiej wnęce za kotarą i szła spać. Leżeli z Jakubem po obu stronach tej samej cienkiej ściany, która dzieliła ich pokoje. Słyszała jego pochrapywanie, wiedziała, kiedy się obraca na skrzypiącym łóżku.

Boże, cóż to była za ironia losu! Nie chciała go jako męża, a i tak mieszkali pod jednym dachem. „Nie tak nas los miał złączyć”, powiedział Mans Flinkier. Dwie mezuzy na jednej framudze.

Zarządzeniem starosty powiatu warszawskiego w Otwocku wytyczono getto. Mieli tam mieszkać wyłącznie Żydzi. Zamieszkujących ten teren

Polaków przeniesiono do domów opuszczonych przez Żydów, Żydów – zakwaterowano w dawniej polskich domach. Proporcje były jednak zachwiane, więc Żydzi musieli się gnieździć po kilka rodzin w jednym mieszkaniu. Flinkierowie dostali ten sam przydział co Lublinerowie, którzy pewnie by się wykupili z tej marnej lokalizacji, ale widać uratowanie Jakuba znacząco nadszarpnęło ich budżet.

Mieli oddzielne pokoje, ale i tak się mijali – na korytarzu, w kuchni. Pokoje zresztą były przechodnie, a Flinkierowie dostali ten pierwszy – mniejszy, ciemniejszy i przez który wędrowano.

Więc Jakub mijał Sarę, przywołując wspomnienie z tego dnia, gdy pożegnali Dawida. Od najstarszego dziecka Flinkierów nie było żadnych wieści. Ojciec i matka byli pełni najgorszych przeczuć – widziała to po ich ciemnych oczach, które straciły cały blask. Mimo to, gdy Rebeka pytała o brata, odpowiadali, że jeszcze nie napisał, ale na pewno się odezwie.

Ojciec nie tylko się postarzał, lecz także jakby zmałał, skurczył się. To było tak, jakby zniknięcie Dawida odebrało mu część życia. „A czy po mnie by tak rozpaczął?”, zastanawiała się Sara. Czy brak Dawida bolał go tak bardzo, bo Dawid był synem? Dlaczego synowie są ważniejsi dla ojców? Może w ogóle dla rodziców? Matka, do tej pory zawsze, nawet jeśli w niemy sposób, ją popierała. Teraz się od niej odsunęła. Już jej nie przytulała, już nie rozczesywała jej włosów, nie posyłała krzepiących spojrzeń. Z matki też uchodziło życie. Sara zaś czuła się rozhuśtana od emocji – od ogromnego poczucia winy do uzalania się nad sobą. Czy naprawdę miała wyjść za mąż za Jakuba, by chronić brata? A jeśli i Lublinerom w końcu skończyłyby się pieniądze, a skończyłyby się na pewno, bo i oni pozostali teraz bez majątku, a ich zasoby finansowe widocznie topniały, to czy chroniliby Dawida, a nawet Sarę, czy tylko siebie? I czy można młodej dziewczynie umieścić na barkach tyle odpowiedzialności?

Te bolesne rozważania towarzyszyły jej każdego ranka, ale dziś były wyjątkowo dotkliwe. Miała wrażenie, że głowa jej pęknie od tych wszystkich trudnych myśli. Idąc do pracy, zauważyła, że na jej nowej trasie – już nie mogła wybrać dowolnej drogi, musiała maszerować wyznaczonym korytarzem: z getta II, w którym zamieszkali, do getta III, tak zwanego kuracyjnego, przybyło drewnianych parkanów, którymi odgradzano żydowskie życie od polskiego. Jeszcze były prześwity, jeszcze można było patrzeć na inny, lepszy świat, ale pełne odcięcie było tylko kwestią czasu. Getto miało wyglądać jak klatki połączone wąskimi przejściami. Ściany nie

były zresztą jednymi barierami, wprowadzono także godzinę policyjną – poza terenem getta Żydzi mogli przebywać od ósmej do dziewiętnastej, później musieli wracać do swojej niewoli. „Och, Boże, ile tych myśli, ile uczuć, ile lęków”, kołatało jej się w głowie.

Była już blisko, gdy dostrzegła, że przy bramie wejściowej stał Jan. Czekał na nią. Ucieszyła się, bez niego i Marii świat ciężko by było znieść.

– Źle wyglądasz. – Wydawał się bardzo zmartwiony, gdy ją zobaczył.

– Trudno to uznać za komplement – powiedziała i uśmiechnęła się blado. Poczuła, że ma bardzo wyschnięte usta, wręcz spękane. To nie były usta do całowania. W głowie dudniło, może nie od tego natłoku myśli, a od choroby...? Rzeczywiście, od kilku dni czuła się gorzej. Nagle mocno się ochłodziło, stres związany z bratem i przymusową przeprowadzką mocno ją osłabił psychicznie, a przecież dużo chorób ciała zaczyna się od chorej duszy. Poza tym w getcie było mniej sklepów, a co za tym szło – droższe jedzenie. Oni zaś mieli coraz mniej pieniędzy, więc skromniej jadali. Idealne warunki do chorowania.

– Mówię to jako lekarz, Saro. – Jan pogłaskał ją po policzku, a potem przyłożył dłoń do czoła. – Jesteś rozpalona – powiedział, teraz zmartwiony jeszcze mocniej. – Nie czujesz tego?

– Czuję, że mam gorące serce – próbowała zażartować, ale rzeczywiście, chyba coś jej było, bo nagle poczuła się taka... miękka. Jak szmaciana lalka. Dotknęła policzka – był gorący. Próbowała zrobić kolejny krok – nagle jakby osłabła.

– Chodźmy, położę cię gdzieś. – Jan wziął ją pod ramię i poprowadził w stronę zakładu.

Pamiętała jeszcze, że szli aleją obsadzoną drzewami, teraz już prawie pozbawionymi liści, że weszli do pawilonu pierwszego, minęli zdziwioną i zaniepokojoną Marię, weszli schodami na pierwsze piętro, potem szli korytarzem, jakoś tak nieznośnie długo, aż zaczęło się jej kręcić w głowie, a kiedy Jan wprowadzał ją do izolatki, podłoga zaczęła uciekać jej spod nóg. Wreszcie się położyła, ale kołysanie nie ustawało. Było jak na statku – ona nieruchoma, a świat wirował. Zrobiło się jej niedobrze. Chwyciła się dłońmi obramowania łóżka. Potem nie pamiętała już wiele – czyjaś dłoń ścierającą jej pot z czoła, głaszczącą ją po policzku, podnoszącą głowę i delikatnie wlewającą do ust jakiś płyn, po którym zapadała w sen. Ta podróż trwała długo; najpierw rzucało tym jej statkiem, jakby był solidny sztorm, potem

wody się uspokoiły i tylko lekko nią kołysało. Aż wreszcie dopłynęli do portu.

* * *

– Jak dobrze, że wróciłaś. – Usłyszała czyjś głos.

To był Jan. Z podkrążonymi oczami i poszarzałą twarzą.

– A gdzie byłam? – zapytała Sara. Próbowwała się podnieść, ale kołysanie natychmiast pojawiło się z powrotem.

– Leż, nie podnoś się. – Położył dłoń na jej ramieniu. – Daleko. Omal nie za daleko. Miałaś bardzo wysoką gorączkę. Na szczęście sytuacja się unormowała, ale... – Zawiesił głos. – Och, jak bardzo się o ciebie martwiłem, jak bardzo... – wyszeptał jej do ucha.

– Obudziła się? – Za plecami Jana rozległ się inny głos, kobiecy. To była Maria.

Jan obrócił się w jej stronę. Pokiwał głową. Maria podeszła z drugiej strony łóżka.

– Napędziłaś nam stracha – powiedziała. – Niewiele brakowało... Doktor cię uratował, w lepsze ręce nie mogłaś trafić.

Tak, tego Sara była pewna.

– Siostra Maria też dołożyła swoje cegiełki. – Jan pogłaskał Sarę po dłoni. – Teraz powinno być dobrze, najgorsze minęło. To nie znaczy jednak, że można od razu wstawać. Przez kilka najbliższych dni potrzebna będzie rekonwalescencja.

– Na Nowy Rok ty też będziesz jak nowa. – Maria patrzyła na nią i się uśmiechała.

„Na Nowy Rok to zabrali Dawida”, pomyślała Sara. „Ach, drugi Nowy Rok”. Ale przecież...

– To ile ja tak leżałam? – Nagle się przestraszyła. Przecież rodzice nic nie wiedzieli, na pewno odchodzili od zmysłów. Wciąż tylko przysparzała im zmartwień.

– Sześć dni – odparł Jan. – Siostra Maria poinformowała pani rodziców.

Maria pokiwała głową.

– Przekazałam wiadomość, zapewniłam, że jesteś w dobrych rękach. Matka powiedziała, że będzie się modlić o twoje zdrowie, a twoja siostra prosiła, żebym cię od niej ucałowała.

– A jak oni? – Sara nagle strasznie za nimi zatęskniła. Nigdy wcześniej tak długo nie było jej w domu.

– Dobrze – powiedziała Maria, ale uciekła wzrokiem przed spojrzeniem Sary. – To znaczy tak dobrze, jak może być w tych warunkach. Jest jeszcze zimniej, spadło dużo śniegu. Trudny czas... A ta twoja siostra... – Twarz Marii się rozjaśniła. – Jest wprost śliczna. Aż żal... No ale tobie teraz nie wolno się martwić. – Poklepała Sarę po dłoni. – Na razie to możesz jeść tylko chleb i pić słabą herbatę. Pójdę i ci przyniosę.

Gdy Maria zniknęła na korytarzu, Jan ponownie nachylił się nad Sarą.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że zdrowiejesz. Nie wyobrażam sobie, co bym zrobił, gdybym cię stracił. Tak bardzo się bałem, tak bardzo! – Ścisnął jej dłoń, aż zabolowało. – Kiedy to wszystko się jakoś przesili, kiedy będzie można normalniej żyć, zostaniesz moją żoną, Saro?

A może jednak wciąż była na tym wyobrażonym statku? I Jana, który prosił ją o rękę, też sobie wyobrażała? Nie, jednak nie, bo przecież uniosła wychudłą dłoń i dotknęła jego włosów. Były takie, jak myślała – jak ten otwocki piasek. Ciepłe i trochę szorstkie.

– Nie mam żadnego pierścionka, nie było czasu, żeby się przygotować. – Teraz Jan sprawiał wrażenie rozgorączkowanego. – Nie to jest najważniejsze, wiem, ale będzie i pierścionek, obiecuję ci. Powiedz tylko, że się zgadzasz, Saro.

Kiwnęła głową. Znowu poczuła się słaba i śpiąca. Przymknęła powieki i zobaczyła plażę nad Świdrem. Było ciepło, słonecznie. Siedziała na piasku i przesypywała go między palcami. Obok niej siedział Jan. „Widzisz, ile tych ziarenek? Tyle przed nami szczęśliwych dni”. Zaczęła je liczyć, ale w końcu, ze zmęczenia, pomyliła się w rachubie i zasnęła.

Rozdział osiemnasty



– Daj spokój, to taki drobiazg. Gdybyś przyszła do mnie na obiad, to nikt by nie robił z tego afery. Nie mam pojęcia, kiedy te moje dzieci nauczą się tak jeść, żeby nie świnić. Rozchlapiją zupę, zamyślają się i odkładają brudny widelec na obrus zamiast na talerz, keczup zawsze im gdzieś pryśnie. Aż wstyd znajomych zapraszać. – Ola energicznie mieszała kisiel w kubku.

– Ale to dzieci. A ty się pewnie tak nie napinasz, żeby dobrze wypaść przed gośćmi. A tam – jak w Wersalu. Biel, złoto, elegancja. Naprawdę było mi jej żal. Początkowo wydawało mi się, że jest lekko naburmuszona, ale to chyba była taka poza obronna. Albo nawyk, bo ona jest taka pańcia. A potem, gdy już wróciła przebrana, to jakby balonik przekłuć. – Anka opowiedziała koleżankom z pokoju o przebiegu niedzielnego obiadu u dziadków Marcina.

– Starsi ludzie tak mają. – Ola była pełna wyrozumiałości dla świata. – Zresztą ona i tak się świetnie trzyma – w takim wieku tak zasuwać. Ho, ho, ho! Dobrze, bo wiesz, oni nie mają dzieci, więc cała opieka spadnie na Marcina. I na ciebie – dodała po chwili.

O tym Anka nie pomyślała. Nawet o swoich dziadkach nie myślała w ten

sposób, bo przecież byli mama i tata.

– A wiesz, ze swoimi bywa niełatwo, a co dopiero, gdy to ktoś obcy...

– Czasem obcy jest lepszy. – Do rozmowy dołączyła milcząca do tej pory Marta. Po weekendzie przyszła do pracy z podkrążonymi oczami. – W przypadku obcego wyłączasz emocje, robisz, co trzeba. Gdy to ktoś bliski...

– To chyba jednak łatwiej? Znieść niewyspanie, trud, nieprzyjemny zapach... – Anka widziała to w ten sposób. Zresztą Marta powinna to wiedzieć, bo opiekowała się tatą.

– Mój ojciec był niedobrym człowiekiem – powiedziała Marta.

Ola przestała mieszać kisiel, Anka zastygła nad pokrojonym w cząstki jabłkiem, które podjadała.

– Chyba jest? Teraz, przez tę demencję. – Ance wydawało się, że Marta pomyliła czasy. Może z tego zmęczenia. Opieka nad ojcem dawała jej w kość, bo jego stan sukcesywnie się pogarszał.

– Teraz jest chory. Nie jest sobą. I to jest w tej cholernej chorobie najlepsze.

I Marta się rozplakała.

Ankę zamurowało. Marta – mądra psycholożka, która odpowiadała na różne pytania, podpowiadała dobre rozwiązania, była oazą spokoju i jednocześnie niezależną kobietą z fajnym życiem prywatnym, teraz siedziała na krześle obrotowym i się trzęsła.

– Marta, no coś ty. – Ola pierwsza się ocknęła. Odsunęła kubek z kisielom i kucnęła przy koleżance. – Co się stało?

Anka też wstała. Nie potrafiła tak spontanicznie pocieszyć Marty, więc po prostu położyła rękę na jej ramieniu.

– Pan profesor – powiedziała Marta przez zaciśnięte zęby.

To było o ojcu. Anka i Ola wiedziały, że jej ojciec był historykiem z tytułem profesora. Znanym i uznanym. Wykładał na uniwerku, publikował, jeździł po świecie.

– Nie chciał mnie. Nigdy mnie nie chciał. Kiedy byłam mała, zupełnie się mną nie interesował. Takie czasy, myślałam potem, patriarchat był. Kiedy poszłam do szkoły, ograniczał się do sprawdzania zeszytów i przeglądania dzienniczka. Stawałam na rzęsach, żeby być dobrą uczennicą. Najlepszą! –

Marta zacisnęła ołówek w dłoni. – W końcu córka pana doktora, doktora habilitowanego, profesora... Byłby wstyd, więc nie przynosiłam wstydu. Mama była od tulenia, on – od wymagania. Zresztą od mamy też wymagał. „Zamieniłaś ambicje na gary, gdyby nie...” Nie dokończył, mama nic nie powiedziała. Też wybrała historię, poznali się na studiach. Ale obydwójce nie mogli iść w karierę akademicką, bo byłam ja, a oni nie mieli w Warszawie rodziców ani nikogo do pomocy. Mama poszła uczyć do szkoły, a potem pracowała w muzeum historycznym. Mogłaby zejść dużo wyżej, bo była bardzo mądra. Wieczorami czytała, zawsze zasypiała z książką w objęciach. Bardzo ją kochałam. – Marta znowu się rozplakała. Po chwili wytarła nos chusteczką i kontynuowała opowieść: – Zachorowała na raka, byłam wtedy w liceum, na samym początku. Rak piersi, operacja, mastektomia, chemioterapia. Ból, lęk, łzy. Ojciec użył znajomości, mama miała jedynekę w szpitalu. Ale sympozjum sobie nie odpuścił, to ja trzymałam jej głowę, gdy wymiotowała... I tak przez cztery lata. Zmarła zaraz po mojej maturze. Nie pamiętam tego, tak bardzo wyparłam te dni z pamięci. Czarne plamy. Mam tylko obraz wieńców, ładnej przemowy ojca, nekrologów. „Koledze, panu profesorowi, naszemu drogiemu Jankowi...” Wszyscy mu współczuli, choć to ja potrzebowałam współczucia. A potem były egzaminy na studia. Uczyłam się, ale w takich warunkach... Zabrakło mi dwóch punktów do wymarzonej psychologii. Pamiętam, jak ojciec wrócił do domu. Czysto, wysprzątane, nawet zrobiłam mu kolację. Byłam jak mama. Zapytał o wyniki. Odpowiedziałam. A on... uderzył mnie w twarz.

Anka poczuła, że ma żołądek zaciśnięty w supeł. Słuchanie tego było jak tortura. Marta wyglądała na zadowoloną z życia, pewną siebie kobietę. Taką, której wszystko się udaje i która nie ma większych problemów, schorowanego ojca wyłączywszy. Ale nie skarżyła się, nie narzekała. Mądra, spokojna, ułożona Marta. Psycholożka.

Ola wciąż kuciała przy jej krześle. Miała mokre policzki.

– Tak po prostu. Odwinął się i otwartą dłonią wymierzył mi policzek. „Jesteś beznadziejna. Mówiłem matce, gdy zaszła w ciążę, żeby się jej pozbyła. A potem tyle lat starań i pieniędzy i nic. Nawet na studia się nie dostałaś”.

Anka miała teraz ściśnięte także gardło. W głowie jej dudniło. „Jezu, Jezu”, na tyle udało jej się zebrać myśli.

– Stałam w przedpokoju i nic nie mówiłam. Potem poszłam do swojego

pokoju, spakowałam walizkę, zabrałam zdjęcie mamy z komody w salonie i wyszłam. On krzyczał, żebym się nie wygłupiała, że wrócę i będę go całować po rękach, żeby mnie przyjął z powrotem. Nie wróciłam. Przygarnęli mnie rodzice przyjaciółki. Miałam rentę po mamie, wystarczało na skromne życie. Przez rok uczyłam się jak szalona, nie wychodziłam z biblioteki. Zdałam na psychologię z trzecią lokatą. Wysłałam ojcu pocztą ksero tabeli z wynikami. Nie zadzwoniłam, nie odwiedziłam go. On mnie nie szukał. Czasami widziałam go w telewizji lub na zdjęciu w gazecie. Poszłam na terapię. Miałaś rację, Olu, że na psychologię często idą ci, którzy mają problemy ze sobą.

– Ja nie chciałam, przecież nie wiedziałam, to było trochę żartem – Ola zaczęła się gwałtownie bronić.

– Wiem. Tak po prostu jest. – Marta słabo się uśmiechnęła. – To znaczy u mnie tak było. Skończyłam studia i pewnego razu spotkałam ojca w okolicy naszego domu. Miałam klucze, co jakiś czas przychodziłam, bo przecież w tę jedną walizkę wszystkiego nie spakowałam. Nic nie zmienił u mnie w pokoju, w ogóle w domu. Było czysto, bo on był pedantem.

– Nie bałaś się, że go spotkasz w mieszkaniu? – Anka wreszcie odzyskała głos.

– Nie. Sprawdziałam jego grafik na uczelni. Ale tym razem coś się zmieniło. Byłam już na dole, kiedy do klatki wszedł on. W pierwszym odruchu chciałam go ominąć, ale... „Marta, już po szkole?”, zapytał. Zdębiałam. Nie udawał, nie wygłupiał się, nie był złośliwy. Znowu weszłam na górę. I dopiero podczas tego dłuższego pobytu zauważyłam kilka niepokojących rzeczy. Grzebień w lodówce i puchową kołdrę, pod którą spał, a był czerwiec. W mieszkaniu wrócił dawny on, ale nie był napastliwy czy nieprzyjemny. Zostałam z kwadrans i poszłam. Dopiero w domu pomyślałam, że może on ma jakieś zmiany demencyjne, był już po siedemdziesiątce. Umówiłam się z dziekanem. Okazało się, że sukcesywnie zmniejszali ojcu godziny, bo było widać, że coraz gorzej sobie radzi. Podobno merytorycznie w porządku, tak miał to wszystko utrwalone, ale „życiowo”, jak to ujął dziekan, działa się coraz gorzej. Bywało różnie, ale jedno się zmieniło – stosunek ojca do mnie. Złagodniał, jakby nie było tych wszystkich złych lat, bolących słów, tego policzka. Ja do tego nie wracałam, bo już czułam, że za tą zmianą stoi neurologia. Po dwóch latach i kilku wizytach u lekarza diagnoza – zaawansowana demencja. Teraz jest już w swoim świecie. Potrzebuje opieki w dzień i w nocy. Miał majątek, spieniężyłam go prawie do cna, to dużo

kosztuje. Teraz jest okienko w opiece, od szóstej do jedenastej w nocy. Ja je zapelniam. Zaraz będę musiała podjąć decyzję, co dalej – czy jakiś państwowy dom opieki, czy może kredyt. Ze swojej pensji nie dam rady. Adam mówi, że mi pomoże. Że się dołoży... Ale będziemy musieli zaciskać pasa. I to wszystko dla mojego ojca, który nie chciał, żebym się urodziła, który mnie wiecznie musztrował, był ze mnie niezadowolony. Teraz, kiedy już nie jest sobą, głaszcze mnie po policzku. „Moja mała Martusia”. – Marta znowu się rozplakała.

– Jesteś cudowna, Marto, naprawdę. Wzniosłaś się ponad to, zajmujesz się ojcem. Po prostu masz dobre serce – wyrzuciła z siebie Ola. – Nie każdego by było na to stać, prawda, Aniu?

Anka pokiwała głową. Nie potrafiła sobie wyobrazić siebie w takiej sytuacji. Ją wszyscy w rodzinie kochali, to byli przecież normalni ludzie. Zwykli, bez wielkich osiągnięć czy majątków, ale po prostu dobrzy. Gdyby jej się trafił taki ojciec? Aż się otrząsnęła.

– Prawda. Podziwiam cię, Martuś – powiedziała miękko.

– Och, po takiej historii zwykła opieka nad seniorami nie wydaje się taka trudna. – Ola spojrzała na Ankę. – Zwłaszcza kiedy to mili ludzie, tylko zniedołężniali.

– Tak, to fakt. Głupio by było marudzić. – Anka uznała, że to dobre podsumowanie tej rozmowy. Nie wiedziała, co dodać, jak Martę wesprzeć.

– Coś jeszcze wam powiem. – Marta już nie płakała. Miała przekrwione oczy i pobladłe policzki, ale łzy nie kapały. – Ja wcale nie jestem taka dobra.

– Oj, no coś ty – wyrwała się Ola, ale Marta uciszyła ją gestem dłoni.

– Czasem gdy siedzę i patrzę na ojca, to wracają do mnie te wszystkie złe wspomnienia. Jak krzywdził mnie i mamę. On się do mnie uśmiecha, a ja widzę tamtą wykrzywioną twarz. I w takich chwilach miałabym ochotę zrobić mu coś takiego, żeby cierpiał. Psychicznie już nie, bo on niewiele rozumie ze świata. Ale fizycznie. Choćby go uderzyć w twarz, jak on mnie. Albo po prostu wyjść i przekręcić klucz w zamku. Przebaczenie jest cholernie trudne, nawet gdy dotyczy najbliższych. Zwłaszcza wtedy.

* * *

– Rozumiem, że to może człowieka przybić, bo to cholernie smutne, ale to jest chyba jakaś patologia? To znaczy nie w sensie, że margines społeczny, bo mówisz, że profesor, wykładowca akademicki, żona też wykształcona... Chodzi mi o patologię w środku. Patologię duszy, tak bym to nazwał.

Anka siedziała przy stoliku i grzebała widelcem w sałatce. Umówili się z Marcinem po pracy, na Mokotowie, w uroczej małej pizzerii. Rano z przyjemnością myślała o chrupiącym podpłomyku z ciągnącą mozzarellą, ale po tym wyznaniu Marty straciła apetyt. To było wstrząsające podwójnie – bo samo w sobie było okropne i, tak jak powiedział Marcin, wydarzyło się to w zwyczajnym, a nawet dobrym domu. To co się dzieje w złym domu? A może zwodnicze, bo w złym to się podejrzewa złe rzeczy, a w takim dobrym?

– Nie wiem, nie znam się na tym. To raczej Marta by mogła powiedzieć, bo skończyła psychologię i kilka lat była na terapii. Ale nie ciągnęłyśmy tego tematu. Miałam wrażenie, że ona bardzo chciała to z siebie wyrzucić. Bo zawsze jest profesjonalna, ludzie do niej przychodzą z różnymi problemami... Ale przestała przyjmować jako terapeutka. Ze względu na ojca, bo musi z nim siedzieć codziennie. A może nie tylko o to chodzi...

– A skąd właściwie taka rozmowa? Tak nagle się rozsypała? Coś się stało?
– zapytał Marcin.

Anka znów przerzuciła kilka listków sałaty widelcem.

– Właściwie to zaczęło się od naszego spotkania.

– Naszego? Tego na placu Zbawiciela? A co to ma z tym wspólnego? – zdumiał się Marcin.

– Nie, no nie od tego. Od tego wczorajszego, u twoich dziadków.

– Też nie rozumiem. – Marcin patrzył na nią zbity z tropu.

– Dziewczyny pytały, jak minął weekend. Wiedziały, że poznam twoich dziadków. Opowiedziałam, jak było, że bardzo fajnie, pysznie i tak dalej, ale powiedziałam też, że babci zadrzała ręka i łyżka z sosem ubrudziła obrus i bluzkę. I nie o ten fakt mi chodziło, ale o to, że babcia tak się tym przejęła. I stąd wątek starzenia się, samodzielności, opieki. Ola powiedziała, że bliskim łatwiej, na co Marta – że nie zawsze. I opowiedziała o ojcu. To było jak zapłon.

– A ty się martwisz dziadkami? Niepotrzebnie, oni są w świetnej formie.

Wczoraj to chyba ze zdenerwowania. Babcia chciała dobrze wypaść. Ona tak ma – zależy jej na opinii innych. Przygotowywała się, miało być idealnie, a tu – wypadek. – Marcin zbagatelizował tę historię.

– I było super, przecież jej to powiedziałam! – przypomniała Anka.

– Wiem, wiem. – Poklepał ją po dłoni. – Też jej to potem mówiłem. A oni byli tobą zachwyceni, zwłaszcza dziadek. Powiedział, że masz zjawiskową urodę. No i w ogóle, że taka miła, mądra, kulturalna. Ósmy cud świata. – Zaśmiał się.

– O, to bardzo miłe. Ja również go polubiłam. To znaczy ich oboje. – Szybko się poprawiła. Do dziadka Marcina od razu poczuła sympatię, jakby intuicyjnie, babcię także polubiła, ale trochę inaczej – w taki sposób, gdy ktoś ma dużo zalet, stara się, ale nie łączą go z nami żadne podobieństwa.

– No i fantastycznie. Wiesz co? Widzę, że zieleniny masz już dość. Proponuję spacer po Polu Mokotowskim, ruch zawsze dobrze robi – i na głowę, i na ciało. A potem pójdziemy do mnie. Mam wino, to samo, co wczoraj. Makaron, pachnące pomidory, czosnek, bazylię i oliwę. Jeśli zgłodniejesz, chętnie ci coś ugotuję. A później...

To na nią działało. Wciąż i wciąż.

Rozdział dziewiętnasty



Styczeń 1941 roku

– Biedna Sara. – Maria zarzuciła na ramiona wełnianą chustę. Nie dość, że w Zofiówce było zimno, bo styczeń wyjątkowo w tym roku dokuczał mrozem, a na dokładanie do pieca nie starczało pieniędzy, to jeszcze te informacje, których musiała wysłuchać, choć wolałaby żyć w niewiedzy. I tak nie mogła nic z tym zrobić, obciążało ją tu zupełnie bez sensu.

Do jednego z pacjentów, miłego Efroima, który wyglądał jak cherubinek, ale trzeba było na niego uważać, bo cierpiał na nasilającą się manię i chciał wyskakiwać przez okno, więc trzeba go było trzymać w zamknięciu, na parterze, przyszedł w odwiedziny brat. W porze nieregulaminowej, ale właściwie stare regulaminy już były odwołane i dyrektor zezwolił na wizyty wtedy, gdy były możliwe, to znaczy przed godziną policyjną, bo przecież odwiedzający musieli jakoś wrócić do swoich domów, czyli do getta. Maria zaakceptowała tę niedogodność, co było robić. Więc brat tego Efroima opowiadał innemu odwiedzającemu swojego bliskiego Żydowi, że on się

dopiero teraz cieszy, że Efroim tu jest. Bo gdyby był w domu, w getcie, to już dawno by było po nim. Albo by go na miejscu zastrzelili, albo by go zabrali do obozu pracy, jak tych, co pojechali do Tyszowców.

„Tyszowce”. Maria pamiętała tę nazwę z opowieści Sary. To tam pracował Dawid.

Ten mężczyzna opowiadał o informacjach, jakie dostała Rada Żydowska w Otwocku, która to miała je od bliźniaczej rady w Warszawie, gdzie ponoć trafił gryps od jednego z przebywających na terenie obozu w Tyszowcach Żydów. Brat Efroima opowiadał więc temu drugiemu, czego się dowiedział, a Marii, robiącej zastrzyki innemu pacjentowi na sali, na łóżku obok, po raz pierwszy zadrżała ręka. Nie mogła trafić w żyłę, złamała jedną igłę. Już samo słuchanie ją bolało.

– Tamten nieszczęśnik z obozu napisał, że pracują przy regulacji koryta rzeki i wykonują inne prace melioracyjne. Nie dość, że po dwanaście godzin dziennie, za jedyne wyżywienie mając kromkę chleba i miskę letniej zalewajki, zwanej zupą – mówił brat Efroima – to jeszcze każe się im stać w rzece. W ten mróz! Czasem jest taka potrzeba, a czasem Niemcy dla zabawy każą im wchodzić do wody i wychodzić. Wejdą – mają stać nieruchomo. Potem, gdy już ledwie żywi, mają wyjść. I też nieruchomo, aż ubranie na nich zmieni się w lód. I wtedy znowu do rzeki. Kto przetrwa tę „zabawę”, znaczy zdalny do pracy. Chyba że go co innego wykończy albo wszy go żywcem zjedzą. Sienniki same się przesuwiają od tego robactwa. Epidemia zaraz wybuchnie i może dokończy to, czego Niemcy nie robią. To znaczy robią, tylko na raty, bo też biją i maltretują.

Drugi Żyd, słuchający, podczas tej opowieści nic nie mówił. Dopiero gdy brat Efroima skończył, zapytał:

– Ale co tu można zrobić poza modlitwą?

„Słusznie”, pomyślała Maria. „Pacierz to jedyne rozwiązanie”.

– A, właśnie nie. Bo w tym grypsie było ponoć napisane, że skoro rada już wie, to jeśli nic nie robi, ten grzech obciąży sumienie wszystkich jej członków. Więcej nawet – ten, który to pisał, żądał, żeby ich wyratować.

– Ale jak? Wywieźć? Wykraść? Skoro tak pilnowani... Wszystkich by Niemcy rozstrzelali. – Słuchający się zdumiał.

– Przywieźć innych Żydów na wymianę. Żeby ci mogli wrócić, a niech inni pracują.

– Ale kto by dobrowolnie tam jechał, jeśli by wiedział, co go czeka?

Maria przyznała mu w myślach rację. Opisywanie swojej okrutnej niedoli zmniejsza szansę tamtych Żydów na ratunek. Może daje im współczucie, ale oni przecież woleliby życie zamiast współczucia.

W końcu udało jej się wprowadzić igłę do żyły. Dobrze, że pan Cetlin był spokojny i nie narzekał na jej dzisiejszą nieudolność. Może też słyszał tę rozmowę i głupio mu było mieć pretensje wobec takich dramatów? Nie, chyba nie. Był już stary i zniedołężniały, to i pewnie miał niedosłuch. Może stąd jego pogodny zwykle wyraz twarzy?

„Tak, lepiej nie wiedzieć”, pomyślała Maria. Nie powie Sarze, cóż by z tego przyszło biedaczce...? Ale może powiedziec doktorowi Górskiemu? On też się o tę kruszynę troszczy, może coś doradzi? A przy okazji będzie sposobność, żeby spokojniej, sam na sam, z nim porozmawiać. Maria nie przypuszczała, że mogłaby się tak zauroczyć Janem Górskim. Nawet więcej niż zauroczyć – zakochać. Wszystko w nim było absolutnie w porządku, bardzo miły dla oka mężczyzna, ale jakiś taki... jakby nieśmiały, a Maria nie nawykła do wycofanych mężczyzn. Józek, Władek czy inni – wiedzieli co, z czym i do czego. Ale jacy z nich byli kandydaci na mężów? Pożal się Boże. Jan Górski natomiast miał wszystko – wykształcenie, wiedzę, wygląd, maniery i kryształowe serce. Obserwowała go przez kilka miesięcy i coraz bardziej ją fascynował. I na pewno by ją intrygował przez kolejne lata, bo mądrzy ludzie tak mają – atrakcyjność budowana na bogatym wnętrzu łatwo się nie wyczerpuje, w przeciwieństwie do atrakcyjności opartej na czymś ulotnym, na przykład namiętności. Jan Górski dużo pracował, więc nie miał czasu na miłość ani miłostki, a może nie rozglądał się zbyt dokładnie? Może trzeba go ośmielić? A, podobno ma też mieszkanie w Warszawie, co również nie jest bez znaczenia. Kiedy ta cholerna wojna się skończy, a on by się nią zainteresował i ożenił? Tak, coraz bardziej wchodził w jej myśli i serce. Może po prostu dorosła do prawdziwej miłości? Takiej na całe życie?

Pójdzie do Jana Górskiego i opowie mu o tym, co usłyszała. To będzie dobry początek innej znajomości.

* * *

– Teraz mogę spacerować tą drogą, która wcześniej była dla mnie zakazana.

Doktor Górski szedł przodem, uklepując butami puchaty śnieg, którego przybyło w nocy. Spacerowali z Sarą wzdłuż ogrodzenia Zofiówki. Teren getta III był duży, więc każdego dnia mogli wybrać trasę wzdłuż innego parkanu. Mogliby też wychodzić poza teren getta, jeśli tylko Sara zdążyła wrócić przed dziewiętnastą, ale na razie nie miała siły na dłuższe eskapady. Infekcja, która ją dopadła dwa miesiące temu, mocno nadszarpnęła jej zdrowie. Poza tym wciąż nie chciała się zdradzać z tym, że Jan Górski się jej oświadczył. O ile wcześniej obawiała się reakcji rodziców, o tyle teraz drżała raczej o Jana. Bliskie stosunki z Żydami nie były niczym, czym Polacy mogliby się chwalić, wręcz przeciwnie – to była sytuacja obciążająca. Na razie może bardziej towarzysko, społecznie, ale – i to Sara podskórnie czuła – niedługo także w wymiarze ogólnym. Żydzi byli oddzielani od innych Polaków, jakby mogli ich czymś zarazić. I jak zarażonych będzie się traktować tych, co są z Żydami w zażyłości. Jan ją rozumiał. Kochała go również za to podejście – nie mówił: „Ach, daj spokój”, „Nie można tego tak drastycznie ukazywać”. Po prostu wyrażał nadzieję, że nadejdzie czas, kiedy ich wspólna przyszłość będzie możliwa nie tylko w ukryciu.

– Nie zmęczyłaś się za bardzo? – Przystanął i obrócił się w stronę Sary. – Tak ślicznie wyglądasz. – Spojrzał na nią z czułością i strzepnął z jej toczka śnieg.

– Nie – powiedziała cicho. – Nie – powtórzyła trochę głośniej. Nie chciała być wieczną pacjentką, chciała być dziewczyną, kobietą, narzeczoną. Troska Jana ją wzruszała, ale też ustawiała w roli, z której już chciała wyjść. – A... – zawahała się – ...jak teraz wygląda nasz dom?

Jan Górski przed kilkoma dniami przeprowadził się z dotychczasowego lokum, które znalazło się na terenie getta, do kamienicy Ziębińskich. Siostra Maria powiedziała mu, że właśnie się zwolnił duży pokój, bo lokator wyjechał, więc jeśli Jan byłby zainteresowany... Był zainteresowany. Miał stamtąd blisko do zakładu, warunki były przyzwoite, a pani Ziębińska – miła, choć może trochę zbyt nachalna towarzysko. Z okien nowego pokoju widział dom z numerem trzynastym, gdzie w ostatnie lato przed wojną po raz pierwszy ujrzał Sarę.

– Chyba niewiele się zmieniło. Mieszka tam teraz rodzina z niedużą dziewczynką. Widziałem ją kilka razy z matką. Ładna mała. Taka uśmiechnięta blondyneczka, z lalką w ręku.

Sarze przypomniała się mała Rebeka. Też kiedyś się często śmiała, ale ten

czas już dawno minął. Może uszyłaby jej lalkę? W zakładzie tyle gałganów, resztek, coś by się udało. Każdego dnia godzinę po pracy...

– Jakie to dziwne – powiedziała – że możesz być uśmiechniętą dziewczynką, jeśli masz odpowiedni kolor włosów, oczu i skóry, jeśli masz odpowiednich rodziców i odpowiednią religię. Nic z tego nie zależy od ciebie, a od tego z kolei zależy wszystko.

– A dla mnie to nie ma żadnego znaczenia, najdroższa Saro. – Jan Górski ujął jej twarz w dłonie. – Liczysz się tylko ty.

To był jeden z tych najśłodszych momentów, gdy wiedziała, że za chwilę jego usta opadną na jej usta. Wtedy, na chwilę, będą tylko oni i ich miłość.

* * *

Maria ociągała się z ubieraniem. Chciała wyjść z zakładu wtedy, gdy Jan Górski będzie kończył pracę, żeby razem z nim wrócić do domu, ale on wciąż coś jeszcze robił – a to jakieś wpisy do karty leczenia, a to konsultacja z doktor Lewinówną, a to jeszcze jakaś prośba skierowana do pielęgniarki generalnej. Wreszcie chyba koniec, bo sięgnął po palto. Maria obserwowała go z pokoju pielęgniarskiego, umiejscowionego naprzeciwko jego gabinetu. Wcisnęła beret na głowę, wzięła do ręki torebkę i wyszła na korytarz.

– O, pan doktor też do domu? – zapytała. Trochę zadrżał jej głos, bo do tej pory nie robiła takich podchodów, to znaczy nie zaczajała się na mężczyzn. Wcześniej to zawsze oni występowali z inicjatywą. Ale jacy to byli mężczyźni, ech, szkoda gadać. W porównaniu z nim – proch i pył. On był jak skała, opoka.

– Tak, chyba tak. – Jan Górski się uśmiechnął. – Choć dopóki jestem w budynku, a nawet i na terenie zakładu, to zawsze może się zmienić. Ciężka zima, dużo chorych. Wcześniej tak nie było. Ciekawe, co los nam przyniesie. Właściwie powinienem powiedzieć, że zatrwajające, co może nam przynieść, bo na razie brak nadziei na optymistyczne zakończenie... – westchnął.

To był dobry moment, żeby zacząć rozmowę o tym obozie w Tyszowcach.

– Właśnie. – Maria przejęła pałeczkę. – Dwa dni temu słuchałam informacji o tym, jakie okropne warunki panują w obozie, do którego pojechali Żydzi z naszego miasta. To ten obóz w Tyszowcach.

Jan się wzdrygnął. „Jak zawsze wrażliwy na niedolę”, pomyślała Maria.

– Warunki ponoć takie, że chyba lepsza by była śmierć, choć pewnie dla wielu i tak praca w tym miejscu właśnie nią się skończy. Mróz okrutny, głód, wszy, choroby. Miejsce skazańców... A przecież właśnie tam pojechał brat naszej Sary.

Doktor Górski kiwnął głową. Wciąż nic nie mówił.

– I teraz tak się zastanawiam, panie doktorze, czy jej o tym mówić. Bo z jednej strony tak się do siebie zbliżyłyśmy, więc chyba powinnam. Z drugiej zaś strony myślę sobie, że ta informacja nic dobrego jej nie przyniesie, tylko zgryzotę, bo co ona może zrobić? Pomóc? W żaden sposób, a teraz to choć ma nadzieję. Więc może, mimo naszej przyjaźni, przemilczeć to? Może przyjaźń polega także na tym, żeby drugiej osobie oszczędzić bólu, nawet jeśli się to wiąże ze swoistą nieszczerością. Jak pan doktor myśli?

Jan Górski pomyślał, że siostra Maria źle trafiła z tym pytaniem. Bo teraz to on będzie nosił w głowie wiedzę, którą nie podzielił się z Sarą. Z tych samych pobudek, co jej koleżanka. Za nic w świecie nie chciałby Sary zranić, przysporzyć jej bólu, a taka informacja z pewnością właśnie taki efekt by przyniosła. Też nie umiałby pomóc, bo jak? Żadnemu z Żydów nie potrafi pomóc, nie licząc możliwej pomocy medycznej. I to go bardzo boli, szczególnie gdy idzie o Sarę. Bo na razie jeszcze jakoś to jest, mimo rozlicznych szykan. A jeśli kiedyś nadejdzie taki czas, że Sara będzie w takim położeniu jak teraz jej brat? To co on będzie miał zrobić?

– Myślę, siostrze, żeby nie mówić. Z tych powodów, które siostra słusznie podała. Siostra Sara wciąż jest w gorszym zdrowiu, niż powinna być, trzeba jej oszczędzać stresu, i tak każdy dzień dość go przynosi.

Dla pełnej szczerości powinien dodać, że serce by go bolało, gdyby patrzył na cierpiącą Sarę, ale tego zrobić nie mógł. Nikt, nawet Maria, którą Sara szczerze lubiła, nie był dopuszczony do tajemnicy ich związku. Początkowo może trochę się dziwił tej konspiracji, ale potem uznał słuszność obaw Sary – i co do oporu rodziny, choć teraz to już miało mniejsze znaczenie, i, co z kolei zaczynało silniej wybrzmiewać, z uwagi na obciążenie, jakim były bliskie relacje z osobami żydowskiego pochodzenia.

– Racja, doktorze, też tak pomyślałam, ale uznałam, że warto zapytać kogoś mądrego o radę.

Doktor Górski się uśmiechnął. Dobra dziewczyna z tej Marii. Kiedyś,

zupełnie przypadkiem, usłyszał wymianę zdań między starszymi pielęgniarkami – sprzątały salę, pochłonięte zajęciem i rozmową, więc nie zauważyły lekarza, który przy parapecie na końcu korytarza przeglądał dokumentację. Wtedy padła dość niepochlebna uwaga na temat siostry Marii – że trzpiotka czy latawica, nie pamiętał dokładnie już użytego określenia, sens jednak był taki, że jest zbyt miła i zbyt zainteresowana męskimi awansami. Ale cóż w tym było złego? To młoda kobieta, pełna wigoru, uśmiechnięta. Chce korzystać z życia – przywilej tego wieku. Poza tym, co z kolei wiedział od Sary i jak się jemu wydawało, życzliwa i troskliwa, choć może czasem zbyt zasadnicza w sprawach zawodowych, ale to tylko świadczyło o jej profesjonalnym podejściu do obowiązków.

– O, i już jesteśmy. Są zalety takiego bliskiego sąsiedztwa domu i pracy. – Górski przystanął przed kamienicą Ziębińskich.

„Są i wady”, pomyślała Maria. „Szybko ta droga mija”. To nic, nie tym razem, to następnym. Sieć bliższej więzi została zarzucona.

* * *

„Dzielnica Żydowska. Niemcom i Polakom wstęp wzbroniony”. Wydano zarządzenie w sprawie zamknięcia żydowskich dzielnic, a przed wejściami do nich postawiono tablice zakazujące wstępu, wyjątek czyniąc dla policji, straży pożarnej i transportu pierwszej potrzeby.

Oczywiście, że Jan jej wcześniej nie odprowadzał pod sam dom, tylko do pewnego miejsca. Wchodził jednak na teren getta II. Teraz to nie będzie możliwe, zostało tylko getto III, gdzie pracuje. A jeśli i stamtąd każą wyjść Polakom, pozostawiając wyłącznie żydowski personel?

Sarze ścisnęło się serce. Ile jeszcze wytrzyma w takim napięciu i niepewności?

Rozdział dwudziesty



– Mamo...

– No co tam? – Mama spojrzała na Ankę znad okularów. – Całkiem mi zaparowały. Nie dość, że na zewnątrz upał, to jeszcze kuchenka buzuje. – Odsunęła się od palników, zdjęła okulary i sięgnęła po ręcznik papierowy, z którego oderwała listek i przetręła nim szkła.

– Chyba lepsza byłaby szmatka, taka specjalna, do okularów. Tak to zawsze zostają jakieś paprochy. – Anka siedziała przy parapecie otwartego okna kuchennego. Wpadła do mamy na obiad. Były same; tata jeszcze nie wrócił z pracy, a Anka wyszła dziś wcześniej z redakcji. Taką miały umowę z Piranią – nie pracują przy taśmociągu, więc część zadań mogą wykonywać w domu. Anka czasami korzystała z tej umowy i niektóre artykuły powstawały na jej domowym laptopie. Dziś też miała taki plan, ale jeszcze nie teraz, dopiero, kiedy się pożegna z mamą i wróci do siebie. Mamie zapowiedziała się spontanicznie, rano. Ją samą to zdziwiło. Bardzo dobre relacje je łączyły, ale to były więzy, które do tej pory wytrzymały minimalne napięcia, ponieważ w życiu Anki nie zdarzyły się żadne

poważniejsze problemy. Zawsze była dobrym dzieckiem, to znaczy takim, które zbyt nie absorbuje sobą rodziców, uczy się, nie ma żadnych licealnych wyskoków na koncie, zdaje na studia i je kończy, a potem idzie do pracy. Rodzice zaś byli normalnymi rodzicami, którzy kochają i lubią się nawzajem, i z chęcią wychowują swoje chciane dziecko. Rzadko zdarzały im się poważniejsze rozmowy na poważniejsze tematy, bo po prostu życie im ich nie dostarczało. Teraz jednak Anka odczuwała taką potrzebę. Czuła bowiem, że jest na granicy – krok przed podjęciem ważnej decyzji. I bywały momenty, że w związku z tym nagle dopadał ją niepokój, z którym nie potrafiła sobie poradzić.

– E, wystarczy. Czasem nawet lepiej, że obraz ma jakieś paprochy. Bliższy jest wtedy rzeczywistości. *Voilà*, za pół godziny fasolka będzie gotowa, bakłazan w piekarniku. No, to teraz mogę usiąść. – Klapnęła na taborecie obok Anki. – I posłuchać, co cię trapi.

– Czyli widać... – westchnęła Anka.

– Nie wiem, czy tak w ogóle widać, ale ja widzę. To ma związek z tym obiadem u dziadków Marcina?

– Trochę pewnie tak.

– Mówiłaś, że było w porządku.

– Bo było. Nawet za bardzo w porządku. – Anka sama nie do końca potrafiła wyjaśnić, co ją niepokoi.

– Rozumiem. – Mama kiwnęła głową.

– Ale co rozumiesz?

– Że było za bardzo w porządku. Bo gdy jest za bardzo poukładane, to w człowieku budzą się podejrzenia. To tak jak z tymi okularami – idealnie wypolerowane to są tylko w salonie u optyka, potem, na co dzień, to zwykle trochę utyłane. Jak samo życie.

Ankę olśniło. Tak, właśnie tak to odczuwała! Życie musi być lekko utyłane, bo inaczej to jakaś fikcja.

– Właśnie coś takiego poczułam u jego dziadków. Oni są bardzo w porządku, kulturalni, zadbani, na poziomie. Mieszkanie też – piękne, w starej kamienicy. I obiad był bez zarzutu. No, z wyjątkiem tego rozlanego sosu...

– A kto rozlał sos? – zainteresowała się mama. – Ty?

– Nie, ja uważałam. Wiesz, w gościach człowiek zawsze bardziej się stara. Babcia pochłapała obrus i swoją bluzkę.

– Bywa. Ale chyba nie to wytrąciło cię z równowagi? – Mama przyjrzała się jej uważnie.

– Nie. Teraz zrozumiałam, jak powiedziałaś o tym utyłaniu. Kiedy u nich byłam, patrzyłam na ich mieszkanie, to miałam wrażenie, że jestem, czy ja wiem... na jakiejś wystawie? W muzeum? Na scenie jakiegoś przedstawienia? Wszystko było perfekcyjne, oni też. Jakby wyreżyserowane. I dopiero ten sos, który właśnie utyłał ją i stół, sprawił, że pojawiło się coś... prawdziwego. I ona także wtedy zrobiła się prawdziwa. Już nie była idealna, już nie trzymała formy. Nagle stała się bezradną starszą panią. Nie umiem ci tego wyjaśnić, ale jakoś mnie to trzepnęło. Był w tym i żal, że ona jednak nie opanowała tej swojej niezręczności i wypadła z roli, bo bardzo nie chciała z niej wypaść. I drugi żal, że ona właśnie gra jakąś rolę. Jakby nie była sobą. Potem w pracy rozmawiałam z dziewczynami i Marta opowiedziała o swoim ojcu, tym profesorze historii. Zawsze myślałam, że to taki autorytet, że Marcie było dzięki temu łatwiej, że różne drzwi miała otwarte...

– Rodzic na stanowisku bywa pomocny, choć bilans zysków i strat wcale nie jest oczywisty. – Mama podeszła do kuchenki i zmniejszyła moc palnika.

Anka pomyślała, że jej mama, w zwiewnej tunice, z niedbale upiętymi włosami i z turkusowymi paznokciami u stóp, jest mądrą i przenikliwą matką. Z dodatnim bilansem rodzica.

– No nie jest, i tu nie był. W skrócie: ten ojciec to był tyran i despota, traktował z butą nie tylko mamę, lecz także Martę. Zimny, nieczuły typ, skupiony na sobie i swojej karierze. Matka Marty umarła, kiedy ona była nastolatką, potem Marta się wyprowadziła od ojca i radziła sobie sama. Właściwie nie mieli kontaktu. A jeszcze później okazało się, że on jest chory – demencja, alzheim, starość – coś z tego pakietu, i facet zrobił się całkowicie bezradny. Nie jest już sobą, za to jest lepszy, miłszy.

– Marta się nim zajmuje?

– Tak. Chyba z poczucia obowiązku, bo jako ojciec był do kitu. Nic od niego nie dostała, a teraz się zarzyna, żeby nie wylądował w jakimś domu opieki.

– To chyba dużo w niej złości i żalu?

– Dużo. Nawet powiedziała, że czasem to ma takie myśli, żeby go... No,

nic dobrego.

Mama przez chwilę milczała, patrząc w okno. Potem odwróciła się do córki i zapytała:

– To niewesołe, ale takie jest życie, to znaczy to prawdziwe życie. Chyba jednak nie chodzi o to, bo to sprawy obcych ludzi. To znaczy znanych i jakoś z tobą związanych, ale odrębnych. Wydaje mi się, że to w tobie coś się ruszyło, to ciebie coś gryzie...? – Mama zawiesiła głos.

– Tak. Po prostu chciałabym przeżyć swoje życie dobrze. Prawdziwie. Nie ranić innych, ale i sobie nie dać zrobić krzywdy. Nie chciałabym się ocknąć na starość, że w sumie to nie wiem, jak to przeleciało, ale nie jestem zadowolona z tego, co minęło. Albo że cały czas byłam kimś innym, a kiedy to odkryłam, to jest już późno, bardzo późno, za późno na poprawki. Ty jesteś zadowolona z życia, mamo?

– Jestem. – Mama się nie zawahała. – To nie znaczy, że ono było pasmem nieustających sukcesów, bo różnie to wyglądało, ale nie popełniłam większych błędów, a te, które się zdarzyły, czegoś mnie nauczyły. Nie zrobiłam żadnych świństw, dbałam o innych, ale nie zapominałam o sobie. Miałam świadome życie i to już chyba dużo.

– A babcia, jak myślisz?

Tym razem mama nie odpowiedziała od razu.

– Nie wiem – przyznała. – Babcia jest trochę jakby obok. Zawsze była. To znaczy kochana, troskliwa, miła, ale... Z jakąś tęsknotą. Angażująca się w życie tylko częściowo, a poza tym przebywająca gdzieś indziej, gdzieś w swoim świecie. Pamiętaj jednak, że to wojenne pokolenie. Za nimi takie doświadczenia, których nie rozumiemy. Możemy poznać fakty, ale to się nie przełoży na czucie, zawsze będzie abstrakcją... Ale ty chyba nie o mnie i nie babci chciałabyś rozmawiać, co?

– Nie, o was też. Bo jeszcze trochę jestem przy was. To znaczy jako członek rodziny, który sam nie założył swojej.

– I tu dochodzimy do sedna. A ty – czy ty jesteś szczęśliwa? Sama i z Marcinem?

– Jestem, mamo. Dużo o tym myślałam, i jestem. I sama, i z Marcinem. Tylko czasami się boję.

– Czego?

– Przeszłości. To znaczy przyszłości, oczywiście. – Głupio się przejęczyła. – Chciałabym umieć mądrze kierować swoim życiem. Nie tak, żeby było bez tych paprochów, to znaczy, żebym sobie nie zrobiła fikcji, ale i nie tak, żeby gdzieś ugrzęznąć. Tylko tyle i aż tyle.

Mama pokiwała głową. Anka wiedziała, że ją rozumie. Że nie powie: „Nie wydziwiaj, nie szukaj problemów tam, gdzie ich nie ma”.

– Poczekaj chwilę – powiedziała i wyszła z kuchni.

Anka wychyliła się za nią. Zobaczyła, że mama kucnęła przy szafce nocnej w sypialni i zaczęła przekładać rzeczy w szufladzie. W końcu wyciągnęła jakiś notes lub zeszyt, a z niego – kopertę. I z tą kopertą w ręku wróciła do kuchni.

– Dostałam to od mamy, przed ślubem. To znaczy nie tylko to, bo w kopercie były jeszcze pieniądze, na nową drogę życia. Dawno ich nie ma, i dobrze, bo inflacja była taka, że każdy dzień zmniejszał ich wartość. – Mama się zaśmiała.

– Rany, mamo, ty mi chyba nie dajesz kasy? – Anka się przestraszyła. – Przecież ja nie po to przyszłam, pieniądze to ostatnie, o co bym poprosiła.

– Nie, no skąd. Jestem już emerytką, więc nie szastam pieniędzmi. Poza tym znowu planujemy z tatą wyjazd. Tym razem Andaluja. Wiesz, teraz starsi państwo inaczej żyją. No więc, to nie pieniądze, ale także coś cennego, choć... – Mama się zawahała. – Właściwie to nie wiem, co ci powiedzieć. Mama napisała mi to zdanie i niczego nie wytłumaczyła. „Będiesz wiedziała”, powiedziała tylko. Znasz babcię – gdy nie chce, to nic z niej nie wyciągniesz. Więc, kontynuując tradycję, też ci daję tę kartkę. I mam nadzieję, że również będziesz wiedziała, choć może to będzie coś innego niż dla mnie lub dla babci.

Anka już chciała wyciągnąć karteczkę, ale mama powstrzymała ją ruchem ręki, odwracając się w stronę korytarza.

– O, obie moje najdroższe i najpiękniejsze. I do tego obiad! – W kuchennych drzwiach pojawił się tata. – Czy to już raj?

Anka się roześmiała. Z tatą pewnie nie toczyłaby takich rozmów, ale on był chodzącym pozytywnym przesłaniem – dobry i szczery.

Razem zjedli obiad, potem rodzice odprowadzili ją do metra, jakby była nastolatką, która po raz pierwszy nie będzie nocować w domu rodzinnym,

jakby znowu odcinali tę pępowinę.

W podziemnej kolejce Anka wyjęła z torby tę kopertę, a z niej – kartkę. Bardzo była ciekawa, co babcia napisała.

„Życ możesz tylko dzięki temu, za co mógłbyś umrzeć”.

Rozdział dwudziesty pierwszy



Maj 1941 roku

– Saro, a ty pamiętasz, jak smakowała nasza gęś na Nowy Rok? – Rebeka siedziała przy drewnianym stole w ich pokoju. Na talerzu miała kawałek macy. Była pora kolacji.

– Pamiętam. – Sara pogładziła ją po głowie. Jej mała siostrzyczka. – Jedz, gdy zjesz, to... – Chciała powiedzieć, że wtedy może przyniesie jej coś z Zofiówki, na przykład kilka kostek cukru. Albo trochę marmolady. Albo cokolwiek innego, co będzie możliwe i co choć na chwilę osłodzi jej życie tutaj. Bała się jednak, że Rebeka się komuś wygada, bo, mimo wszystko, była ufna. A wtedy... Po zamknięciu granic warunki życia w getcie stały się jeszcze trudniejsze. Ceny artykułów żywnościowych bardzo wzrosły, a to, co można było kupić, było gorszej jakości i w niedostatecznej ilości. Przeludnienie powodowało, że drastycznie pogorszyły się warunki sanitarne. Ludzie chorowali na potęgę, wycieńczeni głodem, przymusową pracą, wszechogarniającą beznadzieją. Dobrze, że działały kuchnie społeczne, ale co

było robić, gdy wydawały tysiąc sześćset obiadów, a potrzebujących było trzy razy tyle? Ojciec słabł, marniał w oczach, brany do przymusowych robót. Siedemset gramów chleba – tyle wynosiła jego tygodniowa racja. Mama i Rebeka chodziły na te posiłki, ale tam się toczyła walka o życie – wprost. W warunkach ostatecznych ludzie się zmieniają, najważniejsze jest to, co podpowiada organizm – musisz przeżyć, za każdą cenę. Więc one, wąła matka i wąła córka, tylko czasem się dobiły do tej zupy.

Sara nie mogła na to patrzeć. Musiała coś zrobić, żeby Rebece, ten dopiero co wyrosły kwiatusek, wyrwać z tego piekła. Tylko jakim sposobem?

* * *

– Panie doktorze. – Maria uznała, że dziś będzie odpowiedni moment. Było ciepło, pogodnie, po prostu piękny maj. Maje mają to do siebie, że są piękne, nawet podczas wojny. Zapach konwalii leśnych, zniewalający, aż do omdlenia prawie, zieloność trawy, nabrzmiałe pąki na drzewach. Natura rwie się do życia. Maria też chciała żyć, brać, co można było. – A może wszedłby pan na herbatę? To dobre zakończenie po ciężkim dniu pracy.

Jan się zawahał. Z jednej strony rzeczywiście potrzebował oddechu, jakiejś namiastki przedwojennego odpoczynku, z drugiej zaś – spokoju, żeby pomyśleć. Ale co miał wymyślić? Jak pomóc Sarze? To, co mógł, to robił – dawał jej pieniądze, choć początkowo się wzbraniała, skrępowana. Mówił, że to dla siostry, matki, ojca. I rzeczywiście tak było, nic z tego nie przeznaczyla na siebie. Wiedział przecież, jak to piekło getta zaczyna płonąć. Jak w takich warunkach ludzie w ogóle się utrzymywali przy życiu – zagadka, której medycyna wyjaśnić nie potrafiła. Może ta herbata to dobry pomysł...?

– Dobrze, dziękuję. – Uśmiechnął się.

Maria też się uśmiechnęła.

– Pójdę do kuchni, przygotuję – powiedziała.

– To ja jeszcze zostanę na zewnątrz. – Górski usiadł na schodach wejściowych. – Człowiek potrzebuje słońca, tej naturalnej witaminy antyrachitycznej.

Wystawił twarz ku niebu. Przymknął oczy. Owionęło go przyjemne ciepło. Żeby można tak było zamknąć oczy, a potem otworzyć i znaleźć się w innej

rzeczywistości – już po wojnie.

– O, pan doktor kąpeli słonecznych zażywa? – wyrwał go z tego zamyślenia kobiecy głos. Pani Ziębińska, właścicielka.

– Dzień dobry. Ano tak. Słońce jest potrzebne. Odpoczynek również – odparł. Trochę mu przeszkadzała wścibskość gospodyni, ale taki miała charakter, że wszystko musiała wiedzieć. Nie tylko o nim czy o Marii, lecz o innych lokatorach także: o panu Stanisławie, nauczycielu z Warszawy, o starszym małżeństwie Potockich, o Tadeuszu, studencie. Poza tym jednak wydawała się dobrym, przyzwoitym człowiekiem.

– Oczywista sprawa. Ale o jedzeniu też trzeba myśleć. Tymbaliki od siostry niosę, chętnie poczęstuję pana doktora.

– Właśnie siostra Maria mnie zaprosiła na herbatę, więc...

– Więc dobrze się składa. Sama herbata to głodne jedzenie, cóż to dla takiego postawnego mężczyzny. – Spojrzała na niego z uznaniem. – Poza tym doktor musi się dobrze odżywiać, jak inaczej by chorych leczył? No i nas, gdyby zaszła potrzeba – dodała z uśmiechem.

Było jasne, że część tej troski to taka na przyszłość czyniona serdeczność, za którą być może Jan Górski będzie mógł się kiedyś zrewanżować.

Wstał ze schodów i poszedł za Ziębińską do kuchni.

– O, już pan jest, panie... – Maria usłyszała kroki, więc odwróciła się od kuchenki. Najpierw jednak zobaczyła gospodynię, dopiero potem doktora Jana. – Dzień dobry, pani Wando. – Nie spodziewała się jej tak szybko. We środy zwykle chodziła do siostry i tam spędzała całe popołudnie. Wracała przed siódmą. Dziś, wyjątkowo, zjawiała się wcześniej. „Akurat dziś”, pomyślała Maria ze złością. Poczowała, że z tej herbaty w parze będą nici. Nie pomyliła się.

– Panno Mario, właśnie mówiłam panu doktorowi, że z dobrym i zdrowym jedzeniem od Haliny, znaczy mojej siostry, wracam. Chętnie się podzielę, panią też oczywiście zapraszam. O, widzę, że herbata już się parzy, to zaraz dam nowy obrus na stół. – I nie czekając na jakąkolwiek reakcję Marii, poszła do kredensu w jadalnym.

„Maj się dopiero zaczął”, pomyślała Maria. „Jeszcze wszystko przed nami”.

– A gdyby tak umieścić Rebeke w Centosie?

– To przecież sierociniec... – Sara spojrzała ze zdumieniem na Jana. – Ależ gorąc – dodała. – Niezwyczajny ten maj.

– Siądźmy. – Jan wskazał ręką na ławkę pod drzewami. – Ja, choć całkiem zdrowszy, też czuję się przytłoczony tą kanikują. Zastanawiałem się nad dobrym miejscem dla twojej siostry. I zupełnie niesłusznie myślałem o jakichś odleglejszych lokalizacjach. Tymczasem Centos jest u nas, niedaleko naszej Zofiówki, na tym samym terenie. W teorii sierociniec i ochronka, ale tak było przed wojną. Teraz tam nie tylko żydowskie sieroty, lecz także dzieci niedowidzące i niedosłyszające, chore na wzór naszych pacjentów. Różne. Dyrektor Lis powołał komitet krzewienia literatury, więc dodatkowo byłby to pożytecznie spędzony czas. I, co najistotniejsze, wstępnie już z nim mówiłem. Że jest taka urocza dziewięciolatka, siostra naszej niezrównanej siostry Sary, która potrzebuje ciepłego kąta i odpowiedniego jedzenia.

– Ale czy powiedziałaś, że Rebeka ma rodziców? Że – Sarze zadrżał głos – wciąż ma rodziców?

Jan kiwnął głową.

– Bardzo ci dziękuję, za wszystko, co robisz. Mnie się wydaje, że to by było najlepsze, bo tak trudno zapewnić jej lepsze warunki tam, gdzie mieszkamy. Nie sposób po prostu. Mam poczucie, że to miejsce jest jak grząskie piaski, które coraz mocniej nas wciągają. Mnie mniej, bo tu spędzam większość czasu, tam tylko śpię.

– Właśnie. Sama widzisz, że to racjonalne. – Jan pogłaskał ją po dłoni.

– Racjonalne – tak. Tylko jak to rodzice przyjmą? Mama zwłaszcza? Mnie się wydaje, że opieka nad Rebeke, to, że trzeba się nią zająć, zdobyć coś do jedzenia, jakoś chronić, że to trzyma matkę na powierzchni. Że jeśli tego zabrakło, to ona już nic nie będzie musiała robić. Stanie się jak rozbitek, który już nie chce dryfować – rozluźni place i puści się tej deski czy koła. I pójdzie na dno... Jest jeszcze Dawid i wiara w jego powrót, ale nie wiem, czy to wystarczy, bo on jest daleko, a tu – w pamięci i myślach, ale to nie zmusza do wstawania, jedzenia i próby przetrwania. – Sara spojrzała na Jana. Wciąż miała piękne spojrzenie, ale teraz pomyślał, że nigdy nie widział tak smutnych oczu. I on miałby jej powiedzieć prawdę o miejscu, gdzie przebywa jej brat? Przecież w tej dziewczynie już nie ma miejsca na kolejny smutek.

– Och, najdroższa. – Nie mógł się powstrzymać i ją przytulił. Mocno, zaborczo, jakby chciał ją schować przed całym światem i zapewnić jej spokój i bezpieczeństwo. Gdyby mógł naprawdę tak zrobić! W każdym razie uczyni wszystko, co w jego mocy.

* * *

Rebeka siedziała w kucki, pod ścianą. W obu dłoniach ścisnęła tę lalkę-szmaciankę, którą Sara dla niej uszyła. Trochę nieforemną, z jedną nogą dłuższą i rudymi włosami, bo tylko taka włóczka została, ale ukochaną – Rebeka się z nią nie rozstawała. Teraz też miała ją przy sobie – przytuloną do serca.

Matka zaś... matka leżała na łóżku. W ubraniu, w butach nawet. Patrzyła w sufit. Była nieruchoma, nawet skrzyknięcie drzwi i potem trzeszczenie podłogi nie sprawiły, by spojrzała, kto wszedł do pokoju. Dlatego Sara w pierwszej chwili się przestraszyła, że matce coś się stało. Że umarła. Podbiegła do łóżka, chwyciła matkę za rękę.

– Mame, co z tobą?

Ręka była ciepła, więc Ruta Flinkier z pewnością pozostawała przy życiu. Nie odezwała się jednak. Obdarzyła Sarę przelotnym spojrzeniem, ale jakby niewidzącym, i znowu przeniosła wzrok na sufit.

– Mame, co się stało? Odezwij się. – Sara lekko szarpnęła jej ramieniem.

Bez efektu.

Kucnęła obok siostry.

– Rebeko, kochanie, co się stało z mamusią?

Wielkie brązowe oczy, pełne łez, spojrzały na Sarę. Siostrzyczka otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale zamiast słów wydobył się z nich cichy szloch.

„Boże, co tu się wydarzyło?“, Sara zaczęła się trząść z nerwów. Że wielkie nieszczęście, tego była pewna. Coś z ojcem, ale gdzie on może być? Gdzie go szukać? Zostawić tu Rebekę? Co robić? Gdyby tu był Jan – spokojny, mądry Jan. Albo chociaż Maria. A tak to jest sama, samiuteńka.

Usłyszała, że ktoś otwiera drzwi, nie te wejściowe, tylko te od drugiego pokoju – Lublinerów. W progu stanął Jakub. Przez chwilę jakby się wahał,

ale jednak wszedł.

– Szalom, Saro – przywitał się.

Kiwnęła głową. Z nerwów miała ściśniętą krtani. Nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Czuła, że zaraz usłyszy coś strasznego. Ojciec nie żyje, one zostaną tylko we trzy. Sara zabierze Rebekeę do Centosa, a wtedy jedyną motywacją matki do życia będzie nadzieja na powrót syna do domu. Od Dawida jednak nie było żadnych wieści. Pół roku rozłąki, pół roku niewiadomej.

Jakub stanął przy stole. Oparł się dłonią o blat. Jak wszyscy – schudł, zmizerniał. Ale teraz w jego twarzy było coś jeszcze. Sara wiedziała, co to jest, bo знаła takie spojrzenie z pracy – kogoś, kto wie coś strasznego i musi to przekazać. To były pomieszane lęk i ból – lęk przed reakcją tego, dla kogo się było posłańcem najgorszych wieści, i ból będący współczuciem, próbą przejęcia choćby części cierpienia tego drugiego.

– Powiedz – wyszeptwała.

Jakub podniósł ze stołu niedużą kartkę. Sara wcześniej jej nie dostrzegła, od razu skupiona na matce w dziwnej pozie, a potem na siostrze.

Podeszła do stołu. Wyciągnęła rękę, a Jakub podał jej tę kartkę. Urzędowe, oficjalne pismo.

„Rada Żydowska zawiadamia o śmierci Dawida Flinkiera w dniu 13 maja 1941 w Tyszowcach”.

Ach, więc to tak. Najokropniejsze wieści wcale nie muszą przywołać krzyku i fontanny łez. Można po prostu odłożyć kartkę na stół, zrobić kilka sztywnych kroków, oprzeć się plecami o ścianę, a potem się po niej osunąć na podłogę i usiąść przy młodszej siostrze. I tak trwać w niemej rozpacz.

* * *

– Jutro rano przy wszystkich wejściach zawisną plakaty oznajmiające, że żaden z Żydów nie ma prawa opuścić getta pod karą śmierci.

Sara patrzyła na Jana w niemym przerażeniu.

– Boże, to co robić? Ale oni nie są chorzy, może nic im nie będzie, może...
– Gubiła się i w słowach, i w myślach.

Rzeczywiście, w getcie pojawiło się ostatnio więcej przypadków tyfusu. Ale jak się miało nie pojawić, skoro wszędzie pełno wszy. Ale żeby epidemia? Choć w tych warunkach sanitarnych musiałby się cud wydarzyć, żeby nie było epidemii. A Bóg nie był ostatnio skory do cudów... A jeżeli Rebeka zachoruje? Wtedy na pewno nie będzie mogła jej przenieść do Centosu. A gdy zachorują wszyscy? Kto się nimi zajmie? Przecież ta choroba kładzie ludzi pokotem.

– Saro? – Jan dotknął jej ramienia. – Wiem, że to trudna decyzja, ale za dwie godziny zaczyna się pora policyjna. Wtedy klamka zapadnie. Musisz zdecydować. Teraz jest jeszcze czas, ale zegar tyka.

Sara nerwowo chodziła po gabinecie. Nie była przygotowana na podejmowanie takich decyzji. Przecież niecałe dwa lata temu była beztruską, wesołą dziewczyną, zaopiekowaną i bezpieczną. Żyła może trochę pod kloszem, może czasem zamarudziła, że chciałaby czegoś innego spróbować, samodzielności doświadczyć, ale przecież nie takiej! Zresztą nawet gdyby była najmądrzejszym Żydem, całymi dniami studiującym święte księgi, to czy umiałaby podejmować takie decyzje? Czy ktokolwiek na świecie by umiał?

– Co robić? – powtórzyła to bezradne pytanie, wpatrując się w Jana.

– Nie wiem – przyznał szczerze. – Nie potrafię ci doradzić. Zresztą tu nie mądrości trzeba. Kieruj się sercem.

Sara zacisnęła powieki. Rebeka, mała Rebeka. Jej jedyna siostra. Delikatna i krucha. Nie, tam nie da rady. Ze schorowanym ojcem i z zanurzoną w smutku po śmierci syna matką. Ona potrzebuje kogoś, kto jeszcze chce żyć, tak naprawdę. Sara nagle pomyślała, że rodzice żyją już tylko niejako z przyzwyczajenia. Że nawet opieka nad najmłodszym dzieckiem nie jest w stanie wykrzesać z nich prawdziwej woli życia. A Sara bardzo pragnie żyć, bo ma przed sobą cel, a obok siebie – Jana.

– Idę po Rebeke – oznajmiła.

* * *

Sara nie miała żadnego zdjęcia rodziców. Wszystkie fotografie, jaki zrobili, zostały przy nich. Nie potrzebowała jednak tych białoczarnych obrazków, żeby zapamiętać ich wygląd. Kiedy wychodziła z mieszkania, z dłonią Rebeki

w swojej dłoni i z małym tobołkiem w drugim ręku, jeszcze jeden, ostatni raz obróciła się w ich stronę. Spojrzała na nich i tym spojrzeniem na zawsze – była o tym przekonana – utrwaliła ich obraz na kliszy pamięci. Stali obok siebie, ramię w ramię. Wyglądali jak postaci z teatru – czterdziestokilkuletni ludzie ucharakteryzowani na starszków. Bardzo udatna charakteryzacja – gdyby Sara nie знаła ich prawdziwego wieku, uwierzyłaby, że są leciwymi ludźmi. Właściwie to nie pamiętała już ich zwyczajnego wyglądu. Mogłaby wziąć jakieś zdjęcie z pudełka, żeby ocalić choć taką namiastkę dawnego, normalnego życia, żeby mieć jakiegokolwiek namacalne potwierdzenie, że kiedyś mieli zwykłe, dobre życie. To jednak byłoby jak przyznanie, że nie wierzy w to, że jeszcze się zobaczą. Więc na zawsze już pozostanie z takim smutnym wspomnieniem.

– Do zobaczenia, Saro, do zobaczenia, Rebeko – powiedział ojciec.

Matka kiwnęła głową. Usta jej drżały.

– Do zobaczenia, tato. Do zobaczenia, mamó – odparła Sara, choć w myślach dodała: „Żegnajcie”. Mocniej ścisnęła dłoń siostry i wyszły.

Rebeka była zaintrygowana nowym miejscem swojego pobytu. Wiedziała, że będzie mieć nowe koleżanki, że dom, w którym zamieszka, mieści się w lesie. Nie wiedziała, ile te „wakacje” potrwają, ale zupełnie się tym nie martwiła.

Szły w stronę getta sanatoryjnego. Rebeka z ufnością, Sara ze łzami w oczach. W bramie przywitała ich Maria. Miała dla Rebeki piękną kokardę w prezencie. Dziewczynka wprost oniemiała z zachwytu, Sarze zaś zrobiło się trochę cieplej na sercu. Póki jest obok choć jedna przychylna dusza, człowiek ma szansę na przeżycie.

* * *

Rano na bramach wjazdowych do getta zostały przyklejone informacje o tyfusie. Żeby mieć pewność, że zaraza nie będzie się przenosić, dotychczasowy drewniany parkan dozbrajano drutem kolczastym. Ustalono, że dostawy żywności i towarów na teren lecznic może się odbywać tylko dwa razy w tygodniu.

„Jakby się wieko zamykało nad naszą trumną”, pomyślała Sara.

Rozdział dwudziesty drugi



Dookoła było monotonie – szaro. Najwięcej lastryko, wiadomo, ekonomia ma znacznie. Choć może na tę estetykę bardziej wpłynęły czasy, bo lastrykowe groby powstawały w poprzedniej epoce, w której królowały beton i paździerz, nic innego po prostu nie było. W tej części cmentarza, który rozrastał się chronologicznie, zatem zmarli zostali tu pochowani w podobnym czasie, czyli trzydzieści lat temu, było monochromatycznie. Z jednym wyjątkiem. Tym, przy którym stali Anka i Marcin.

Ten grób był jak lilia na kompostowniku. Wykwit innego świata na smutnej ziemi.

Ludzie są definiowani przez przedmioty. Owszem, liczy się wnętrze, nie można oceniać po wyglądzie, ale rzeczy, którymi się otaczamy, dużo o nas mówią. Czerwone sportowe auta, zachowawcze garsonki, dredy, szpilki, oleodruki z jeleniem na rykowisku, zdjęcia dzieci na biurku w pracy, ascetyczne nowoczesne wnętrza, rustykalne zasłony – za tym wszystkim kryje się właściciel, jego gust, jego pieniądze, potrzeby, marzenia, niespełnienia.

Co w takim razie mówił o dziadkach Marcina ten grobowiec? Anka patrzyła na bladoróżową tablicę z ozdobnie wykutymi literami i białą figurą Matki Boskiej. „Małgorzata i Mariusz Zielińscy”. Dwa zdjęcia: ona – podobna do matki, z burzą gęstych, jasnych loków, w bluzce z obfitymi marszczeniami – koniec lat osiemdziesiątych lub początek dziewięćdziesiątych; on – jak młody yuppie. Oboje uśmiechnięci, szczęśliwi. „Ciekawe, kiedy wykonano te fotografie”, pomyślała Anka. „Ile życia mieli jeszcze przed sobą. A potem – trach! Błysk i ciemność. Było i nie ma. I nic się nie da zrobić”.

– To chyba nowy grób? – zapytała Marcina, który wyciągał znicze z lnianej torby.

Wszystkich Świętych spędzała z nim. Ona właściwie nie miała do kogo jeździć. Rodzice żyli, dziadkowie żyli. To znaczy ci w Suwałkach. Drudzy już nie, ale byli pochowani daleko od Warszawy, w Szczecinie, skąd pochodził tata. Rodzice bywali u nich, to znaczy na cmentarzu, ale nie w listopadzie, gdy był taki ruch na drogach. Zawsze wybierali się tam trochę przed, w październiku. W tym roku też tak zrobili. Anka, kiedy była mała, nawet trochę żałowała, że nie ma „swoich” zmarłych. Takich, przy których grobie zbiera się cała rodzina i wspomina. A potem jedzie na wspólny obiad – tak robiły koleżanki z jej klasy. Brakowało jej też ciągłości pokoleniowej. W Szczecinie były groby pradziadków, a potem dziadków, i tyle. Rodzice dziadka z Suwałk byli pochowani gdzieś na wschód od Warszawy, w kierunku Lublina, wciąż zapominała tej nazwy. Stary grób, zginęli niedługo po wojnie. Pochowani z córką, tak myślała, póki nie zrozumiała, co znaczy „pro memoriam”. Siostry dziadka nie było w grobie, zginęła gdzieś podczas wojny. Babcia też straciła podczas wojny rodziców i brata. „W obozie”, powiedziała. Anki najpierw to nie interesowało, a może była za mała, by pytać. Zapytała w liceum, kiedy świadomie zaczęła szukać korzeni. Babcia powiedziała: „Była wojna, ludzie ginęli. Wojna się skończyła, zostawmy to”. Dziadek ją potem poprosił do kuchni i powiedział, że to trauma dla babci, mimo tylu lat. I że wiele osób, które straciły bliskich podczas wojny, nie chce do tego wracać, nie chce o tym rozmawiać. I że trzeba to uszanować. Więc uszanowała i niewiele wiedziała.

Przyglądała się grobowi. Płyta była już gęsto zastawiona zapalonymi świeczkami i pięknymi chryzantemami; w wazonie także stał bukiet tych kwiatów. Wszystko było białe.

– Tak. Babcia zamówiła go kilka miesięcy temu, na trzydziestolecie śmierci rodziców.

– Bardzo oryginalny kolor. – Tego się nie dało inaczej skomentować. Ten biały marmur o gęstej sieci różowych, od bladego do wysyconego odcienia, żyłek zdominował całe otoczenie.

– Marmur. „Biała Maria”. Nie zdecydowałbym się na taki kamień, jest tyle ładnych granitów w stonowanych kolorach. Dziadek też by sceptyczny, wolał klasykę, ale Buba się uparła. Chociaż właściwie... – Marcin się zastanowił. – To nie był taki zwyczajny upór. Powiedziałbym raczej, że to było... pragnienie? Marzenie? Nie, to źle brzmi w kontekście grobu. Chodzi mi o to, że z jakiegoś powodu babcia uważała, że ten kolor będzie idealny. I jedyny możliwy. Pojechaliśmy do zakładu, pan chciał nam pokazać próbki kamieni, a babcia od razu, że „biała Maria”. Nawet kamieniarz był zdziwiony – że to drogi materiał, że jeśli robią, a robią rzadko, to małe dziecięce groby. Nie było jednak rozmowy. Najpierw opór, potem łzy. Że to piękny kamień, że ona sobie nie wyobraża innego. No to nie dyskutowaliśmy, tylko zamówiliśmy grobowiec. Wyszło... No, szczerze mówiąc, mam mieszane uczucia, bo bardzo się wyróżnia. I te dwie szare fotografie na mlecznym różu... Coś mi zgrzyta. To raczej jak grób młodej panienki. Albo, faktycznie, dziecka. Nie mówiłem nic babci, ale ona się chyba domyśla, bo nigdy mnie nie zapytała, jak mi się podoba.

– A nie chciałeś mieć wpływu na kształt tego grobowca? To przecież twoi rodzice... A rodzice twojego taty? Właściwie nigdy o nich nie mówiłeś.

– Też nie żyją. Dziadek to już dawno, zmarł na raka, nawet dobrze go nie pamiętam, bo byłem wtedy mały. Babcia zmarła jakieś dziesięć lat później. Mieszkali w Rzeszowie, kawał drogi, trudno było się spotykać. Byłem u niej kilka razy na wakacjach, ale Buba źle to zносиła, bała się o mnie. – Marcin się zamyślił.

Anka też milczała. Chciała wiedzieć więcej, ale ile i kiedy Marcin jej powie, zależało tylko od niego. Takie sprawy wymagają dużego taktu.

W końcu się odezwał, wciąż ze wzrokiem wpatrzonym w tablicę ze zdjęciami.

– Mam wrażenie, że podzieliliśmy się tą tragedią. Ja wtedy miałem osiem lat. To niby nie tak mało, ale kiedyś z dziećmi nie rozmawiano otwarcie, nie było dostępu do świata, nie było takiego naturalizmu w pokazywaniu rzeczywistości. Teraz włączasz *Fakty* i masz drastyczne obrazy śmierci. Dzieci tym nasiąkają. Wtedy słowo „śmierć” było abstrakcyjne. Teoretycznie wiedziałem, co to znaczy, ale jak się ma teoria do takiego dramatu? Większe

wrażenie zrobiła na mnie rozpacz babci. Byłem u niej, jadłem mielone w kuchni, gdy ktoś zapukał do drzwi. Ona poszła otworzyć, usłyszałem jakieś głosy, a po chwili krzyk. Wręcz zwierzęcy.

Anka się wzdrygnęła. Dopracowana, schludna i powściągliwa Buba miałyby tak krzyczeć? Aż trudno było sobie to wyobrazić. Ale gdy dziecko umiera, wyobraźnia zawodzi. To jest najgorsza sytuacja na świecie. Może dlatego babcia Marcina przeżywała to najbardziej? Matka, która sypie ziemię na wieko trumny swojej córki – coś niewyobrażalnie straszego.

Nie było zimno, słońce się przedzierało przez chmury, ale Anka poczuła dreszcze. Tak, miała szczęście, że los jej nie wystawiał na żadne próby. Może trochę nudne miała życie do tej pory, jeśli jednak to była cena za brak dramatów, to niska.

– Pamiętam, że ręka mi zadrżała i ukłułem się widelcem w podniebienie. Zacząłem płakać – i z powodu tego bólu, i z powodu tego krzyku. Wstałem od stołu, wyszedłem na korytarz i zobaczyłem babcię. Siedziała na podłodze, oparta plecami o ścianę. Przy niej kuczał milicjant. To był niezwykle widok. Babcia zawsze dbała o formę, nigdy by tak nie klapnęła na ziemię. No i milicjant, który coś do niej mówił, a ona się odpędzała, jak od natrętnej muchy. Odwrócił się i mnie zobaczył. Wstał, chwilę się zastanowił, a potem zapytał, czy mam ulubioną książkę, i powiedział, żebym sobie poszedł czytać. I – uważaj, bo to jest najlepsze – poszedłem czytać.

– Och, Marcin. – Anka przytuliła go mocno. – Wtedy nikt się tak nie przejmował dziećmi. Nie traktował ich partnersko. Nie tłumaczył, nie drżał nad psychiką... I co było dalej? – Nie znała tej historii szczegółowo, tylko same ogólniki.

– Po jakimś czasie przyjechał dziadek. Milicjant po niego zadzwonił. Dziadek się szybko zreflektował, że przecież ja u nich jestem, i przyszedł do mnie do pokoju. I powiedział, że nieszczęście się stało, że był wypadek i że rodzice nie wrócą. Słowo „śmierć” nie padło. Dopiero następnego dnia czy nawet trzeciego. A ja nie potrafiłem sobie wyobrazić, co będzie dalej. Mnie się wtedy świat kurczył do danego dnia, to co dopiero taka perspektywa – na zawsze.

– Straszne... Patrz, jedna chwila i wszystko się sypie. Ludzie rano piją kawę, przyczesują włosy, wyciągają list ze skrzynki, odpalają auto i za chwilę to wszystko, czym się tak martwili, czemu poświęcali czas, jest nieaktualne. Drobiazgi z teraźniejszości wobec wieczności – to jak pył, paproch...

– Zginęli na Pradze. Przy Dworcu Wschodnim. Wina była mamy, to ona wtedy prowadziła.

Tak, to Marcin jej mówił. Jego mama odwoziła tatę na pociąg. Na wysokości Wedla, gdzie skręcała, zagapiła się i wjechała wprost pod ciężarówkę. Nie mieli szans. Zastawa zgmiotła się jak harmonijka. Teraz, w tych okolicznościach, na cmentarzu, we Wszystkich Świętych, Marcin się otworzył. Teraz były czas i miejsce, żeby się podzielić z nią tym bolesnym kawałkiem przeszłości bardziej szczegółowo. Podejrzewała, że chce jej powiedzieć coś jeszcze, o czym wcześniej nie wspominał.

– Wiesz, że od tamtej pory babcia nie przejechała na drugą stronę Wisły? Jakby to była jakaś granica – granica cierpienia.

– Boże! – wykrztusiła Anka. Tego nie wiedziała, no bo i skąd. Trzydzieści lat życia w połowie Warszawy...?

– Nie mówiłem ci, bo to takie... osobiste. Ona się do tego nie przyznaje, ale tak jest. Pamiętam ciąg takich odmów – zawsze coś nie pasowało, kiedy kierunek był nieodpowiedni. Dopiero potem połączyłem to w spójną decyzję. Po prostu nie chce postawić nogi po tej stronie Wisły, gdzie zginęła jej córka. Wiesz... – Marcin się zawahał. Oberwał kilka zgniecionych płatków chryzantemy i schował je do kieszeni. – Babcia chyba się obwinia o śmierć mamy.

– Ale jak to? Jaka jej w tym wina? – zdumiała się Anka. – Przecież nie było jej tam. Nieszczęśliwy wypadek.

Marcin podniósł na nią wzrok.

– To było w wakacje, na początku lipca. Nie chodziłem do szkoły, zajmowali się mną dziadkowie, w sierpniu miałem razem z nimi pojechać nad morze. Tego dnia mama też mnie zaprowadziła do babci. Dziadek wyszedł do pracy, byliśmy we troje. Babcia mnie pocałowała, a potem wzięła do kuchni. Jadałem u niej śniadania, bo zawsze miała więcej czasu, szykowała dobre rzeczy i nie musiałem się spieszyć, żeby szybko zjeść i żeby przeze mnie mama nie spóźniła się do pracy. Tego dnia wyjątkowo się nie spieszyła, bo miała odwiedzić ojca, który jechał w delegację. Więc siedziałem w kuchni, piłem kakao, jadłem ciasto drożdżowe z konfiturami z truskawek, a mama i babcia były w salonie. Rozmawiały. Nie interesowały mnie dyskusje dorosłych, bawiłem się żołnierzykami. Do czasu, kiedy usłyszałem podniesione głosy. Nigdy wcześniej się kłóciły. To znaczy mama bywała zdenerwowana czy poirytowana, zwłaszcza gdy miała inne poglądy na

wychowanie mnie niż babcia, ale to nie były awantury. Nie ten kaliber. A wtedy... to było coś na serio. Pamiętam... – Znowu się zawahał. – To znaczy już nie wiem, czy pamiętam. Podobno pamięć potrafi nas oszukać i wmówić nam rzeczy, które się nie wydarzyły. Ja wtedy byłem dzieckiem, mało co rozumiałem, ale... Wydaje mi się, że babcia powiedziała, krzyknęła raczej: „Jesteś nieodpowiedzialna!”. Mama odkrzyknęła: „Ja?”. A potem zrobiło się ciszej i usłyszałem skrzypnięcie drzwi. Któraś z nich je przymknęła.

– To nic nie znaczy, mogło chodzić o cokolwiek, jakiś drobiazg. Ludzie najczęściej się kłócą o drobiazgi. Może mama nie zostawiła ci czapki od słońca albo babcia miała inną uwagę co do twojego wychowania, sam mówiłeś... – Anka od razu próbowała znaleźć wyjaśnienie.

– Nie, to nie to. To była nowa sytuacja. Trochę stresująca, ale też intrygująca. Podeszedłem do drzwi od salonu i zacząłem słuchać. Nie słyszałem całych zdań, wyłapywałem pojedyncze wyrazy. Znowu tę nieodpowiedzialność. I miłość. „Co ty wiesz o miłości?”, to była mama. Babcia coś odpowiadała, ale ciszej. A potem, i to pamiętam, bo głośno krzyknęła: „Więcej niż ty!” I wtedy zadzwonił telefon, ja się przestraszyłem i zviałem do kuchni. Zdażyłem usiąść, wziąć ciasto do ręki. Po chwili mama weszła, była różowa na twarzy. Powiedziała, że już idzie, że zobaczymy się po południu. Pogłaskała mnie po głowie i tyle. To był ostatni raz.

– A babcia? Też przyszła?

Marcin kiwnął głową.

– Tak. Ale powiedziała tylko, żebym pił kakao, bo zimne, i zaczęła obierać ziemniaki. No a potem...

– Ja nie wiem, czy to miało jakieś znaczenie. Pewnie zwykły przypadek. Mogły rozmawiać o różnych sprawach, słowa wyjęte z kontekstu potrafią namieszać. – Ance trudno było uwierzyć, żeby Buba kłóciła się z powodu miłości. I to z własną córką. – A nie zapytałeś nigdy babci, o czym wtedy mówiły? – Nagle do niej dotarło, że to przecież najprostszy sposób weryfikacji, co było, a co Marcin sobie wyobraził.

– Wtedy nie. To się jakby zgubiło, zostało przykryte pogrzebem, przeprowadzką, innymi sprawami. Właściwie dopiero po latach zacząłem o tym myśleć, kiedy ten grób zmienialiśmy. Wtedy zapytałem. Babcia powiedziała, że to o przyjaciółce mamy, która się zakochała i rozwiodła. I rzeczywiście, była taka ciocia Aneta.

– No, to masz sprawę wyjaśnioną – stwierdziła Anka.

Marcin wyglądał na nie do końca przekonanego.

– Miałem poczucie, że za szybko mi odpowiedziała. Jakby czekała tyle lat na to pytanie.

– Słuchaj, a może rzeczywiście babcia myśli, że to jej wina? Tak czy owak, bez względu na temat rozmowy, pokłóciły się. A potem mama wsiadła do auta i spowodowała wypadek. Bo może była zła, roztrzęsiona, nieuważna. No i się rozstały w złości. To może być obciążające, na pewno było. – Anka nie chciała nawet sobie wyobrazić, co ona by czuła, jakby się potem męczyła ze sobą, gdyby jej ostatnia rozmowa z mamą zakończyła się awanturą. Kiedy ktoś umiera, to już nic nie można zrobić. Człowiek zostaje sam ze swoimi wyrzutami sumienia, rzuconymi w gniewie słowami. – Ile czasu zajęło babci dojście do siebie? – zapytała.

– Lata. Pewnie z dekadę. Kiedy szedłem na studia, pomyślałem, że dobrze, że już przerobiła tę rozpacz po odejściu mamy i taty, bo za chwilę ja się wyprowadzę i to pewnie będzie dla niej dodatkowy smutek.

– I był?

– Trochę był. Pytała, czy muszę, po co, mówiła, że mają takie duże mieszkanie, że sobie nie wchodzimy w drogę. I to wszystko racja, ale ja już chciałem się usamodzielnic. Miałem taką potrzebę. Teraz, kiedy na to patrzę z perspektywy czasu, widzę, że byłem trzymany bardziej pod kloszem niż moi koledzy. Jakby babcia się bała, że coś może mi się stać. Po śmierci mamy rzeczywiście była bardziej przewrażliwiona. Czasem to nawet zahaczało o paranoję, jak z tym Świdrem.

– Chyba dalej jest przewrażliwiona...? – Anka wciąż miała w pamięci tę rozmowę z Kaśką. Cały grób na białą. Rzeczywiście jak dziecka. Jedno dziecko babcia pochowała, drugie chciała ochronić przed całym światem.

– Staram się ją rozumieć. Teraz do tego dochodzi jeszcze wiek. Ludzie na starość mają różne odpały. Twój dziadkowie nie?

Anka się zastanowiła. Dziadkowie wydawali jej się normalni, to znaczy tacy jak zawsze.

– Chyba nie. Są mniej sprawni, mniej mobilni, ale charaktery mają niezmiennie. I oby tak zostało. Mówiłam ci o Marcie i jej ojcu. Chociaż może akurat on nie jest dobrym przykładem, bo z potwora zmienił się w miłego

starszego pana, tyle tylko, że zanurzonego w urojonym świecie. Żał mi Marty. Miała okropne dzieciństwo i młodość, ma trudne dorosłe życie.

– To jej wybór. To znaczy teraz to jej wybór. A wcześniej to był wybór jej mamy. – Marcin powiedział to pewnie, bez zawahania. – Jak ludzie mogą się godzić na takie rzeczy? Chcieć być z potworem?

– No nie wiem... – Anka nie potrafiła być tak stanowcza jak on. – Może ta mama go jednak kochała? Może była od niego zależna finansowo? A może nie miała dobrych wzorców z domu rodzinnego? O tym też kiedyś rozmawialiśmy – rodzina to strasznie pogmatwana sieć zależności.

– Brzmi jak pajęcza sieć. – Marcin zaczął wreszcie układać znicze na płycie, wpasowując się w wolne miejsca.

– Ty tego nie doświadczyłeś, ja też nie, ale wiele osób tak. Wciąż się słyszy o patologiach, przemocy. Ja także wiele razy o tym pisałam do naszej gazety. To znaczy w wersji *soft*, ze szczęśliwym końcem. Odzew jednak pokazywał, że to tematy, w których sporo czytelniczek się przeglądało. Człowiek nawet nie podejrzewa, że tak może być u jego znajomych, sąsiadów, kolegów...

Marcin zdjął metalowe pokrywki i zaczął zapalać knoty.

– W sumie i wśród moich znajomych też coś takiego wyszło... Tomek ma problemy. – Podniósł się i spojrzał na Ankę.

– Twój szef? – zdziwiła się. Do tej pory uważała go za człowieka sukcesu, tak przynajmniej opowiadał o nim Marcin.

Marcin pokiwał głową.

– A jakie? Też z rodzicami?

– Nie. Ze sobą.

– Nie rozumiem. Co to znaczy: „ze sobą?”.

– Jest hazardzistą.

Dla Anki zabrzmiało to tak egzotycznie, jakby Tomek wierzył w UFO albo żywienie energią słoneczną.

– Wydaje za dużo pieniędzy na grę w karty, ruletkę? Nie potrafi tego ograniczyć?

– To uzależnienie. Jedni piją, inni rzną w pokera. I jedni, i drudzy nad tym nie panują. To choroba. Oni są chorzy, on jest chory.

- A skąd ty o tym wiesz?
- Powiedział mi.
- Uzależnieni chyba się nie przyznają tak łatwo do bycia uzależnionymi?
- Nie. Ale on już w tym trochę siedzi. Poza tym potrzebował kasy.
- Na grę? Pożyczyłaś mu kasę, żeby grał? – Anka się zdumiała. – Przecież to jak przyłożenie ręki do nałogu.
- Nie na grę. Na kredyt. Nie miał pieniędzy. Kompletnie się spłukał, co znaczy, że musiał naprawdę ostro grać, bo dobrze zarabia. Bank mu zagroził odebraniem mieszkania, a on ma małe dziecko.
- No dobra, a skąd wiesz, że to naprawdę na kredyt? Może cię oszukał?
- Nie. Wpłaciłem te pieniądze na konto podane w umowie kredytowej.
- A żona nie wie?
- Wie. Jak to żona, dowiedziała się ostatnia.
- Dobrze, że jej powiedział.
- Cóż... Przeszedł list od komornika. Za inne długi zajęli mu auto, to znaczy ich wspólne, bo on jeździ służbowym. Tak się dowiedziała.
- Jezu. To straszne, jak zimny prysznic. No i co dalej?
- Tomek się teraz leczy, chodzi na terapię. Podobno widzi światło w tunelu. Choć ma przekichane, bo narobił takich długów, że kilka lat będzie je spłacał. Żona dała mu szansę. Do pierwszego kolejnego razu. Ona jest twarda Ślązaczka, zostawi go, jeśli znowu zacznie grać.
- Gdyby dostał ten awans, to pewnie byłoby mu łatwiej zacząć od nowa. Wyższa pensja, łatwiej połatać te długi... Kiedy właściwie ma się to okazać?
- Do końca roku. Też na to liczę. Nie tak spektakularnie jak u Tomka, ale i tak fajnie by było. W końcu także zacząłem inne życie. Ukochana kobieta, potem pewnie dzieci...

W innym otoczeniu Anka od razu by się rozpląnęła jak wosk po takim tekście. Płomienie świec, coraz mocniej odcinające się od ciemniejącego nieba, wywoływały w niej jednak lekki niepokój. Niby płonęły jasnym światłem, ale nie były w stanie rozjaśnić wszystkich tajemnic. Co chatka, to zagadka, mówiła Kaśka. Anka postanowiła, że swoje życie będzie budować wyłącznie na szczerości. Żadnych tajemnic.

Rozdział dwudziesty trzeci



Wrzesień 1941 roku

Maria nie wiedziała, jak dokładnie się to stało. Że nie było gromu z jasnego nieba, tylko dzień po dniu, krok po kroku, spojrzenie po spojrzeniu – tak się w niego zapatrywała, tak się w nim zapadała, tak ją zauraczał.

Kochała doktora Górskiego. Wiele godzin, samotnie i bezsennie przepędzonych w łóżku, zastanawiała się nad istotą miłości. I zrozumiała, że od miłości nie można zbyt wiele wymagać, nie dając nic z siebie. Miłość musi oznaczać poprzestanie na rzeczywistości, a nie chęć, by tę rzeczywistość wyczerpać. Więc nie oczekiwała fajerwerków – takich, co to nagle wybuchają, szybko się spalają i zostawiają z niczym. Ani też tego, by on ją nieustannie adorował, zabiegał o nią, podczas gdy ona będzie udawała niedostępną. Sama postanowiła o tę miłość zawalczyć, zbudować ją dla siebie, dla nich.

Ostatnie tygodnie były paskudne. Najpierw zamknięcie getta, potem wzmożone obserwowanie pacjentów, czy i u nich nie ma zakażonych, a teraz

jeszcze przywiezienie pensjonariuszy z krakowskiego szpitala. Fakt, byli jedyną placówką dla nerwowo i psychicznie chorych w Guberni, ale przecież to nie powinien być dla Niemców argument. Bez mrugnięcia okiem zabijają zdrowych Żydów i w tym samym czasie wiozą ponad trzysta kilometrów grupę tych nieszczęśników, o których nadzorujący Zofiówkę doktor Walbum powiedział, że to „życia niewarte życia”.

Jak się w tym wszystkim rozeznąć? Jak nie pogubić? Trzeba mieć wsparcie. Maria miała Sarę, ale właściwie to Sara miała ją. Choć ostatnio, to znaczy od czasu, kiedy Rebeka była w Centosie, Sara jakby stwardniała. Widać to było w jej oczach – już nie tylko smutek, lecz także wola walki. To jednak wciąż Żydówka. Niepewna przyjaźń...

Jan Górski... Często ostatnio wracają razem. Sara już nie chodzi do getta II, były problemy od czasu tego tyfusu, więc zamieszkała na terenie Zofiówki. Doktor jej nie odprowadza, zresztą ona każdą wolną chwilę poświęca siostrze.

Dziś Maria też wróciła z doktorem. Pół godziny temu rozstali się w korytarzu na dole. Znowu ta koszmarna Ziębińska musiała im wejść w paradę! Taki piękny wczesny wieczór, nagrzone, ale rześkie powietrze, a ona w tym pokoiku, do którego dociera zapach kapusty z kuchni. A obok, tak blisko – on.

Maria wstała energicznie z tapczanu. Przecież wkładała Sarze do głowy: „Musisz walczyć o swoje”. Ona też zawalczy.

Zapukała do drzwi Jana Górskiego.

– Proszę. – Usłyszała.

Siedział przy biurku, ale nic nie pisał i chyba nie czytał, bo książki miał poskładane.

– Pomyślałam sobie, że może miałby pan ochotę na spacer. Bo ja mam. Tylko na samotność nie mam chęci.

Spojrzał na nią trochę jakby roztargniony.

– Co...? Ach, tak. Chętnie potowarzyszę. Spaceruje to zdrowie.

Maria wolałaby, żeby inny aspekt ich wspólnego wyjścia był na pierwszym miejscu, ale trudno. Może na łonie przyrody, gdzie atmosfera będzie swobodniejsza...

Przeszli już spory kawałek i właśnie dotarli do niedużej polany.

– Chyba tu trzeba zrobić nawrót – powiedział Górski.

Późnoletni las pachniał żywicą, nagrzaną korą, roślinami miodnymi. Ten trochę duszny, trochę kadzidlany zapach podziałał na Marię ośmielająco.

– Tak, ale może wcześniej usiądziemy na chwilę? – Postanowiła wykorzystać tę okazję.

Usiedli więc na płowej trawie, blisko siebie.

Maria miała teraz twarz Jana na wyciągnięcie dłoni. Naprawdę piękne miał oczy – ależ to był błękit! I te wyraziste brwi nad nimi, i nos – wcale nie mazowiecki, jak u niej, tylko smukły, zgrabny. I usta – chyba miękkie...

Zrobiło się jej gorąco. Nie tylko podziwiała Jana Górskiego jako lekarza i człowieka, lecz także go pożądała jako mężczyznę. Postawny, szczupły, silny. Już tak dawno z żadnym nie była. Na początku ten Józek się do niej zalecał, ale wtedy ją to bawiło, nie myślała nawet, że mogłaby być z kimś takim jak doktor Jan. Zresztą Józek to był wyczynowiec na krótki dystans, bez wiedzy o potrzebach kobiet, bo skąd miałby ją wziąć. Aż się wzdrygnęła na to wspomnienie grubych, niezgrabnych palców Józka i jego sprośnego języka. Jak ją to mogło bawić i pociągać? Jan na pewno jest inny.

– Doktorze... – zaczęła.

Obrócił głowę w jej stronę. Nie wiedziała, jak to powiedzieć, nie była zbyt mocna w romantycznych, poetyckich słowach. A może wcale nie trzeba mówić? Jest inny, uniwersalny sposób na przekazywanie uczuć.

Jeszcze odrobinę się do niego przysunęła, tak że poczuła jego ramię tuż przy swojej piersi. Schyliła głowę; poczuła ciepło jego oddechu. Jeszcze kilka centymetrów... Tak, jego usta były doskonałe – miękkie i jednocześnie sprężyste. Pocałowała go, delikatnie. On się nie poruszył, więc znowu musnęła jego wargi swoimi. Wciąż bez efektu. „Tak się pomyliłam?”, pomyślała ze smutkiem. „Tak zupełnie na niego nie działałam?” Ale gdy trzeci raz się z nim złączyła, jakby coś się w nim przełamało. Oddał pocałunek – mocno, drapieżnie. Jedną ręką objął jej głowę, zatrzymując ją w tej pozycji, druga powędrowała na jej talię.

„Och!”, westchnęła cicho Maria. Więc jednak się nie myliła, jest po prostu nieśmiały, ale w środku buzują w nim namiętności. Z uczuciem też tak będzie.

Jan całował ją, przygryzał wargi, sięgnął dłonią dekoltu. Ona poddawała się

temu z przyjemnością. Podprowadziła go do tego momentu, teraz niech weźmie góra męska natura.

„Czy to jest odpowiednia chwila?”, pomyślała, nagle przywrócona do rozsądku. „A zresztą, gdyby nawet, to dziecko tylko przypieczętuje sprawę” – znowu odpłynęła w przyjemność. To było takie zmysłowe, takie podniecające – jego ciepłe dłonie na jej nagiej skórze...

– Nie mogę, przepraszam.

Przez chwilę nie wiedziała, co się stało. Po prostu nagle zniknęły ciepło jego ust i gorąc jego pieśczoł. Podniosła przymknięte wcześniej powieki. Jan stał teraz, odsunięty z metr od wygniecionej trawy.

– Nie wiem, co mnie opętało – mówił tak, jakby to on zaczął te czułości, jakby ją napadł i zniewolił. – Cóż, taka chwila jakiegoś pomieszania, zapomnienia...

– Zapomnienie bywa dobre – powiedziała miękko. Może myślał, że jest niedoświadczoną panienką? Podniosła się i wyciągnęła rękę w jego stronę. Nie odwzajemnił gestu.

– Nie, nie w tym przypadku. Ja... Ja jestem mężczyzną zajęтым.

Maria osłupiała. Jak to „zająтым”? Przecież nie nosi obrączki. Zresztą wiedziałyby o żonie, wszyscy by wiedzieli. No i dlaczego by z nią nie mieszkał? A nikogo innego nie było, bo doktor Górski nie miał życia poza zakładem. Nic nie rozumiała. Stała przed nim z rozpiętym dekoltem pomiętej bluzki i nic nie rozumiała.

– Jest ktoś, komu oddałem serce, a kto oddał mnie swoją rękę. Więc... przepraszam, siostró Mario, zwłaszcza że to na panią trafiło, bo... – Już, już prawie by jej powiedział o Sarze, a ona przecież wciąż, teraz nawet bardziej, ze względu na Rebeke, nie chciała, by ktoś wiedział o tym, co ich łączy. – ... bo jest pani taką miłą i dobrą osobą. I, niestety, również ładną kobietą – dodał, jakby na usprawiedliwienie.

Naprawdę nie miał pojęcia, co go naszło. Jakaś chwila durnej słabości, dopuszczenie do głosu odwiecznej, pierwotnej siły, która każe mężczyznom posiadać. Bo przecież w nim też buzowały te siły, nie znajdując dostatecznego ujścia. Jego relacja z Sarą nie wyszła poza pensjonarskie pieśczołoty.

Maria nie wiedziała, co powiedzieć. Nie wiedziała nawet, co myśleć. Nie

przewidziała tego scenariusza. Była oszołomiona i zasmuconą tą wiadomością o jakiejś kobiecie w życiu Jana Górskiego, ale jednocześnie pobudzona tym, co przed chwilą się między nimi wydarzyło.

„To się nie może tak skończyć”, pomyślała, gdy wreszcie nad ranem udało jej się zasnąć. Trochę znała mężczyzn, ich potrzeby. I wiedziała, że jeśli odpowiednio zaplecie się sieć, to w nią wpadną.

Postanowiła, że zrobi wszystko, by mieć Jana Górskiego przy swoim boku. By ją pokochał tak, jak ona jego.

Rozdział dwudziesty czwarty



Kiedyś na wszystko się czekało. Przychodziła pora i wtedy dopiero – ach! radość. Wcześniej jednak trwał ten stan oczekiwania – trochę się dłużyło, było sporo niecierpliwości, ale przede wszystkim – dużo emocji. Teraz wszystko powszedniało, bladło. Jasne, że nie była dzieckiem, ale nawet dorośli bardziej by przeżywali święta, gdyby nie mieli ich od początku listopada, to znaczy od czasu, gdy z półek sklepowych znikną znicze. Na ich miejscu od razu pojawiały się mikołaje i anioły. Wyjątkowość wyklucza łatwy dostęp i powszechność. Handel zobrzydzał Ance święta. Z tego też powodu unikała galerii handlowych, pasaży, targowisk – wszystkich miejsc, gdzie można było wstawić plastikowe błyszczące choinki i puszczać bez opamiętania *Last Christmas*.

Od kilku dobrych lat jeździła na Boże Narodzenie z rodzicami do Suwałk. Wcześniej świętowali na zmianę, raz u nich, raz u dziadków. Kiedy jednak starsi państwo zrobili się bardzo starsi, kierunek świątecznych wypraw ustalił się tylko w jednym kierunku – na wschód. W Wigilię rano tata przywoził z lasu choinkę – znajomy dziadka był leśniczym i darowywał im drzewko. Razem je ubierali, a potem, także wspólnie, szykowali wieczerzę – to znaczy

nakrywali stół, rozkładali zastawę, bo jedzenie od dawna było przygotowane przez babcię. Prezenty, które kładli pod choinką, były symboliczne, miały świadczyć o pamięci, odruchu serca. Wszystko odbywało się spokojnie, niespiesznie, bez stresu. Anka nie rozumiała, jak święta mogą stresować. Koleżanki, które pozakładały rodziny, opowiadały o nielubianych teściowych, kłótniach, z którymi rodzicami w tym roku będą się dzielić opłatkiem, szaleństwie zakupów, zwłaszcza w przypadku prezentów dla dzieci. Zamiast spokoju była nerwówka.

W atmosferę takich świąt wprowadzała ją też Kaśka. Od kilku lat Anka dzwoniła do przyjaciółki na początku grudnia z pytaniem, co jej dzieci pragnęłyby dostać pod choinkę. Kaśka wtedy zawsze ciężko wzdychała:

– Nie wiem. One wszystko mają. I wcale ich to nie cieszy.

W tym roku było podobnie.

– No to o co Olek i Zuzia poprosili Mikołaja? – Anka jak zawsze szukała inspiracji u matki.

Westchnienie. I jeszcze jedno westchnienie.

– Nic nie wymyślę. Mają to, czego chcieli i czego nie chcieli, i nawet to, o istnieniu czego nie mieli pojęcia. I nic ich nie cieszy. To znaczy przez chwilę, a potem – sru, do kąta. Babcia sładzi im życie aż do mdłości. W tym roku też tak będzie.

Babcia, czyli teściowa Kaśki. Wdowa, matka jedynaka, czyli męża Kaśki. To ją Kaśka stawiała za antywzór i rozciągała jej zachowanie na inne kobiety, które wydawały jej się do niej podobne, na przykład babcia Marcina.

– Słuchaj, a ty nie możesz poprosić...

To zdanie również się pojawiało co roku. I co roku przyjaciółka odpowiadała podobnie. W tym roku była wyjątkowo mocno poirytowana:

– Nie mogę. Już prosiłam setki razy. Ona nie rozumie, obraża się i płacze. Piotrek mówi, żeby dać spokój, bo wnuki są dla niej całym światem. I że ona chce dobrze. Uch. Dobrze chęci tłumaczą wszystko. Tyle tylko, że potem ja się muszę borykać z konsekwencjami. Dzieci mi się rozwydrzają. Pamiętam, że kiedy sama byłam mała, to się cieszyłam z drobiazgów, a oni są zobojeźniali na wszystko. Rzucają się na chwilę, porozrywają opakowania, potrzymają w tłustych łapkach i tyle tego.

Anka co roku coś jednak wymyślała, co przez odmienność od babcinych

prezentów choć na chwilę interesowało parkę jej przyjaciółki – a to rękodzieło, a to bilety do kina, a to audiobooki. W tym roku postawiła na książki.

– O, bardzo dobrze. Książek to akurat im babcia nie kupuje... A jak u ciebie święta w tym roku? W nowej konfiguracji?

No właśnie. Teraz westchnęła Anka. Myśleli nad tym z Marcinem i nic odkrywczego nie wymyślili. Dziadkom z Suwałk trudno by się było zabrać do Warszawy, trzeba by po nich jechać. I ona, i rodzice mieli nieduże mieszkania, byłby problem z noclegiem. Więc, jak co roku, jechali do nich. Marcin zaś nie mógł i nie chciał zostawić dziadków samych.

– Tradycyjnie. Prawie. Suwałki wciąż aktualne. Ja mam mini-Wigilię z Marcinem dwudziestego trzeciego. Dwudziestego czwartego rano jedziemy do dziadków. Rodzice zostają u nich do Nowego Roku, ja wracam dwudziestego siódmego i będziemy z Marcinem razem. Na sylwestra idziemy na bal. W stylu lat dwudziestych. I mamy mieć stroje z epoki. – Anka aż się uśmiechnęła na myśl o tym. Sam bal aż tak jej nie rajcował, ale temat przewodni – bardzo.

– O, no proszę. Fajnie ci. – Kaśka się ucieszyła, ale jakoś na smutno.

– Przecież też możesz iść. Babcia chętnie popilnuje dzieciaków. Lub twoi rodzice.

– Mogę, ale mi się nie chce. Nie mam siły, mówię ci. Jak pomyślę, ile czasu musiałabym spędzić na przygotowaniach: kosmetyczka, fryzjer, ciuch, a potem się tłuc przez miasto, a później nie móc zamówić taksówki z powrotem, to już wolę się wyspać. Pożyjesz, dzieci urodzisz, zrozumiesz. Nie zniechęcam cię, skąd, raczej informuję.

– Uuu, słyszę, że nastrój ci siada. Na pewno wszystko w porządku? Wiesz, trzeba się obserwować, żeby nie przegapić momentu, kiedy to już nie smutek, a coś poważniejszego, na przykład depresja.

– Nie, nie mam depresji. Zmęczenie i marudzenie tylko mam. Przecież wiem, że w sumie jest okej, mam dobre życie. No i się wychodziłam na bale, imprezy, disco. Swoje przeżyłam, teraz nastał inny czas.

Anka się uśmiechnęła. Konkretna, racjonalna Kaśka.

– A tak w ogóle to co słyhać? – zapytała ją przyjaciółka.

– Dobrze. Wszystko w porządku. Nadal jest super, jeśli chodzi o szaleństwo

zakochania, to znaczy...

– Dobrze posłuchać. Właśnie próbuję sobie przypomnieć, kiedy my z Piotrkim ostatnio... Chyba miesiąc temu. A nie, bo gdy tylko zaczęliśmy, Olek się rozplakał, więc go wzięłam do nas, a wtedy zwymiotował, bo to był początek wirusa... Tak, no to poopowiadaj, przypominam sobie.

Anka parsknęła. Kaśka nie mówiła tego serio.

– No, tę uwagę weteranki także zapamiętaj i sobie pobrykaj na zapas. A sprawy poza seksem?

– Też dobrze. Właściwie to coraz lepiej. Poznajemy się z Marcinem. Coraz więcej o sobie wiemy. Opowiadamy sobie o przeszłości...

– A o przyszłości? – Kaśka była bardziej zainteresowana tym, co nadejdzie, niż tym, co minęło. Pod tym względem różniła się od Anki, która lubiła wspomnienia i stare fotografie.

– Też. Ale bez konkretności w postaci ślubu, jeśli o to pytasz.

– Ha, przejrzałaś mnie! – Kaśka się roześmiała. – Święta to taki tradycyjny czas zaręczyn albo ślubów. Biały krajobraz, gwiazdki na granatowym niebie, romantyzm...

– Ostatnie lata były bez śniegu – zauważyła przytomnie Anka. – Rozmokła trawa. A na niej psie kupy.

– Fakt. To brzydkie oblicze Warszawy. No dobra, to zaręczyn nie, ale czy to idzie w tę stronę? To już pół roku w końcu.

– Wy z Piotrkim byliście razem kilka lat, zanim wzięliście ślub – przypomniała jej Anka.

– Bo byliśmy na studiach. Inaczej to wtedy wyglądało. Ale Piotrek oświadczył mi się chyba po roku.

– No to mam jeszcze pół.

– Ale to było piętnaście lat temu! Miałam, mieliśmy przed sobą morze czasu. Dla was wskazówki zegara poruszają się w innym tempie. Szybciej. Zasuważą jak wyścigówka.

– Pożyjemy, zobaczymy. Jakby co, dowiesz się pierwsza.

„Właściwie...”, zastanowiła się Anka, odkładając telefon. Czy powiedziałyby „tak”, gdyby Marcin się jej oświadczył? Czy oprócz tego, że

była w nim zakochana, to była gotowa spędzić z nim całe życie?

„Tak”, odpowiedziała sama sobie.

* * *

Na parapecie stała malutka choinka. Anka nie powiesiła na niej nawet bombek, bo nie udało się jej kupić tak małych. Oplotła ją tylko włosiem anielskim, a na czubku przyczepiła własnoręcznie zrobioną gwiazdę, właściwie – gwiazdeczkę.

Dziś byli z Marcinem u niej. Jutro wcześniej rano ruszała do Suwałk. Rodzice mieli po nią przyjechać. Marcin, kiedy się wyśpi, miał wrócić do siebie, a potem do przestronnego mieszkania dziadków.

– Bardzo oryginalna wigilia. – Marcin uśmiechnął się nie widok niedużego stołu w kuchni, który Anka przykryła obrusem w kratę i na którym ustawiła sushi, tortellini, szarlotkę i sałatkę jarzynową.

– Jest mniej więcej tradycyjnie – stwierdziła. – Ryba, pierogi, jarzyny i ciasto.

– Mnie więcej – zgodził się pogodnie Marcin. – Zjem wszystko, bo muszę trenować przed jutrem. Buba to twarda zawodniczka. Jest nas troje, a ona gotuje jak dla pułku wojska.

– I nic się nie marnuje?

– Dziadek lubi jej kuchnię, zresztą trudno nie lubić.

To nie podlegało najmniejszej dyskusji. Babcia Marcina była świetną kucharką.

– Ale jest szczupły ten twój dziadek. Jak mu się to udaje?

– Takie geny. Dużo się rusza, to znaczy spaceruje. Lubi się przejść rano, przed śniadaniem, przed obiadem i nawet po kolacji. Podobno zawsze tak dużo chodził.

– A babcia? – zapytała Anka, raczej dla porządku, bo Buba nie miała sportowej sylwetki.

– Jeśli musi, to idzie, ale potrzebny jest konkret, sprawa do załatwienia. Jest typem kanapowca. Zresztą widać to po niej.

Fakt. Wiele rzeczy było widać po dziadkach Marcina – razem i oddzielnie. Pojedynczo nie pasowali do siebie. Gdyby byli w dwóch grupach, podzielonych według płci, Anka nigdy by ich nie połączyła w parę. Kiedy jednak byli razem, widać było między nim więź. Ale może tak jest po tylu latach...? Ance przypomniał się artykuł o tym, jak właściciele psów upodobniają się do swoich pupili. Trochę żartem, a trochę serio. Skoro czworonóg wpływał na człowieka, to co dopiero druga połówka. U jej dziadków też tak było. Na najstarszych, powojennych zdjęciach babcia była taka jakby osobna, oryginalna, a dziadek – chłopak z Mazowsza. Ich również by Anka nie połączyła. A po latach – jak jedność.

– Idę się wykapać. Chciałabym się wyspać przed jutrzejszą pobudką, a nie wiem, kiedy sen się zacznie. – Anka nachyliła się nad Marcinem i pocałowała go w usta. Pachniał winem i szarlotką. Kuszące połączenie.

– Przewiduję dość długą przerwę między łazienką a chrapaniem. – Marcin przyciągnął ją do siebie, tak że usiadła mu na kolanach.

– Chrapiesz to ty. No dobra, to tym bardziej idę do łazienki, bo wciąż jesteśmy na etapie kuchni.

– Już, Aniu. Jeszcze tylko jedna rzecz. – Zmienił ton na łagodny. – Poczekaj chwilę. – Delikatnie zsunął ją z kolan i poszedł do przedpokoju. Po chwili wrócił. Obie ręce miał z tyłu, więc nie widziała, co w nich trzyma. – Zamknij oczy – poprosił.

Zamknęła. Och, jak on lubił te erotyczne gierki. Ostatnio przewiązał jej oczy jedwabną apaszką, piękną, swoją drogą. Inne wydarzenia tamtego wieczoru też były warte wspomnienia...

– Wyciągnij ręce przed siebie.

Matko, chyba nie chce jej założyć kajdanek... To jej jakoś nie pasowało do atmosfery Wigilii, nawet jeśli była mini-Wigilią. Wyciągnęła jednak ręce.

– Ale otwartymi dłońmi do góry.

Poczuła, że coś jej wkłada w dłonie. Jakieś pudełeczko. Małe, powleczone miękkim materiałem.

– Otwórz.

Podniosła powieki i zobaczyła zielone biżuteryjne opakowanie. Skojarzyło się jej jednoznacznie. Rany, czyżby on się jej oświadczał? Tu, w kuchni, nad pustymi talerzami i pełnym zlewem, zupełnie nieoczekiwanie? To było nie

w jego stylu, spodziewałaby się eleganckiej oprawy, odpowiedniej do takiej chwili. Ale czy to takie ważne? Dla niej – nie. Więc...

– No otwórz, Aniu, nie bój się. To drobiazg, ale mam nadzieję, że ci się spodoba.

Czyli nie pierścionek. Anka nie wiedziała, czy czuje teraz rozczarowanie, czy raczej ulgę. Inaczej sobie wyobrażała moment zaręczyn. Nie chodziło o to, że lubiła przepych, bo nie miała ani takich przyzwyczajęń, ani aspiracji, ale to by znaczyło, że nie zna Marcina tak dobrze, jak jej się wydawało. Ale jednak była gotowa na oświadczyńy, na to, by je przyjąć. Gdyby nie rozmowa z Kašką, wcale by o tym nie myślała, a tak – furka została otwarta.

Podniosła wieczko pudełka. W środku były kolczyki. Piękne, stare kolczyki z perłami. Złote ślimaki-plecionki, ażurowe, delikatne, których środki wypełniały błyszczące kremowe kule. Były cudowne – misternie wykonane, delikatne.

– Śliczne – powiedziała. – I chyba niewspółczesne. – Przyjrzała im się bliżej. Tak, to nie był taśmowy wyrób.

– Widać oko fachowca. Przedwojenne, ręczna robota. Przymierz.

Anka zdjęła swoje złote kółka. Podeszła do lustra w przedpokoju. Spięła włosy w kok, wsunęła w uszy perły. W ciepłym, słabym świetle lampy, w sukience w kwiaty ona również wyglądała przedwojenne. Bardzo ładnie. Uśmiechnęła się do swojego odbicia.

– Jak dla ciebie zrobione. – Marcin także był zachwycony.

– Są naprawdę piękne. – Anka dotknęła delikatnie ucha. – Będą idealne na bal sylwestrowy. Mam już sukienkę, czarną, taką w kształcie litery H, z frędzelkami na dole...

– Też tak pomyślałem. – Marcin był z siebie dumny i nie krył tego. – Teraz jeszcze bardziej widać, że masz oryginalną urodę. Dziadek miał rację.

– Widział je? Podobały mu się?

– Widział. Właściwie to prezent od niego.

– Jak to: od niego? – Anka się zdumiała. Dlaczego dziadek Marcina miałby się zajmować kupowaniem jej prezentu? Przecież aż tak zapracowany to Marcin nie był.

– To pamiątka rodzinna – wyjaśnił Marcin.

– Dziadek mówił, że nie mają pamiątek, bo wszystko się zgubiło, zniszczyło podczas wojny. – Anna pamiętała tamtą rozmowę.

– Generalnie tak, ale jakieś drobiazgi się zachowały. To jeden z nich.

– A do kogo należały? Co jeszcze się przechowało? – Anka nie była wścibska. Była za to romantyczką i lubiła znać pochodzenie i losy starych przedmiotów.

– Panna ciekawska. Przyjdzie czas, to ci pokażę. – Marcin objął ją z tyłu i zaczął kołysać w ramionach. – Naprawdę jesteś piękna. I pięknie wyglądasz. Powiem dziadkowi, że to był strzał w dziesiątkę, ucieszy się.

– Podziękuj mu ode mnie. Zresztą sama też bym mu chciała podziękować. Następnym razem, kiedy będziemy na Narbutta, zrobię to osobiście. Założę te kolczyki, dygnę i powiem, że sprawił mi wielką radość. A, posłuchaj. – Nagle nad czymś się zastanowiła. – Rozumiem, że pamiątka, ale dlaczego dziadek nie podarował ich babci lub twojej mamie?

– Nie wiem. To znaczy powiedział, że babcia nie znosi pereł. Uważa, że przynoszą pecha. Babcia ma swoje uprzedzenia. – Marcin rozłożył ręce. – A mama... nie pytałem, ale wtedy nie było mody na perły.

– Pecha? – Anka podeszła bliżej lustra. – Nie, to jakiś ludowy przesąd. Perły to symbol Afrodyty, bogini piękna.

– Absolutne dopasowanie. Je jedyne zostaw na sobie dziś wieczorem.

* * *

Kiedy Anka wstawała rano, Marcin jeszcze spał. Wczoraj nie dała mu prezentu, chciała, żeby miał niespodziankę, kiedy jej już nie będzie. Teraz, już w kozakach i płaszczu, podeszła do łóżka. Na szafce nocnej położyła pakunek w ozdobnym papierze w gwiazdki. „Ciekawe, czy mu się spodoba?”, pomyślała. Kupiła mu książkę Olgi Tokarczuk *Bieguni*. Czytała ją wcześniej i była nią zauroczona. I tymi podróżami wewnętrznymi, i tymi zewnętrznymi. W głąb siebie i po świecie, od narodzin do śmierci. Miała nadzieję, że Marcina też wciągnie. Do książki dołożyła szalik. Moherowy, zrobiony na drutach. Sama nie umiała dziergać, więc poprosiła babcię. Wyszedł piękny – puszysty, leki, ciepły, w kolorze dojrzałego wina. W ten sposób oboje, choć zupełnie nieświadomi tego krzyżowego powiązania, włączyli swoich

dziadków w szykowanie prezentów. Wzięła to za dobry znak dla ich przyszłości. Nachyliła się, pocałowała Marcina w czoło i cicho zamknęła za sobą drzwi.

Rozdział dwudziesty piąty



Styczeń 1942 roku

– Jesteś pewna? – zapytała Maria dla porządku, bo mina Sary mówiła wszystko.

Sara kilka razy kiwnęła głową, a potem została w takiej pozie – lekko pochylona nad posadzką, na którą zaczęły kapać łzy.

Maria westchnęła. To było przykre, nawet bardzo, w końcu to jej ojciec, ale czy można było oczekiwać innego przebiegu wypadków?

Mans Flinkier został zabrany razem ze stu pięćdziesięcioma innymi Żydami do Kosowa Lackiego. Mieli tam podobno budować jakiś obóz pracy. Dlaczego tam, jakby nie mogli tu pracować?

– Może nie będzie tak źle. – Dotknęła chudego ramienia Sary. – Przetrwał tę epidemię, wcześniejsze wywózki, to może i teraz... jakoś...

– Dawid był młodszy, silniejszy i umarł.

– Ale to nie znaczy, że teraz też tak będzie. – Marii samej było trudno uwierzyć w te słowa, więc nic dziwnego, że Sara także nie potrafiła znaleźć w nich otuchy. – Tylko nie mów nic Rebecce – przeszła więc na bezpieczniejszy temat. Tu akurat była przekonana, że należy małą trzymać z daleka od takich wieści. Dziewczynka nadzwyczaj dobrze się odnalazła w nowej rzeczywistości. Miała koleżanki, miała Sarę, Maria też ją odwiedzała. Polubiła ją. Nie miała siostry, a bracia to co innego. Choć Rebeka była na tyle mała, że właściwie bliżej by jej było do córki Marii. Maria myślała ostatnio, że chciałaby mieć dzieci. Przychodzi taki czas w życiu kobiety, że to pragnienie się pojawia. Trochę nie w porę, wzięwszy pod uwagę ten niefortunny spacer w lesie z Janem Górskim, choć teraz inaczej myślała o tym, co się wtedy wydarzyło. Owszem, przepłakała kilka nocy, ale jednocześnie postanowiła dyskretnie go obserwować i dowiedzieć się, kto jest jej rywalką. „To nie może być takie ostateczne”, myślała. Przecież gdyby było, toby się tak nie krył z tą miłością. To zresztą musi być ktoś z zakładu, bo jego życie tu się dzieje, na nic poza zakładem nie ma sposobności, zresztą obserwuje go u Ziębinkich. A jeśli w Zofiówce, to coś by zauważyła. Przyglądała się doktorowi – owszem, był czuły, cierpliwy – dla pacjentek, dla innych lekarek i pielęgniarek, dla niej, dla Sary, dla Rebeki. Ale nie było nic takiego, co by wskazywało na pełnokrwistą relację. Zresztą – gdzieżby tu? Jak? A bez tego nic się nie utrzyma. Więc nie wszystko jeszcze przesądzone, a dodatkowo – może z powodu jakichś wyrzutów sumienia za tę scenę, a może z innego – Jan Górski był dla Marii sympatyczniejszy niż wcześniej. Tak, nadzieja była żywa. Działała też pewnie zasada, która mówi, że im trudniej nam coś zdobyć, tym bardziej tego chcemy i tym mocniej o to zabiegamy. Maria była zdeterminowana, by walczyć o tę miłość.

– Może pójdziesz odpocząć do siebie? – zaproponowała Sarze. – Może uda ci się zasnąć? A może jakąś tabletkę chcesz?

Sara pokręciła głową.

– Nie, dziękuję. Nie mogę długo leżeć, jestem potrzebna. Pół godziny wytchnienia i wrócę do pracy.

– Mądra dziewczynka. – Maria pogłaskała ją po głowie. – To ja teraz zajrzę do Rebeki, a ty postaraj się nie zamartwiać.

– Dziękuję, Mario, jesteś dla mnie naprawdę dobra.

Maria się uśmiechnęła. Fakt, była dobra i to było podwójnie miłe – raz, że takie chrześcijańskie, a dwa – że jej samej było od tej myśli lepiej.

* * *

Sara poszła do siebie, czyli malutkiego pokoiku, klitki właściwie, przerobionej z dawnego magazynku na prześcieradła. Mieściły się tu tylko wąskie łóżko i mała szafka, a źródłem światła było nieduże okno, wysoko na ścianie, przez które nie dało się obserwować świata na zewnątrz.

Już prawie doszła do tego swojego azylu, gdy zobaczyła Jana. Schodził z piętra, z jakimiś papierami w dłoni. Spostrzegł ją i podszedł.

– Co się stało? – Od razu zauważył, choć ona nic jeszcze nie zdążyła powiedzieć.

– Ojciec... – wyszeptała. – Znowu poczuła łyzy pod powiekami. – Ojciec...

Rozejrzała się. Była pora obiadowa, korytarz się wyludnił, oni zresztą stali na jego końcu, za załomem. Mimo wszystko nie czuła się tu bezpiecznie, nie chciałyby tak publicznie szlochać i obnażać duszy.

– Chodźmy. – Wyciągnęła z kieszeni klucz i przekręciła go w zamku.

Gdy tylko weszli, od razu się rozpląkała.

– Ojca zabrali na roboty, będą budować jakiś obóz. To się skończy tak samo jak z Dawidem. Nikt nie wraca z takich prac. To śmierć na raty.

Jan nie zaprzeczył, nie potrafił dać jej złudnej nadziei, której zresztą sam nie miał. Nie potrafił zacczarować faktów. Potrafił jednak pocieszyć Sarę.

Przytulił ją, mocno objął ramionami. Tkwili tak przez dłuższą chwilę. Potem lekko się od niej odsunął i delikatnie starł palcami łyzy z jej twarzy. Pogłaskał ją po głowie, nachylił się i pocałował ją w czoło.

– Moja obecność to jedyne, co mogę ci dać – powiedział.

I znowu się ku niej nachylił. Tym razem przejechał pocałunkami od czoła przez skroń, policzek po kącik ust, aż wreszcie dotknął jej warg.

Sara najpierw stała bez ruchu, jakby ukojona tymi delikatnymi czułościami. Pozwalała się tulić, pozwalala scałowywać łyzy. Ale gdy ich usta się spotkały...

Poczuła, że dzięki temu wciąż jeszcze jest przy życiu. Że ta odwieczna siła, która łączy mężczyznę i kobietę, jakby byli przeciwnymi magnesami, to jest

właśnie to, co ją każdego dnia ratuje. I że teraz, po kolejnej druzgocącej wiadomości i przed wielką niewiadomą, jest moment, żeby z tej siły czerpać. Żeby dać się jej porwać – w ekscytujące nieznanne, w wir biologicznego magnetyzmu.

Zaczęli się całować. Straceńczo, szalenie, namiętnie. Sara ściągnęła z siebie fartuch, koszulę i spódnicę. Jan też się rozebrał.

Jeszcze kilka tygodni temu nigdy by tego nie zrobiła. Nie przekroczyłaby tej granicy, o której zawsze myślała, że tylko ślub daje prawo znalezienia się po jej drugiej stronie. Wtedy jednak jeszcze się łudziła, że obowiązują jakieś zasady, że warto się ich trzymać, by świat się nie rozpadł. Zasady jednak nie obowiązywały, świat pękał i się kruszył. A jeśli tak, to nie wiadomo, czy będzie jutro. Wszystko, co może jeszcze mieć, musi mieć teraz, tu. Bo inaczej być może nigdy tego nie doświadczy. Teraz musi się kochać z Janem – tak jakby to był pierwszy i ostatni raz.

Stali naprzeciwko siebie – bez wstydu, bez wahań, z gotowością na siebie i na miłość.

A potem padli na łóżko i na jakiś czas wyłączyli rzeczywistość. Całkowicie się w sobie zatracili.

* * *

Maria wracała od Rebeki. Naprawdę ją polubiła, mała była miła i rezolutna. I taka nieświadoma tego, co dokoła. Wiedziała, co się dzieje, ale czy w pełni to rozumiała?

Postanowiła przed powrotem na oddział zajrzeć do Sary. „Znowu, biedna, dostała w kość”, westchnęła. Jeśli śpi, to nie będzie jej budzić, powie, że przyjaciółka źle się poczuła – w taki czas to nic dziwnego.

Gdy była w połowie korytarza, zobaczyła charakterystyczną sylwetkę doktora Górskiego. Zmierzał w stronę drugiego wyjścia z budynku, a wyszedł zza rogu, gdzie był ślepy zaułek i tylko pokoik Sary. „Więc już wie”, nuta rozczarowania, że nie ma powodu, by znowu dłużej i szczerzej z nim porozmawiać, zanurzyć się we wspólnym współczuciu dla Sary.

Drzwi trzasnęły, Maria była już blisko tymczasowego lokum Sary. Najpierw miała zapukać, ale po chwili zastanowienia doszła do wniosku, że

jeśli Sara śpi, to niepotrzebnie ją obudzi. Delikatnie więc nacisnęła klamkę.

Sara nie spała. Stała tyłem do wejścia i zapinała haftki biustonosza. Nie usłyszała Marii.

Ona zaś, mimo że drżącą ręką, delikatnie zamknęła drzwi i się wycofała.

Zastygła na korytarzu z walącym sercem. Nie, to niemożliwe. To po prostu niemożliwe. Ale przecież widziała to, co widziała.

Lubić, pomagać, litować się, wspierać – toby Jan mógł wobec Sary. To było naturalne, sama przecież miała wobec niej takie uczucia. Ale miłość? Oświadczyń? Namiętność w pościeli?

Nieprawdopodobne, a właśnie się działo.

Maria nigdy nie była w takiej sytuacji – żeby zupełnie nie wiedzieć, co myśleć, co czuć. A potem, żeby nią miotało, od ściany do ściany.

Sara była jej bliska, naprawdę ją polubiła. Mała, dobra, niewinna i pokrzywdzona przez los Sara.

Podstępna, zmyślna Sara, która okręciła sobie doktora Górskiego wokół małego paluszka.

Sara – niewinna i krucha, czysta jak łza. Święta Sara.

Sara – kochanica Jana Górskiego. Ta, dla której zamknął się na inne kobiety. Ta, która tarza się z nim po łóżku.

Sara – Żydówka, której oboje pomagają.

Sara – Żydówka, która bez pomocy nie przetrwa wojny.

Sara – przyjaciółka.

Sara – konkurentka.

Sara – którą można ocalić lub którą można zgubić.

Rozdział dwudziesty szósty



– No, to powiesz wreszcie, co to za okazja?

Anka z przyjemnością rozglądała się po wnętrzu restauracji. Była piękna. W okazałej kamienicy na Mokotowie, blisko Morskiego Oka. Gustownie urządzona, z imponującą liczbą kwiatów. Na zdjęciach widziała, że podobnie ukwiecony jest ogród. Teraz, zimą, nie było tego widać, ale wnętrze całkowicie jej to rekompensowało. Do tego miękkie wykładziny, pastelowe kolory, bezszelestni kelnerzy. I te zapachy! Zresztą nawet gdyby dania nie pachniały, to i tak by się nimi zachwycała – wyglądały jak małe dzieła sztuki: fikuśne rzeźby z warzyw, malarsko polane sosy, kolorowe sałaty, przybrania, dekory, omasty... Anka nie była łasuchem, nie była też spaczona przez bogactwo i w ogóle uważała, że w życiu dobry jest umiar, ale to miejsce robiło na niej wrażenie. Marcin zaprosił ją do Różanej, ale był tajemniczy. „Chciałbym z tobą świętować coś miłego”, powiedział tylko. Przypuszczała, że chodzi o awans. Niby mógł jeszcze chcieć wsunąć jej na palec pierścionek, ale raczej chodziło o to pierwsze, bo pamiętała, że właśnie teraz miały być w jego firmie ogłaszane wyniki tego projektu, a on od trzech dni puchł z dumy, udając jednak, że absolutnie nic się nie wydarzyło. Nie zdradziła się

z podejrzeniami, bo nie chciała psuć mu przyjemności zaskoczenia jej.

– Miałem ci to powiedzieć dopiero przy deserze, ale nie będę cię już dręczył. – Uśmiechnął się. – Nalewam wino do kieliszków. – Najpierw ciemnoczerwony płyn popłynął do jej szkła, potem do jego. – I wznoszę toast – za mój awans.

Tak jak myślała, czyli jednak już dobrze go znała. Ten facet był zachwycający – miał marzenia, a potem konsekwentnie je realizował. Spokojnie i wytrwale.

– Bardzo się cieszę! – Podniosła się z krzesła i lekko przechyliła przez stół. On też się nachylił ku niej. Pocałowali się. – Należało ci się. Tyle tygodni harówki.

– A wcześniej miesiący – westchnął. – Dużo mnie to kosztowało. Na początku to idzie całkiem łatwo, te pierwsze stopnie kariery bez problemu się przeskakuje. Ale potem – coraz wolniej. Mozół. No i stres.

– Teraz możesz odpocząć – Anka pogłaskała go po dłoni. – Zresztą mówiłeś, że na tym stanowisku to kilka lat pracy, zanim będziesz mógł liczyć na kolejny szczebel. O, właśnie, a jak Tomek? Chyba też zadowolony z sukcesu? Jakoś nie rozmawialiśmy o nim ostatnio, a ja się nawet zastanawiałam, jak sobie radzi z tym swoim problemem. Chyba dobrze, skoro nic nie mówiłeś? Teraz będzie miał szansę wyjść z finansowego dołka i stanąć na nogi.

Kelner przyniósł tacę z zupami. Dla niej krem z białych warzyw posypany płatkami migdałów, dla niego – cebulowa z rumianą grzanką przykrytą parmezanem.

Anka spróbowała zupy. Były rewelacyjna. Aksamitna, słodko-wytrawna, aromatyczna. Nieoczywiste i wybitnie dobrane smaki.

– Och! Jezu, to chyba lepsze niż seks! – Marcin też spróbował swojej zupy. – No dobra, seks zostawiam na podium, ale gotują tu pysznie, musisz przyznać.

– Bosko. Jednak też zostawiam seks na pierwszym miejscu. Chociaż... – Mrugnęła do niego okiem. – Nie, cofam. Jednak wybieram ciebie. No, to jak tam w zespole? Tomek pewnie też tak świętuje?

– Co do Tomka... – zaczął powoli Marcin. – No, chyba sobie radzi, w każdym razie nie prosił mnie ostatnio o pomoc finansową. Ale wiesz,

w przypadku uzależnionych to nigdy nie wiadomo. Dziś jest dobrze, jutro może być źle.

– Teraz chyba będzie czujniejszy. Ma dużo więcej do stracenia. To znaczy w sensie zawodowym. Rodzina jest najważniejsza, ale pieniądze, zwłaszcza w jego sytuacji, również mają znaczenie.

Marcin odłożył łyżkę na talerz. Spojrzał na Ankę.

– Właściwie to nie dopowiedziałem tego swojego awansu...

– To znaczy? – Nie mogła się oprzeć zupie. Gotowa była iść do kuchni po przepis. Choć pewnie był tam jakiś tajemniczy składnik, którego nie chcieliby jej zdradzić. – Jakiś bonus jeszcze? Matko, ty to jesteś w czepku urodzony.

– To w kontekście tego pytania o Tomka. Bo widzisz, ja właściwie przeskoczyłem o dwa oczka.

– Nie rozumiem. – Teraz i Anka odłożyła łyżkę. Popatrzyła pytająco na Marcina.

– Zostałem szefem sekcji. To znaczy kilku działów, nie tylko swojego.

– A Tomek? Przecież to jest, to znaczy to miało być jego miejsce. Ty wskakujesz na jego miejsce, on – no właśnie do tej sekcji.

Marcin chrząknął i się uśmiechnął.

– Ale wyszło inaczej. Ja awansowałem o dwie pozycje, Tomek został na swoim miejscu.

– Czyli teraz jest twoim podwładnym?

– Tak.

– Rany. No, to w sumie bardzo dobra wiadomość. – Anka znowu się poderwała z krzesła i przytuliła Marcina. – Tym bardziej ci gratuluję. Cholera, no, to jest coś! A dlaczego Tomkowi nie wyszło? – zapytała, gdy ochłonęła. Trochę nieswojo się poczuła z tą euforią, ale to przecież niczyja wina – tak już w życiu jest, że ktoś wygrywa, ktoś przegrywa. A tu na dodatek wygrywał jej facet.

Marcin poprawił się na krześle.

– Zarząd ma obawy, czy w obecnej sytuacji Tomka powierzenie mu takiego odpowiedzialnego stanowiska, przez które przepływa mnóstwo decyzji o kolosalnym znaczeniu finansowym, byłoby dobrym posunięciem.

Anka pokiwała głową. O tym aspekcie jakoś nie pomyślała. Ale...

– A skąd zarząd wie? – zapytała. – Wydawało mi się, że tylko ty jesteś wtajemniczony...?

Przy stoliku pojawiło się dwóch kelnerów. Jeden zabrał talerze po zupach, drugi – postawił przed nimi dania na gorąco. Anka wybrała pierogi z serem kozim i szpinakiem, Marcin – żeberka w sosie miodowym. Znowu stały przed nimi kulinarne dzieła sztuki.

– Pamiętasz ten wyjazd na trening interpersonalny dla managementu przed trzema tygodniami?

Pamiętała. Zaraz po Nowym Roku i po tym fantastycznym sylwestrze, na którym bawiła się świetnie jak nigdy. Marcin okazał się doskonałym tancerzem, towarzystwo dopisało. Oprawa była fantastyczna, wszystko dopracowane w każdym calu, jakby się rzeczywiście przenieśli do międzywojnia. Nawet jedzenie było z epoki! Kadra zarządzająca i część zespołu pojechali gdzieś nad jezioro, do jakiejś głuszy i tam się szkolili. Marcin wrócił może i dokszałcony, ale sfilcowany – tak jej mama nazywała kaca.

Kiwnęła głową.

– Więc było sporo nauki, treningów. Ciągle razem, w różnych konfiguracjach, wciąż nowe zadania. Wydaje się, że to rozrywka, a to na poważnie, naprawdę angażuje i wysysa siły. No i jest dużo adrenaliny. Więc ostatniego dnia, już po wszystkich sesjach, na kolacji... Było za dużo wina. I podczas rozmowy z Günterem, naszym bossem z Niemiec, tym szefem wszystkich szefów, zeszło na temat Tomka. Günter coś chyba wiedział, może się domyślał, w każdym razie zapytał, czy u niego prywatnie wszystko okej. I tak jakoś...

– Powiedziałeś mu? – zdziwiła się Anka. Faceci nie plotkują. Zwłaszcza o takich sprawach, w których nie ma żadnej sensacji, tylko problem.

– Chyba tak. To znaczy tak. W sumie to tylko tyle, że miał kłopoty, ale że już okej. Zresztą, szczerze mówiąc, niespecjalnie pamiętam.

Anka przełknęła pierwszego pieroga. Był pyszny, ale na drugiego jakoś zabrakło jej ochoty.

– Tomek o tym wie? – zapytała. Zrobiło się jej nieswojo. Nie знаła faceta, ale z opowieści Marcina wynikało, że się pozbiierał i walczył o normalne

życie. I że był fajnym ojcem, zakochanym w córce. Jakoś żal.

– Nie, no skąd! – zaprzeczył gwałtownie Marcin. – I wolałbym żeby... żeby tak zostało.

– A może powinienes mu powiedzieć? On chyba jest zdziwiony takim obrotem sprawy? Może nawet się domyśla, bo skoro ty dostałeś to, czego on chciał...?

– Nie – odparł pewnie Marcin. – Pogratulował mi. On chyba myśli, że to przez ostatnie nieobecności, bo on był na terapii w ośrodku zamkniętym, wziął urlop bezpłatny. Trochę przez to zwolnił na ostatniej prostej.

– Aha. – Anka nie wiedziała, co jeszcze mogłaby powiedzieć. Z jednej strony cieszyła się sukcesem swojego chłopaka, z drugiej... Może naprawdę była nadwrażliwa, jak twierdziła Kaśka?

– To nauczka, żeby nie pić, kiedy jest się w towarzystwie szefa. – Marcin odkroił kawałek żeberka. – Doskonale. – Aż przymknął oczy. – A Tomek... Może to dobrze? Bo on jest dopiero na początku tej drogi zdrowienia. Nowe stanowisko to więcej stresu, a więcej stresu to chęć, by się odprężyć, a on się odpręża, grając.

Anka pokiwała głową. Może. Los dziwnie działa.

* * *

W nocy obudził ją ból brzucha. Chyba się przejadła, bo na deser Marcin zamówił jej gigantyczną bezę malinową, zapewniając że to perła w koronie tej restauracji. Za dużo tego dobrego. No i kolacja tak późno to nie był dobry pomysł. Poszła do łazienki, a potem zaparzyła sobie miętę. Wypiła ją przy otwartym oknie. Było zimno, ale miała wrażenie, że ten chłód jej pomoże. Wydawało jej się, że jej żołądek ma się lepiej, ale to były tylko pozory, bo gdy zasnęła, śniły się jej koszmary, jak to się zwykle dzieje, gdy ktoś cierpi na niestrawność. W tym niedobrym, męczącym śnie przyszedł do niej Tomek i powiedział, że wie o wszystkim. Wmawiał jej, że zdradzenie, że on jest hazardzistą, nie było przypadkowe i nie wynikało z tego, że Marcin był pijany, tylko z chęci, by wykorzystać sytuację dla swoich korzyści. „On mnie wydał, wiesz?”, mówił jej i potrząsał nią. Czemu on tak nią potrząsa, wciąż i wciąż...?

- Aniu, wszystko okej? – Zobaczyła nad sobą Marcina.
 - Tak, chyba tak – mruknęła, nagle wyrwana do jawy.
 - Bo tak jęczałaś przez sen.
 - Trochę źle się czuję.
 - Przyniosę ci wody z cytryną, poleż jeszcze. – Przykrył ją kołdrą i pogłaskał po głowie.
- „Głupie sny”, pomyślała. Wypiła tę wodę, przytuliła się do Marcina i zasnęła.

Rozdział dwudziesty siódmy



Kwiecień 1942 roku

– A mama nie mogłaby do mnie przyjść? – Rebeka siedziała na ławce przed budynkiem. Patrzyła na bawiące się dzieci i machała nogami.

– Nie może – odpowiedziała Maria.

– A dlaczego? – Rebeka spojrzała na nią z ufnością i sympatią.

– Bo takie są zasady.

Maria często ją odwiedzała. Niedawno odkryty związek Sary i Jana nie miał na to wpływu. A może właśnie miał? Tego też nie potrafiła poukładać sobie w głowie. Wciąż nią huśtało. Lubiła tę dziewczynkę – za jej pogodność, ciekawość świata – wbrew czasom, wbrew ludziom. Lubiła ją też za to, że Rebeka lubiła ją. Traktowała ją chyba jak zastępstwo matki. Poza tym dzięki Rebecce Maria była blisko Sary i Jana. Gdyby wtedy Sarę oskarżyła – choć o co? Że Jan się w niej zakochał? – straciłaby kontakt i z Rebeką, i z Janem, zostałyby od nich odcięta. Sama by została, bo z nikim w Zofiówce nie

zadzierzgnęła mocniejszej więzi. Mogłaby, co prawda, zapytać Sarę, czy jest z Janem, ale właściwie to nie chciała od żadnego z nich usłyszeć oficjalnego potwierdzenia. Woląca utrzymywać taki stan – niedopowiedzenia. Dzięki temu to wszystko nie wydawało się przesądzone i ostateczne.

Sary też nie udało się jej znieubić. Początkowo wydawało jej się, że może ją tylko nienawidzić. Miała takie złe myśli na jej temat! Że ją oszukała, że zawiodła, że niby cicha mysz, bojąca się, niewinna Żydówka, a tu – proszę, takie buty. Niestety, zanim się tak obsesyjnie zadurzyła w Janie Górskim, już była z Sarą blisko. No i racjonalna część Marii mówiła jej, że przecież uczucie Sary nie jest wbrew niej. Ona też się Sarze nie opowiadała ze swojego zauroczenia doktorem Górskim.

Czy niemówienie o Janie było oszustwem? Przecież się przyjaźniły. Maria przemilczała obóz w Tyszowcach, ale to po to, żeby Sary nie ranić. A dlaczego Sara jej nie powiedziała? Domyślała się uczuć Marii? Nie, bo się z nimi nie zdradziła.

– Zrobisz mi warkocz, ciociu? – Rebeka podała jej kokardę.

– Pewnie, odwróć się. – Maria wzięła do rąk jej włosy: ciemne, mocne, lśniące. Zaczęła dobierać pasma i je przeplatać – tak wyglądało życie ich czwórki.

Więc na razie Maria się miotła. Między lojalnością a pragnieniami. Między miłością a przyjaźnią. Między przyjaźnią a nienawiścią.

Niczego nie potrafiła wybrać, zresztą teraz nie musiała.

A jeśli trzeba będzie dokonać wyboru? Co zrobi?

* * *

– Codziennie zabierają kogoś z ulicy – Jankiel Feldman, który przywoził jedzenie do Zofiówki, rozmawiał z jedną z kucharek. – Jakie to wszystko solidnie zaplanowane: albo roboty, albo głód, a kiedy się tak ekonomicznie nie da, to poświęcą kulkę. Wszystkich nas wykończą.

Sara ścisnęła dłonie, aż knykcie jej zbieleły. Nie mogła tego słuchać. Nie mogła sobie wyobrazić matki – głodującej, cierpiącej, samotnej.

Dwa razy przekazywała jej przez Feldmana pieniądze. Owszem, brał za

fatygę, ale całkiem sporo zostawało. To znaczy tak jej się wydawało, ale jedzenie – to, które można było kupić w getcie, czyli nieoficjalnie, drożało z dnia na dzień. Raz Feldman dał matce paczkę żywnościową, ale potem odmawiał. „Ja też chcę żyć. Mam dzieci, rodzinę. Dzięki tej pracy to się udaje. Nie mogę ryzykować”.

Rozumiała to. W niej samej budziły się takie instynkty, o istnieniu których wcześniej nie wiedziała. Ona również chciała żyć. Jakie to dziwne, przecież zawsze żyła. Setki, tysiące ludzi żyło. I jakby nikt nie zdawał sobie z tego sprawy. Wszyscy traktowali, ona także, życie jak coś, co mieli i mieć będą, bez większego wysiłku. Nie doceniali go.

Jak to wszystko się zmieniło! Ona by nigdy o sobie nie pomyślała, że będzie tak dzielić serce i ciało z jakimś mężczyzną – i to nie-Żydem – bez ślubu! Że będzie się zatracać w mokrej pościeli i od razu po skończonym uniesieniu będzie chciała kolejnego. Że tak się odda drugiemu człowiekowi, że on się dla niej stanie odbiciem, dopełnieniem – nie wiedziała, jak to nazwać. Dzięki Janowi żyła. Nie tylko dzięki jego pomocy, trosce, obecności, lecz także dzięki temu, że on w niej obudził tę drapieżną, zwierzęcą wręcz wolę do życia, choć przecież sam był czuły i oddany.

Sara już wiedziała, czym jest miłość. Jest siłą, dzięki której się żyje.

Rozdział dwudziesty ósmy



Marta plasnęła kartkami w biurko.

– Teraz oprzytomniała. Wcześniej mówiła: „No to napisz klasycznie, że święto miłości, zakochanych, że tradycja obca, ale się u nas przyjęła, i w sumie fajnie, trochę o tym Walentym też napisz, dodaj kilka wypowiedzi, jak ludzie obchodzą czternasty lutego i już”. No i tak napisałam. Wszystko, co chciała. Miała tekst w mailu, miała wydrukowany. Od miesiąca! I co? – To pytanie zawisło nad Anką i Olą, które zdziwione patrzyły na Martę. Trudno ją było wyprowadzić z równowagi, zwykle była opanowana. Nawet Pirania nie miała nad nią takiej władzy. Aż do teraz.

– I to, że teraz, natychmiast, migusiem, już, chce poprawek. A druk jutro. – Marta sama sobie odpowiedziała, a potem zebrała rozrzucone po swoim biurku kartki i siepnęła nimi ponownie.

– No to zrób te poprawki... – Anka nie bardzo rozumiała, co ją tak wkurzyło. To nigdy nie było miłe, gdy Pirania wywracała im tekst do góry nogami, kiedy już się myślało, że jest gotowy i dobry, ale ona schowała dumę do kieszeni i słuchała uwag szefowej, które często były nawet całkiem

niegłupie. Pirania, mimo wielu wad, miała to, co się nazywa mądrością życiową, i do tego nosa do wyczuwania trendów, co razem zawodowo wywindowało ją wysoko. – Przecież dasz radę – masz jeszcze kilka godzin. Czego sobie zażyczyła?

– Ha! – Tym razem Marta już nie zbierała kartek, tylko rąbnęła ręką w stół. – I to jest w tym wszystkim najlepsze. – Otóż brakuje jej „dojrzałej miłości”. Tego, jak się kochają i zakochują „seniorzy, osoby starsze”. „To duża grupa społeczna, nie możemy tego pomijać”. Wcześniej jej nie przeszkadzało, wcześniej był kult młodości. – Marta wzięła zamach ręką, dziewczyny już się odruchowo skuliły, ale tym razem odpuściła, ręka zawisła w powietrzu.

– Czyli to prawda! – Tym razem emocje obudziły się w Oli. – Ona kogoś ma, zakochała się!

– Pirania? – zapytały równocześnie Marta i Anka.

Olka pokraśniała, widocznie zadowolona, że z całego pokoju tylko ona zna tego newsa.

– No. Mówiła mi Anita, ta z rozliczeń. Na stołówce, przy deserze. Że Pirania taka zadowolona ostatnio, że nie zostaje po godzinach, że jest miła i uśmiechnięta. I że za tym stoi facet. Podobno całkowicie spoza branży, właściciel jakiegoś pensjonatu na Warmii, gdzie Pirania była na sylwestra.

– Na pewno? – Marta była sceptyczna.

– Prawie na pewno, rozliczenia wszystko wiedzą. – Pokiwała głową Ola.

– Właściwie toby się zgadzało. Jechałam z nią wczoraj windą i była taka... może to głupio zabrzmieć, ale rozświetlona, jasna. Pogodna. Zagadała o coś. To do niej niepodobne, ale nie pomyślałabym, że mogła się zakochać – stwierdziła Anka. Ona też nigdy wcześniej nie myślała o miłości dojrzałych ludzi. To znaczy, oczywiście, dostrzegała taką miłość, na przykład u dziadków czy rodziców, ale to była miłość zastana, istniejąca od lat, po prostu przeniesiona z dawnych czasów. Tu jednak mowa o uczuciu, które się dopiero rodziło i przytrafiło tym, co nawet drugą młodość mają za sobą. Ale w sumie... Czy miłość zważa na metrykę? Czy serce się starzeje? To znaczy jako mięsień – tak, ale jako siedlisko uczuć? A czy mniej gibkie ciało nie chce być dotykane i tulone? Od kilku miesięcy Anka zadawała sobie różne pytania, które wcześniej nie przychodziły jej do głowy.

– Bo nie ma w kim? – Ola podsunęła odpowiedź na to niewypowiedziane pytanie.

– Bo ma sześć dych na karku? – Marta również dołożyła swoją cegielkę.

– Chyba jedno i drugie. W sumie drugie jeszcze głupsze od pierwszego, bo wiek nie ogranicza, a przypadki się zdarzają. – Co do wieku, to Anka nie miała doświadczeń, ale to nie znaczyło, że powinna mieć uprzedzenia, a co do przypadku, to jej się na przykład trafił. Jej związek z Marcinem po burzliwym początku, w takim pozytywnym sensie, gdy ludzie są tak siebie ciekawi i zachłanni, że mają wrażenie, że mogliby się wchłonąć, połknąć, w sobie zatracić, kiedy wydaje im się, że się unoszą kilkanaście centymetrów nad ziemią, kiedy nie mają dość SMS-ów, rozmów telefonicznych, spotkań, spacerów, wkroczył w fazę spokojniejszej, ale wciąż bardzo ekscytującej miłości. Miała wrażenie, że dobrze go już poznała. I że choć zdarzyło się kilka delikatnych zdziwień (nie nazywała ich rozczarowaniami, bo to by znaczyło, że miała oczekiwania, a wiadomo, że z oczekiwaniami to trzeba uważać), to mimo nich, a może właśnie dzięki temu, że potrafiła je zaakceptować, było im razem naprawdę dobrze.

– Nie przeczę, w teorii tak. Ale gdzie ja jej teraz znajdę seniorów? Tak superekspressem? Na jutro mam to dołożyć, numer idzie do druku. Kurde! – Marta znowu rąbnęła w stół, ale tym razem z wyraźnie inną energią – pozytywną. – Anka, przecież ty masz dziadków. I twój chłopak ma dziadków. Żyją, od lat są razem, niech ci opowiedzą, jak to było, jak się zakochali, w jaki sposób udało im się razem wytrwać, czy obchodzą walentynki i tak dalej.

– Ale tak szybko? Wiesz, moi są w Suwałkach... – Anka była jednak trochę oszołomiona. Ją też interesowały losy rodzinne, ale wiedziała, że babcia i dziadek są skryci, jeśli idzie o opowiadanie o uczuciach, a dziadkowie Marcina są jej jednak obcy. I w jednym, i w drugim przypadku myśl o takim „przesłuchaniu” trochę ją tremowała.

– Są telefony. Do drugich byś mogła wpaść. Na pewno się ucieszą. Babcia cię ugości, mówiłaś, że świetnie gotuje. No, dasz się namówić? Bo wiesz, ja mam czas do trzeciej, potem muszę to wstukać i o piątej iść... – Popatrzyła na Ankę błagalnie. To spojrzenie, fakt, że Marta była fajna i miała trudną sytuację w domu, sprawiły, że Anka kiwnęła głową. „A niech tam”, pomyślała, to może być interesujące. Na pewno będzie.

– A wiecie, kogo ja zapytam o zakochiwanie się w wieku senioralnym? – Marta powiodła wzrokiem po twarzach koleżanek. Widać było, że odzyskała humor i rezon.

- No? – Ola była ciekawa, ale nie zamierzała typować.
- Piranię! – obwieściła Marta triumfalnie.
- Oooo! – To była Ola.
- Aaaa! – To Anka.
- No! Zobaczmy, co z tego wyjdzie. Idę do niej do gabinetu. A ty, Aniu – Marta złożyła dłonie w błagalnym geście – działaj.

Anka westchnęła. I wybrała numer telefonu do Marcina.

Pół godziny później jechała metrem do jego dziadków. Była trochę stremowana, bo wybierała się na obce jednak terytorium bez wsparcia, to znaczy bez swojego chłopaka. Do tej pory była na Narbutta trzy razy. Trzy obiady, mimo wszystko dość oficjalne. Tematy raczej ogólne, a jeśli prywatne, to w takim akceptowanym zakresie: praca, plany na wakacje, przeczytane książki, studia. Nic, co by bardziej zahaczało o wnętrze. Tymczasem ona za chwilę będzie pytała o miłość. Niby reportersko, ale skoro była dziewczyną ich wnuka, to sprawa trochę się komplikowała. Tak to starsi państwo zamknęliby za sobą drzwi i już nigdy więcej nie oglądali dziennikarki, a tak...

Wyszła z metra. Było mroźno, ale słonecznie. Piękny dzień. Cienka warstwa śniegu lśniła w słońcu, fasada kamienicy błyszczała bielą. Zadzwoiła domofonem, otworzono jej bez pytania, więc pociągnęła ciężkie drewniane drzwi i weszła na klatkę.

– Herbata już się parzy. – Babcia Marcina była przygotowana na jej przyjście, bo na stole w salonie leżał nieskazitelny i pięknie odprasowany obrus, a na nim stał porcelanowy czajnik i filiżanki oraz patera z szarlotką i talerzyki deserowe. – Mogę też podać zupę. Pyszna pieczarkowa. Mąż uwielbia, inni również chwala.

Anka pomyślała, że zupa nie pasuje do opowieści o miłości, ale właściwie to była głodna, a jedzenie może ułatwi tę rozmowę – nie będzie tak oficjalnie.

– Chętnie, poproszę – powiedziała więc.

Dziadka Marcina nie było. Poszedł się przejść. Rzeczywiście, dużo spacerował, tak jak Marcin mówił. Miała nadzieję, że zdąży wrócić przed jej wyjściem. Dobrze by było mieć relację z dwóch stron.

– Proszę, smacznego. – Babcia Marcina postawiła przed nią talerz z dymiącą pieczarkową. Pachniała cudownie. Zabielona gęstą śmietaną,

z ciemnoszarymi kawałkami grzybów, posypana pietruszką. Anka musiała się pilnować, żeby się na nią łapczywie nie rzucić.

– Gorąca najlepsza. – Starsza pani ją zachęciła. – Niech pani je, a ja poopowiadam. Marcinek mi wszystko wytłumaczył. To do gazety, tak?

Anka kiwnęła głową, bo w ustach już miała pierwszą łyżkę pieczarkowej. Przepysznej.

– Mąż wróci pewnie za czterdzieści minut, ma taką stałą trasę. Ale właściwe to taki kobiecy temat. Zresztą sama pani zobaczy i oceni.

Anka pomyślała, że Buba zdążyła sobie już wszystko obmyślić i przygotować. Była naprawdę zorganizowaną kobietą. Przełknęła pieczarkę.

– Tak. To ja tylko podsumuję: czym jest dla pani miłość? Jak się ją znajduje i jak o nią dbać? Byłoby dobrze, gdyby to było mocno osadzone w pani życiu, doświadczeniach, bo czytelniczki to lubią, żeby mieć poczucie, że dostają historię prawdziwą, w której mogą się przejrzeć lub do której mogą tęsknić. Niby opowieść, a jednak prawda. – Anka weszła w oficjalne rejestry.

– Tak, tak. Marcinek też o tym powiedział. No to ja zacznę od tego, że kiedy byłam młodą dziewczyną, to byłam trochę trzpiotowata. Prawo młodości: bawić się, śmiać, po prostu cieszyć życiem. Miłość wydawała mi się właśnie tym – przyjemnością, ale taką nie do końca zdefiniowaną. To znaczy widziałam tu i teraz, ale co będzie dalej? Bo młodzi ludzie nie widzą dalej. Rok to dla nich wieczność, co dopiero całe życie. Męża poznałam przez znajomych. Od razu pomyślałam, że przystojny, taki męski. Miły też był, widać, że kulturalny, dobrze wychowany. Przyjemnie się z nim rozmawiało. Ale to nie był grom z jasnego nieba, jak to się mówi: „czyste szaleństwo”. Nie, to była miłość, która rosła z każdym dniem. Z obu stron. Dyskusje, spacer, poznawanie się. Coraz więcej emocji, coraz więcej uczucia. Aż do pełnej miłości. Bo mnie się wydaje, że o to chodzi w miłości – że to nie jest amok, chemia, to znaczy to też, przecież są w nas hormony, tylko uczucie, które chcemy dać drugiej osobie. On nam się podoba – jego wnętrze i jego ciało, on nas inspiruje, interesuje. Chcemy go mieć przy boku. To jakby odwrócenie kolejności. Bo można się zakochać od razu, poszaleć, a potem będzie, co będzie, a zwykle się wypala. Nie, ja uważam, że trzeba od drugiej strony, tak jak opowiedziałam. Poznajemy, utwierdzamy się, każdego dnia wybieramy, że będziemy kochać, i kochamy. A że samo wybranie osoby było takie świadome i pełne, to szansa na wiele lat razem duża. Nam się udało...

– Ale na początku musi być to coś, prawda?

– I jest! Tyle tylko że nie zawsze musi nam dać obuchem po głowie. Lepiej nawet, żeby nie dawało. Człowiek przytomny sprawniej myśli, a miłość potrzebuje i myślenia, nie tylko uniesień.

Może nie była to superromantyczna wersja miłości, ale takie to pewnie Marta już miała w swoim tekście. Tu natomiast bonusem był fakt, że ten wybór się sprawdził, bo trwał od lat.

Zgrzytnęły drzwi.

– O, mąż pewnie. – Buba wstała z krzesła. – Przepraszam, zapytam, czy chce już jeść. Miłość to też troska, w naszym wieku to już przede wszystkim. – Uśmiechnęła się przepaszająco i poszła do przedpokoju.

Anka usłyszała, że rozmawiają. Po chwili starsza pani wróciła.

– No i widzi pani, pani Aniu, jak to jest ze starymi – zgapiłam się, że nie mamy już bagietki, a Jan zawsze z bagietką je pieczarkową. Za rogiem jest piekarenka, obróć w dziesięć minut. I zaraz wracam.

Nim Anka zdążyła cokolwiek powiedzieć, już jej nie było.

– Dzień dobry! – W salonie pojawił się za to dziadek. – Miło panią widzieć.

Anka wstała i podeszła do niego. Miał czerwone od mrozu policzki i uśmiechnięte oczy. Podała mu rękę, on ją ujął i delikatnie nakrył swoją.

– Niech pani siada, zupa musi być ciepła.

No tak, widać nabrał przyzwyczajień od żony. Gorąca zupa na pierwszym miejscu.

– Przyszłam zapytać o miłość. Z okazji walentynek – powiedziała Anka, posłusznie zajmując swoje miejsce.

– Marcinek mi mówił, bo to ja odebrałem telefon. Potem jeszcze tłumaczył Bubi, i ona już pewnie opowiedziała pani o nas. – Odsunął krzesło i usiadł naprzeciwko niej.

Anka wyobraziła sobie, jak Buba przejmuje słuchawkę od męża, wiedzona ciekawością, a potem przepytuje wnuka. Starsza pani była niereformowalna, musiała nad wszystkim mieć kontrolę, lecz póki to nie wpływało na życie Anki...

– Tak, chyba tak. Ale chciałabym, żeby i pan coś powiedział. Rzetelna dziennikarka wysłuchuje obu stron i porównuje wersje. – Anka się uśmiechnęła znad talerza. Warsztat pracy to jedno, a zwykła ciekawość –

drugie. Chciała usłyszeć, jak dziadek Marcina mówi o miłości. Punkt widzenia mężczyzny w tej kwestii zwykle mocno się różnił od kobiecego.

– Och, dziecko, pytać człowieka w moim wieku o miłość? Kogóż to zainteresuje?

– Czytelniczki! Zwłaszcza że państwu się udało, tyle lat spędzonych razem. To jak gotowa recepta na sukces!

– Może i tak, może i tak... O miłości trudno się opowiada, człowiek sam jej czasem nie rozumie, a nawet jeśli rozumie, to mu brakuje słów. Choć w tym wieku miłość daje się rozłożyć na czynniki pierwsze. To przywiązanie, szacunek, troska, wspólne przyzwyczajenia. Zdobyte razem doświadczenia, przeżyte chwile. Wiele nitek, które się razem splotły.

– Ładnie powiedziane. – Anka pomyślała, że jak na kogoś, kto robi zastrzeżenia, że nie umie opowiadać o miłości, dziadek Marcina robi to nadzwyczaj zgrabnie. – Ale musiał być jakiś początek państwa miłości, jak w każdej historii. – Spojrzała na niego pytająco.

– Początek? Wtedy była wojna, wtedy się czekało na jej koniec. Inne początki były od tego uzależnione. Ludzie się poznawali i tracili. Gubili i odnajdywali. Trudne losy, trudne...

Zamyślił się. Anka się wzruszyła. Starszy pan wrócił wspomnieniami do tamtych czasów. Wpatrywał się w swoje złożone dłonie i lekko kiwał głową, zanurzony w przeszłości. Przypomniawszy jej ojciec Marty. Starość każdego czasem zagarnia i przenosi z tego świata w inne rejony. Może dziadek Marcina też się tak zawieszał? Jeszcze subtelnie, ale niedługo...

– Myśmy się z żoną poznali, potem zgubili, a potem znów odnaleźli. To było jak znak, że jesteśmy sobie pisani. I się sprawdziło. – Znowu tu był, z nią, w tym pokoju.

Anka spojrzała na zegarek. Minęła dwunasta. Musiała się zbierać, żeby spokojnie zadzwonić jeszcze do Suwałk, a potem spisać historie obu par. Szkoda, że czas ją gnał, bo chętnie by posłuchała. Dobrze się czuła w obecności tego człowieka. O ile Buba ją deprymowała, o tyle w obecności dziadka Marcina czuła się swobodnie.

– Dziękuję. Bardzo dziękuję, ale muszę wracać do pracy. Będę jeszcze rozmawiać ze swoimi dziadkami, a czasu mało, tak się złożyło... Proszę podziękować żonie za zupę. Przepyszna.

Wstała i podeszła do niego. On też się uniósł. Poczwała na plecach ostre słońce, które przebijało przez szyby. On zmrużył oczy, pewnie go oślepiło.

– To dla nas przyjemność. – Znowu ujął jej dłonie. – Och! – powiedział nagle. – To te kolczyki!

Rzeczywiście, dziś miała w uszach perły. Bardzo je polubiła. Były przepiękne. Jej babcia też się nimi zachwyciła, kiedy pojawiła się w nich na święta.

– Tak. Są śliczne. Jeszcze raz dziękuję, sprawił mi pan wielką radość. – Już dzwoniła z podziękowaniami, ale teraz mogła osobiście mu je złożyć.

– Bardzo pani pasują. Jakby dla pani zrobione. Jakby dla pani też...

– Jestem! – Dobiegło z przedpokoju. Anka aż podskoczyła. Przez chwilę miała wrażenie, jakby czas się zatrzymał – w tej wirującej smudze drobinek kurzu oświetlanych mocnym, styczniowym słońcem. Chwila jednak minęła.

– Dziękuję – powiedziała do obojga. – Bardzo dziękuję i wracam do pracy. Do usłyszenia i do zobaczenia.

Kiedy szła ulicą, pustą o tej porze, zimowo zimną i słonecznie ogrzewaną zarazem, miała wrażenie, że przez krótki moment, tam, w mieszkaniu, była bliska usłyszenia czegoś ważnego. Może na temat przeszłości, może na temat miłości. Na pewno na temat tej biżuterii, która nie została kupiona przez Bbę, tylko była pamiątką. Jego pamiątką. A może jednak była niereformowalną romantyczką, żyjącą jedną nogą tu, a drugą – w świecie tych wszystkich powieści, których się naczytała?

Rozdział dwudziesty dziewiąty



Sierpień 1942 roku

– Starczy dla wszystkich. – Doktor Lewinówna położyła na stole kartonowe pudełko z fiolkami.

Sara patrzyła na to pudełko, na szklane opakowania z cyjankiem potasu w środku. Potem przeniosła wzrok na osoby w sali: doktor Lewinównę, doktora Maślankę, doktora Kaufmana, siostrę Elę, siostrę Miriam, siostrę Marię, Jana.

Miała wrażenie, że ogląda niemy film. Albo fotografię – nikt się nie odezwał, nikt się nie poruszył.

– To pewne? – Usłyszała w końcu głos Jana.

– Doktorze... – Teraz to był doktor Maślanko.

– Wiem, po prostu umysł się broni... – Znowu Jan.

– Jutro rano zacznie się likwidacja getta trzeciego. Z pierwszego i drugiego

mają wywozić do obozów, ale tu likwidacja będzie oznaczać natychmiastowe rozwiązanie problemu. Natychmiastowe, rozumiecie? Przyjdzie Ghetto Polizei, wykopie duży dół, a raczej kilka dużych dołów i... Pach, pach, pach, pach... – Doktor Maślanko nie dokończył, zaczął szlochać.

– Ja nie dam im ku temu sposobności. – Doktor Lewinówna podeszła do stołu i wyciągnęła z pudełka dwie fiołki. – Mam tu jeszcze matkę – wyjaśniła im. I wyszła z pokoju.

Sara była odrętwiała. Czuła tylko morze krwi przelewające się przez jej tętnice – poza tym – nic. Zamknęła oczy, to był odruch. W chwilach największego zagrożenia nawet dorośli są jak dzieci – odsuwają od siebie rzeczywistość, nie dopuszczając jej pod powieki.

Może gdyby to dotyczyło tylko jej... Myśli biegły jak szalone. Były jak strzały z procy: Sara, Rebeka, Jan, matka, Maria.

Umrzeć? Już, od razu, więcej się nie bać? Nie oczekiwać strzału w potylicę lub czoło, nie obawiać się, że jeszcze żywą zaleją ją wapnem? Od razu to uciąć? A może razem z Janem, trzymając się za ręce? Albo jeszcze raz przed tym się kochając? A Rebeka? Zostawić ją na pastwę Niemców? Pozwolić, by te najgorsze chwile przed śmiercią spędziła sama, wołając w myślach, a może na głos, ją albo matkę. Matka... Ona też zginie na miejscu czy będzie miała darowane dni lub tygodnie – dni powolnego dogorywania? To może lepiej, żeby już...?

Poczuła, że kręci się jej w głowie. Kolana się pod nią ugięły. Oparła się o ścianę, a potem powoli osunęła się na podłogę. Dopiero wtedy otworzyła oczy. Zostali w pokoju we troje: ona, Maria, Jan.

– Ja się nie poddam, nie, nie, nie. – Maria miała zacięty wyraz twarzy. – Nie będę czekała, aż tu przyjdą i mnie zastrzelą albo wywiozą. Nie. Po prostu uciekam stąd. Jeszcze cała noc do wykorzystania. Przebieram się i...

– I co? – zapytała Sara. – I co dalej?

– Nie wiem. Ale ja nie jestem Żydówką. Mam jasne włosy i niebieskie oczy. Mogę żyć gdzie indziej.

Sara spojrzała na Jana. Też miał jasne włosy i niebieskie oczy. Też mógł żyć gdzie indziej.

Ona – nie. Rebeka – nie. Jej matka – nie.

– Jest sposób, by stąd wyjechać. Karetką. – Jan popatrzył na Sarę. –

Transport do szpitala w Warszawie. Wyjedziemy, puszczą nas, jeśli się pospieszymy.

– A potem? – zapytała Sara. – Co będzie potem?

– Nie wiem, ale najważniejsze to nie czekać tu na pewną śmierć. – Jan nie zamierzał się poddawać.

– Ziębińska lubi pieniądze. Może pomóc – odezwała się Maria. Trochę wbrew sobie.

– Jakie pieniądze? – jęknęła Sara. – Ja już nie mam żadnych pieniędzy.

– Ja jeszcze trochę mam... – zaczął Jan.

Maria również miała pieniądze. Schowane pod podłogą w pokoiku u Ziębińskich. Trzymane na czarną godzinę.

– Ja też mam – wtrąciła nieoczekiwanie. Nieoczekiwanie także dla siebie samej. Przecież nie musiała. Po co pomaga Sarze? Po co zwiększa jej szanse na przeżycie? Z sympatii? To jest ważniejsze niż miłość Marii do Jana? Nie, chyba nie. A jeśli Jan nie zostawi Sary i oboje otworzą te fiołki – tu, zaraz? – Mam – dodała mocniejszym głosem.

– A Rebeka? – zapytała płaczliwie Sara.

Rebeka. To Marię zakłuło.

– Czy ona... czy ją, czy... – Sara domyślała się odpowiedzi na te niezadane pytania, więc chyba dlatego ich nie dokończyła. Może ściśnięta krtań miała ją ochronić przed usłyszeniem tego, czego słyszeć nie chciała?

– Rebeka jest zdrowa, w dobrej formie. Może dzieci, takie dzieci... może ich... – Janowi załamał się głos.

– Ukryć jedną osobę to jeszcze możliwe. Dwie – dużo trudniej. I dwa razy więcej pieniędzy trzeba. – Maria sucho powiedziała to, co trzeba było powiedzieć. Takie były fakty. Ale przecież Rebeka była małą, miłą dziewczynką z ufnymi brązowymi oczami. Maria poczuła gulę w gardle.

– Nie mogę jej tu zostawić. – Sara szlochała. – Może powinnam choć spróbować...

– Wtedy pewnie żadna z was nie przeżyje. – Janowi trzęsły się dłonie.

– No to co mam robić? Po prostu uciec? Pójść do niej, poprosić, żeby wypila trochę niedobrego syropu – Sara wskazała głową na pudło, w którym

zostało kilka fiolek – a potem potrzymać za rękę i poczekać, aż uśnie na zawsze?

Nie wytrzymała tego napięcia, rzuciła się Janowi w ramiona. On ją objął i ścisnął. To przyniosło otuchę. Wyrwało ją z koszmaru na kilka chwil, ale tylko na kilka.

Gdy się wyswobodziła z jego objęć, odwróciła się do Marii:

– Ja... my... my się z Janem Kochamy. Nie mówiłam ci nic, bo uważałam, że to obciążenie – i dla ciebie, i dla mnie. Ale teraz to już nie ma sensu ukrywać. W takiej sytuacji...

Jan pokiwał głową, blado się uśmiechnął do Marii, a potem z czułością wpatrzył w Sarę. Zupełnie jakby nie było tamtej chwili, kiedy ona, nieświadoma jego zaangażowania w związek z inną kobietą, czyniła mu awanse.

Kim teraz byli? Niedobranym trójkątem: dwa plus jeden? Trójką bliskich sobie ludzi splecionych nieszczęściem? Łączyła ich jakaś symbioza? Przedziwna to była sytuacja.

– Co robić? No powiedzcie, co robić? – Teraz Sara skierowała to pytanie do nich. Do dwójki najbliższych. Nie potrafiła sama zdecydować.

– Ja bym jednak spróbowała zabrać Rebeke – stwierdziła Maria. – Wiem, co powiedziałam przed chwilą, ale ona jest... jest taka... bezradna. – Głos się jej załamał.

Już sama nie wiedziała, czy to z duszącej serce litości wobec Rebeci, czy podświadomość jej każe zmniejszać szanse Sary na przeżycie. Wielkie emocje tak robią z ludźmi, że ci się całkowicie gubią w swoich myślach.

– Rebecka jest tak dziecięco szczerą. Nie wiem, czy uda nam się wyjechać karetką razem z nią... – Jan nerwowo zaciskał dłonie. – A potem... Będzie trudno, pewnie wy obie... Tak cię Kocham, Saro... – Przypomniało mu się zdanie, że miłość jest egoistyczna, nie zna litości. On kochał Sarę, Sara kochała jego i Rebeke. On nie musiał wybierać, ona – tak. Spojrzał na zegarek. – Musisz o tym zdecydować w ciągu kwadransa.

Miłość potrafi zatrzymać czas, wstrzymać wskazówki zegara. Ale tylko na piętnaście okrążeń tej mniejszej. Potem życie będzie musiało się toczyć dalej – bez względu na podjętą decyzję.

Raz, dwa, trzy...

Rozdział trzydziesty



– Tu jest naprawdę ładnie. – Marcin na chwilę obrócił się w stronę Anki, a potem znowu spojrzął przed siebie. Jechali wąską drogą przez las jak przez zielony tunel.

– A ty w ogóle coś widzisz, kiedy tak pędzimy? – Anka miała wrażenie, że znajduje się w środku kalejdoskopu, który ktoś energicznie obraca. Wewnątrz samochodu nie czuła prędkości – było miękko, łagodnie, cicho, ale krajobraz za oknem tylko śmigał. No i na wyświetlaczu prawie cały czas było trzycyfrowo.

– Widzę. I zwalniam przed zakrętami. Tutaj nawet niebo wydaje się bardziej niebieskie. I słońce mocniejsze. A te drzewa... Natura, czysta natura.

– Poczekaj, aż dojedziemy do Suwałk. Poproszę dziadka, żeby nas zabrał tam, dokąd mnie woził, kiedy byłem dzieckiem. Dopiero wtedy zobaczysz prawdziwie dziką naturę.

Marcin nagle gwałtownie przyhamował, aż Anką szarpnęło i na chwilę jej plecy oderwały się od miękkiego weluru oparcia.

– Jezu, co się stało? – zapytała przestraszona.

– Nic – odparł pogodnie Marcin, skręcając w boczną drogę. – Zobaczyłem skierowanie na parking i postanowiłem zjechać.

– Ale tak nagle? Mogłeś nas zabić. – Anka wciąż się lekko trzęsła. Jeżdżenie z Marcinem było mieszanką ekscytacji i stresu. Dobre auto, dobry kierowca i chyba jednak zbytnia brawura. Wszystko odbywało się płynnie i pewnie, ale o jakieś czterdzieści kilometrów za szybko jak na przyzwyczajenia Anki. I jak na zdrowy rozsądek. Oraz – jak na przepisy.

– Nie, mam zupełnie inny plan na najbliższy czas niż uśmiercanie kogokolwiek, zwłaszcza nas. – Marcin minął wjazd w ocieniony parking i pojechał dalej, w głąb lasu.

– Ale plany czasem się nie udają. Na przykład teraz – tam był skręt na parking. – Anka pokazała ręką we właściwym kierunku. Już się uspokoiła. Nie miała ochoty gderać jak jękliwa ciotka. Albo jak Buba. To w końcu dorosły facet, nie potrzebuje pouczeń.

– Udają się. Zaraz zobaczysz.

Samochód jeszcze przez kilka minut sunął po gruntowej drodze, lekko się kołysząc, aż w końcu Marcin wyłączył silnik. Anka rozejrzała się dokoła. Byli daleko od głównej drogi, daleko od parkingu i daleko od jakiegokolwiek cywilizacji. Otaczał ich gęsty, stary las.

– Chodź. – Marcin otworzył drzwi i spojrzał na nią zachęcająco.

Anka wysiadła. Natychmiast owionął ją mocny zapach – bujnej majowej przyrody, nagrzanego igliwia, żywiczny aromat sosen z miodową nutą kwitnących kwiatów.

– Aż się w głowie kręci – powiedziała i przymknęła oczy. – No dobra, to co my tu właściwie...

Nie dokończyła, bo Marcin mocno ją objął w pasie i pocałował.

– Świętujemy majówkę – wyszeptał jej do ucha. – I już nie mogłem się doczekać tej obiecanej dzikiej natury, więc...

Na chwilę ją puścił, podszedł do auta, otworzył bagażnik i wyciągnął z niego gruby wełniany koc.

W pierwszej chwili Anka pomyślała o pikniku, tak się jej ta krata skojarzyła. Ale potem spojrzała na Marcina i od razu zrozumiała, że nie

o taką konsumpcję mu chodzi. Poczwała znane mrowienie, tę pędzącą od serca w dół kulę ciepła.

– Ale tak publicznie... – zaprotestowała jeszcze nieśmiało, niepewnie rozglądając się wokół. Nigdy wcześniej się nie kochała pod gołym niebem. Nawet te określenia – „gołe niebo” właśnie czy „łono natury” – wydawały się jej jakieś... dziwne, krępujące, między tandetą a perwersją.

– Powiem wiewiórkom, żeby nie podglądały. – Marcin jednym zamaszystym ruchem rozłożył koc na miękkim poszyciu.

Anka parsknęła śmiechem. Napięcie natychmiast z niej zeszło. To znaczy to związane ze stresem, że ktoś mógłby ich podejrzeć. Bo to drugie, erotyczne, pęczniało i rozgrzewało ją od środka.

– A borsukom? I sarnom?

– Wszystkim powiem. Jezom, nornicom i jeleniom. Gajowemu też. No chodź. – Pociągnął ją za rękę i oboje upadli na koc.

Anka poczuła, że miętko się zapada. Koc był ciepły, wełna lekko ją gryzła w uda. Dłonią dotknęła wilgotnego mchu. Nad sobą, wysoko, miała błękitną tafłę nieba, a pod nią ażurowy wzór z gałęzi drzew, który wyglądał jak orientalna wycinanka. Przymknęła oczy i westchnęła. Po chwili westchnęła raz jeszcze, głębiej, gdy Marcin zaczął ją całować.

A potem plany i kolory się mieszały – raz zieleń była z boku, raz na dole, błękit otaczał ją od góry lub się w niego wpatrywała.

A jeszcze później wszystko zniknęło i czas się zatrzymał. Byli tylko oni dwoje.

* * *

– Ale szybko dojechaliście. – Dziadek chyba czatował w ogrodzie, bo gdy tylko Marcin zatrzymał się przed domem, pojawił się przy furtce.

Anka pomyślała, że gdyby nie nieprzewidziany – to znaczy przez nią nieprzewidziany, bo Marcin go chyba jednak zaplanował – postój, zjawiliby się w Suwałkach godzinę wcześniej.

– Dobra droga była, dziadku. Ruch znośny, ciepło, sucho. No i spieszyło mi się do was. – Podeszła do starszego pana i się przytuliła. Dziadek pachniał

zawsze tak samo – wodą kolońską Wars. Przez jakiś czas po transformacji ustrojowej, gdy rynkiem zatrzęsło, używał czegoś innego, ale potem znów tego zapachu. Ance kojarzył się z dzieciństwem, wakacjami, dobrymi chwilami. Peerelowski zapach za nieduże pieniądze wydawał się jej bardzo atrakcyjny pewnie z powodu tych wspomnień. – A to właśnie jest Marcin.

Marcin wysunął się zza Anki i uścisnął wysuniętą w jego stronę rękę.

– Bardzo mi miło pana poznać. Ania dużo o państwie opowiadała, w samych superlatywach.

– Mnie też jest miło. I o panu także słyszeliśmy wyłącznie dobrze. Co ja mówię – bardzo dobrze! – Dziadek wodził wzrokiem od wnuczki do Marcina, wdzięcznie wcielając się w rolę gospodarza.

– A babcia...? – zapytała Anka, rozglądając się dokoła.

– Babcia w kuchni. Już po nią idę, a wy się rozgoście. – Dziadek żwawo powędrował schodami do wejścia.

– Bardzo miły człowiek. Taki... – Marcin chwilę się zastanawiał – ... domowy, to znaczy ciepły. Ale zupełnie inny niż ty czy twoja mama, to znaczy z wyglądu.

– Mówiłam ci, że u nas wygląd się dziedziczy po matkach. Chodźmy, potem zabierzemy torby. Zaparkować musisz tu, bo podjazd w wersji mini i już zajęty, a garaż zawałony narzędziami dziadka.

– Jasne, żaden problem. Wezmę tylko ten prezent.

– A, no tak. – Anka spojrzała na tyle siedzenie, gdzie leżał duży pakunek. Pod cienkim bladoróżowym pergaminem kryła się róża pnąca. Princess of the Night, amarantowe kwiaty i piękny aromat. Marcin pojechał po nią do ogrodu botanicznego przy Łazienkach. Zastanawiał się, czym powitalnie obdarować dziadków, i nic mu nie przychodziło do głowy. Kiedy Anka opowiedziała mu o pasji ogrodniczej dziadka i przemarzniętej róży pod murem, uznał, że to dobry pomysł. Ponieważ jednak do wszystkiego w życiu się przykładał, to i tu wykonał plan maksimum – nie po prostu róża w zwykłym ogrodniczym, tylko różany mercedes w specjalnym sklepie.

* * *

Babcia czekała już na nich w salonie. Anka zauważyła, że ubrała się bardzo ładnie. Zawsze dbała o wygląd, ale dziś włożyła swoją ulubioną jedwabną sukienkę w kwiaty, taką na „specjalne okazje”. Dziadek też zresztą był w odprasowanej jasnej koszuli i spodniach w kant. „Postarali się”, pomyślała wzruszona Anka. „Zależy im, chcą dobrze wypaść”.

– Dzień dobry, babciu! – Zamknęła ją w mocnych objęciach. – Jesteśmy – powiedziała i wskazała ręką w kierunku, gdzie stał Marcin, ale na pierwszy plan wysuwała się ta gigantyczna róża w pergaminie, którą trzymał on przed sobą w objęciach.

Marcin zrobił jeszcze kilka kroków, wyglądając zza pakunku, a potem z cichym sapnięciem postawił donicę na parkiecie.

– Dzień dobry! – powiedział i ujął wyciągniętą w jego stronę dłoń babci, po czym delikatnie ją pocałował.

Babcia chyba lekko się zdziwiła, bo zdecydowanie ciszej odparła:

– Dzień dobry, bardzo się cieszę, że jesteście.

Przyglądała się im, jakby lekko speszona. Anka pomyślała, że już dawno odwykli z dziadkiem od takich emocji. Ten sam dom, ci sami znajomi, ten sam zięć – od lat nic nowego, a tu zjawia się Anka z chłopakiem, o którym wiedzą, że jest bardzo na serio.

– Ślicznie wyglądasz, babciu. – To była prawda, poza tym Anka chciała dodać jej animuszu.

– Obie panie wyglądają pięknie. Ania jest rzeczywiście do pani podobna. – Marcin stanął za Anią i delikatnie objął ją w pasie. – To do kompletu jeszcze róża, mam nadzieję, że tak samo rozkwitnie.

– Już jest piękna. – Anka schyliła się i uchyliła papier.

– Cudowna. Posadźmy obok tej naszej sierotki. Żyje, mówiłem ci, prawda? – Dziadek przysunął się do babci. Stali teraz naprzeciwko siebie, dwie pary, które dzieliło kilkadziesiąt lat różnicy wieku.

– Mówiłeś. – Kiwnęła głową Anka. – Prezent idzie w dobre ręce.

– To ja ją od razu przeniosę. – Marcin wyswobodził różę z papieru i podniósł donicę. – W którym miejscu w ogrodzie ją postawić?

– Chodźmy, pokażę. Przy okazji pochwalę się roślinami. – Dziadek wyprowadził Marcina na taras.

– I jak? – Anka zapytała babcię, mimowolnie ścisząc głos. – Tak na pierwszy rzut oka, oczywiście.

– To bardzo przystojny mężczyzna. Jest w nim coś takiego... Pasujecie do siebie. Kiedy tak stanęliście blisko siebie... – Głos jej lekko zadrżał.

– Och, babciu! – Anka znowu ją przytuliła. – Widzę, że przeżywasz to spotkanie. Jest dobrze, wiesz? – Popatrzyła na nią z czułością. – A planuję, że będzie jeszcze lepiej! Ty chyba nie będziesz mi tu płakać? – zapytała.

– Nie, po prostu... No nic, chodźmy, kochanie, pomożesz mi przenieść rzeczy z kuchni.

* * *

– Nic już w siebie nie wcisnę. – Marcin delikatnie odsunął się od stołu i teatralnym gestem złożył ręce na brzuchu. – Wszystko było absolutnie przepyszne.

– Babcia ma talent kulinarny. Sporo oddała mamie i dla mnie już zabrakło. – Anka też czuła, że osiągnęła dzisiaj maksimum swoich możliwości, jeśli idzie o pojemność żołądka.

– Nie można mieć wszystkiego, kochanie. – Marcin przez cały czas ją delikatnie adorował. Zawsze był czuły, ale teraz jakby dodatkowo starał się pokazać, jak bardzo kocha wnuczkę gospodarzy. „Leśny postój też chyba go rozromantyczył”, pomyślała Anka, ukradkiem wyciągając z włosów sosnową igłę. – Już to mówiłem, ale powtórzę, bo to fascynujące – Ania jest do pani podobna, od razu widać, że jesteście rodziną.

– Po tobie i twoim dziadku też. Dziadek Marcina również jest taki przystojny. – Anka znacząco uniosła brwi.

– U nas w rodzinie wszystkie kobiety są piękne. Zosia, Sylwunia, Ania. I wszystkie jak z jednego wzoru. Ania, kiedy była mała, wyglądała jak Sylwia. A we wczesnej młodości przypominały Zosię z czasów, kiedy ją poznałem. Tylko karnację mają odmienną.

– Właśnie! – Anka o czymś sobie nagle przypomniała. – Babciu, chciałam pokazać Marcinowi nasze zdjęcia. Dziadkowie mają obfitą dokumentację fotograficzną z mojego życia. Nie wiem, co prawda, czy wszystko się nadaje do upublicznienia, ale najwyżej będę cenzurować na bieżąco. Mogłabym,

babciu, wziąć te albumy?

- Pewnie, Anulko, zaraz przyniosę. – Babcia podniosła się z krzesła.
- Nie, siedź, ja przyniosę. – Anka się poderwała. – Tam, gdzie zawsze?
- Nie, w sypialni mam. Ostatnio przeglądałam i nie odstawiłam do salonu.
- To ja pójdę nastawić kawę – zaproponował dziadek.
- A ja zaniiosę talerze do kuchni. – Marcin też się podniósł.
- Kooperatywa. – Zaśmiał się dziadek. – A ci, co już wyrobili plan na dziś – spojrzął na babcię – odpoczywają.

* * *

Albumy leżały na stoliku w rogu sypialni. Dwie brązowe oprawy. „Powinien być jeszcze trzeci”, pomyślała Anka. Rozejrzała się po pokoju. Nic się tu nie zmieniło. Jasnokremowa tapeta na ścianie w waniliowy rzucik, szerokie małżeńskie łóżko w ciemnobrązowej ramie z fotografią dziadków nad wezłowiem, dwie nieduże stare szafy i dwa stoliki nocne po obu stronach łóżka z małymi lampami ozdobionymi lnianymi abażurami. Na babcinej szafce Anka zobaczyła grubą książkę. Podeszła bliżej. Nie, to nie była książka, tylko album fotograficzny. Nowy, nie widziała go wcześniej. Zawahała się, czy może go wziąć. Nie leżał razem z tamtymi, może babcia by nie chciała...? Postanowiła zapytać. W korytarzu zderzyła się z dziadkiem.

- O, dziadku, właśnie szłam do salonu, żeby zapytać babcię...
- Już poszła do kuchni, nie udało jej się jednak wysiedzieć. Jest tam z panem Marcinem i świetnie sobie radzą, ja jestem na usługach i donoszę rzeczy ze stołu.
- Chciałam zapytać o ten album na stoliku, bo to jakiś inny. – Wskazała rękę w kierunku szafki. – Może ty wiesz...?
- A, bo babcia przekładała fotografie. Tamten już się zniszczył, te koszulki foliowe się podarły, więc kupiła nowy.
- To ja wezmę wszystkie trzy, dobrze?
- Pewnie, kochanie.

Anka wróciła do sypialni. Pewnym krokiem podeszła do stolika i podniosła

album. Jeszcze pachniał nowością. Otworzyła go. Sporo miejsc było już wypełnionych. Zdjęcia nie leżały idealnie równo, bo koszulki miały współczesne wymiary, a stare fotografie były w mniejszych formatach. Kiedy przerzuciła kolejną stronę, gdzieś ze środka wypadło kilka zdjęć. „Jeszcze nie wszystko zdążyła poukładać”, pomyślała. Schyliła się i zaczęła zbierać czarno-białe i kolorowe kartoniki. Chciała je po prostu włożyć do albumu, żeby całość przenieść do salonu. Otworzyła go na chybił trafił i między foliowymi, pustymi przegródkami zobaczyła zażółconą kopertę. Zawahała się, ale ciekawość zwyciężyła. Podniosła trójkątne zamknięcie i zajrzała do środka. Zobaczyła równie starą fotografię z ząbkowanymi brzegami, z wyblakłą pieczętą z tyłu. „Co tu jest napisane?”, próbowała odczytać litery. Wyglądało jak Balladyna. „Foto Balladyna”. Niżej był adres: „Warszawa, ul. Żelazna”. Numer chyba dwucyfrowy, ale się rozmazał. Anka odwróciła kartonik. Na zdjęciu było dziecko. Bardzo małe, niemowlak, a może nawet noworodek. W koszulce i jakimś ubranku na szelkach, którego dołu nie było widać, bo przykrywał je koczyk. Na głowie miało dzierganą czapkę, spod której wзираły bystre oczy. Ten mały człowiek – żadnej odpowiedzi, czy to dziewczynka, czy chłopiec – patrzył w obiektyw, jakby pozował. Fotografię zrobiono we wnętrzu, pewnie właśnie w tym zakładzie – dziecko było posadzone, właściwie oparte o ścianę przykrytą jakimś lejącym materiałem, poza tym nie było widać nic innego. Anka przyglądała się zdjęciu. Kto to był? Raz jeszcze obejrzała tył – tylko pieczętą, nic więcej. Znowu przekreśliła kartonik. Nie potrafiła oderwać wzroku od tego dziecka. To nie była mama, na pewno, fotografię zrobiono wcześniej, ale chyba nie o tyle wcześniej, by mogła to być mała babcia lub mały dziadek. Nie wiedziała, co zrobić – schować zdjęcie do koperty i włożyć między strony albumu, a potem niby to przypadkiem upuścić i spytać babcie, kto to, od razu wziąć kopertę do ręki i zadać to pytanie, zostawić w pokoju na stoliku i nie pytać?

– A, wciąż tu jesteś, Anulka. – Usłyszała głos dziadka.

Podniosła głowę znad albumu.

– Tak, już idę. Po prostu zdjęcia mi się wysypały.

– Widać babcia nie zdążyła wszystkiego poukładać. Weź do salonu, jak jest, potem się uporządkuje. A może ty poukładasz? Starsze palce już nie takie zgrabne.

– Jasne, dziadku, nie ma problemu. Dziadku... – Zawahała się, ale uznała,

że może lepiej zapytać o tę fotografię dziadka, tu, na osobności. – Znalazłam coś takiego, wypadło z albumu. – Wyjęła z koperty zdjęcie. – Kto to jest?

Dziadek podszedł bliżej. Z kieszeni koszuli wyjął okulary. Wziął od niej karteluszek. Spojrzał na zdjęcie i Anka odniosła wrażenie, jakby się speszył. Albo posmutniał. Nie potrafiła tego jednoznacznie ocenić. Po chwili odchrząknął i powiedział:

– To moja siostra. Marianna.

– Ta, która zmarła podczas wojny? – zapytała Anka.

– Tak.

Zapadła cisza.

– Ale tu jest malutka, to musi być stare zdjęcie.

– No tak, chyba tak. Nie pamiętam dokładnie. Było w dokumentach rodziców, po ich śmierci przeglądałem papiery i je znalazłem.

– To może jednak nie ona? Bo tu żadnego podpisu nie ma, nie licząc pieczętki zakładu. Z Warszawy, a wy mieszkaliście, kurczę, nie mogę zapamiętać nazwy tej miejscowości..

– Na pewno. Wcześniej już widziałem to zdjęcie. Stare dzieje... Nie wiem, skąd się zaplątało, schowam do innego pudełka, żeby się porządki nie pomieszały. – Uśmiechnął się i wziął kopertę ze stolika. Wsunął do niej zdjęcie i włożył do szuflady swojego stolika nocnego. – Chodźmy, bo lody się rozpuszczą. Twoje ulubione, od Jana. Specjalnie w termosie wiozłem.

Anka posłusznie poszła za dziadkiem. Za te lody dałaby się pokroić.

Rozdział trzydziesty pierwszy



Sierpień 1942 roku

– Ja nie. Nie mogę. I nie, nie o pieniądze tu chodzi, że jak będzie więcej, to zmienię zdanie. – Ziębińska ścisnęła w dłoni ścierkę. – Ja mam dzieci, zresztą o siebie też się boję. Chcę żyć, każdy chce. – Popatrzyła na nich. – Ale jest stara Rybakowa, nie tak daleko, na Reymonta. Może lubi pieniądze, może się niczego nie boi, a może już ma tyle lat, że nie dba o życie. Ona podobno przygarnia Żydów, których na to stać. Tam idźcie. I to szybko. Dla waszego i mojego dobra. To mogę dać. – Obróciła się i wyjęła z chlebaka pół bochenka chleba.

A potem się przeżegnała i wyszła z kuchni.

* * *

Jan pojechał do Warszawy, do mieszkania ciotki, tą karetką.

Sara i Maria poszły do Rybakowej.

Stara wzięła pieniądze i pokazała klitkę w piwnicy, za podwójną ścianą i z tajnym przejściem.

– Na miesiąc starczy. – Przeliczyła podane banknoty.

„A potem?”, pomyślała Sara. „Co potem będzie?” Jan się postara, na pewno, wyciągnie ją stąd, poruszy niebo i ziemię. Musi, oni muszą przetrwać. Tak wybrali...

* * *

Nie wiedziała, ile czasu minęło. Może minuty, może godziny. W ciemności, w ciszy, w pojedynkę traci się rachubę. Zresztą ona chciała się odciąć od wszystkiego – przede wszystkim od swoich myśli. Nie chciała już rozważać, wyobrazać sobie, znowu podejmować tamtej, podjętej już przecież decyzji.

Coś usłyszała. I znowu. Stężała. To gdzieś blisko, w piwnicy chyba. Teraz jeszcze bliżej. Zgrzyt, skrzek i do pomieszczenia wpadło wątłe światło żarówki.

Rybakowa.

– Chodź.

– Ale dokąd? – Sara nic nie rozumiała.

– Nie wiem, ale u mnie być nie możesz.

– Przecież dałam pieniądze...

– Oddaję. – Wyciągnęła z kieszeni plik banknotów. – Sobie tylko jeden zostawiam, zadatek. Reszta twoja, a teraz idź, żeby nikt cię tu nie widział. Niczego nie zapomniłaś?

Sara, jak automat, jak te chore, które widziała pierwszego dnia pracy w Zofiówce, rozejrzała się po ciemnym pomieszczeniu.

– To tylko. – Przycisnęła do piersi ścierkę z chlebem. – Ale jak to? – Ta myśl znów się przebiła. – Co się stało?

– Nie wiem, on ci powie. – Rybakowa jeszcze szerzej uchyliła drzwi,

a wtedy Sara zobaczyła, że obok niej ktoś stoi. Młody mężczyzna, szczupły, dość wysoki. Nie znała go. Choć zaraz, przecież gdzieś go już widziała... Tak, to był jeden z lokatorów Ziębińskich. Ten, który wtedy zachorował, to do niego szedł Jan. Student. Widywała go przez chwilę, nim poszła pracować. Uchylił czapki i kłaniał się jej. Nawet nie wiedziała, jak ma na imię.

– Jestem Tadeusz Zamłyński. Mieszkam u państwa Ziębińskich, w tej kamienicy, co panna Maria i doktor Górski. I gdzie pani była wieczorem.

– Nie zaprzeczyła, nie było sensu. Chyba nie chciał jej krzywdy. Ale czego w takim razie chciał?

– Ja... czasem, dawniej, panią widywałem na naszej ulicy. Potem już nie. Aż do wczoraj. Ja wiem, że pani jest Żydówką, że się ukrywa. I że Ziębińska panią tu wysłała.

Więc jednak.

– Pieniędzy pan chce. – Sara ścisnęła w rękę banknoty zwrócone przez Rybakową.

– Nie, skąd! – obruszył się, zamachał rękoma i odsunął od wyciągniętej w jego stronę dłoni z pieniędzmi. – Ja przyszedłem panią ratować. Widziałem was z okna, jak wchodziliście. I widziałem, że potem szybko szła pani z siostrą Marią.

– A skąd pan wiedział dokąd?

– Podśluchałem – przyznał. – A później, to znaczy teraz, przed niecałą godziną, podśluchałem coś jeszcze. Bo ktoś przyszedł do kamienicy. Uchyliłem drzwi i zobaczyłem jakiegoś mężczyznę. Ale zaraz musiałem zamknąć, bo inne drzwi się otworzyły i ktoś wyszedł na korytarz. Kobieta, to wiem, bo obcasy stuknęły. Potem też było słychać kobiecego głosu. I ten głos podał adres, Reymonta siedem, i że tam się Żydówka ukrywa. A potem ten mężczyzna wyszedł.

Więc to tak! Sara drżała jak osika. Był gorący sierpień, a ona się trzęsła, mimo swetra, który Maria jej podarowała. Jak można być tak podłym? Najpierw im dała adres, potem chleb, a na koniec wydała. Co za człowiek z tej Ziębińskiej! A Jan i Maria oboje mówili, że mimo wścibskości i przywar ma dobre serce. Sara sama widziała, jak Ziębińska zrobiła znak krzyża!

– Ziębińska? – Rybakowa zapytała. Też z niedowierzaniem. Jej także nie mieściło się to w głowie.

– Nie wiem tak do końca, bo to szept był. Na pewno kobiecy, ale ręki bym nie dał sobie uciąć, że to pani Ziębińska. – Mężczyzna miał niepewną minę, jakby się wstydził za tę zdrajczynię.

– A któż by? – Sara poczuła nagle, że jest bardzo zmęczona. Że już więcej nie zniesie. Jaka szkoda, że nie wzięła jednej fiołki cyjanku dla siebie. Łyk i już. Może nie tu, po co tej Rybakowej kłopot, gdyby rano Niemcy ciało znaleźli. Poszłaby do lasu, na ten otwocki piach, wzięłaby haust żywicznego powietrza, wciągnęła zapach lata, potem połknęła cyjanek, objęła się ramionami, jakby to Jan ją obejmował. I już. A tak to pójdzie przed siebie, ulicą. Będzie stawiała nogę za nogą, czekając, aż podejdzie do niej policjant. A może od razu ją zastrzela?

– Idźcie już. Mogą przyjść w każdej chwili.

Sara skierowała się na schody. Mężczyzna szedł za nią.

Gdy znaleźli się na podwórku, popatrzyła na niego. Oświecił go tylko blask księżycy, ale widziała, że ma miłą twarz. Potrafiłaby mu zaufać. Pewnie chciał dobrze, a przynajmniej Rybakowej życie ocalił, bo jej właśnie się skończyło.

– Chodźmy – powiedział.

– Dokąd? – zdumiała się.

– Chodźmy – powtórzył. – Uratuję panią.

I wziął ją za rękę.

Rozdział trzydziesty drugi



„Rany”, westchnęła Anka w duchu. „Pomyliłam strony. Skoro tu się Hoża zaczyna, to numer sześćdziesiąt ileś będzie...” Rozejrzała się dokoła. Stała pod numerem pierwszym, a miała dojść pod sześćdziesiąty któryś, chyba czwarty, nie pamiętała dokładnie, ale na pewno parzysty, czyli to będzie druga strona. Nic nie jechało, przeszła przez jezdnię. Przed sobą miała jakieś rządowe budynki, zaburzające numerację. Przed wojną musiało to wyglądać zupełnie inaczej, tak jak te stare kamienice, które przed chwilą minęła. Obróciła się w ich kierunku. Hoża jeden. Nadspodziewanie wysoki budynek, nawet teraz górował nad placem Trzech Krzyży. „Piękna kamienica”, pomyślała, „choć wygląda jak ranny łabędź z pogruchotanym skrzydłem”. Między nią a kolejnym budynkiem była wyrwa, pustka, zapewne po tej części, która została zniszczona podczas wojny. „Tyle lat i jej nie zabudowano...”, zamyśliła się, po chwili jednak znów była tu i teraz, czyli przed randką. „Och, no to się wpakowałam”, stwierdziła. Wyciągnęła telefon komórkowy z torebki. Odblokowała ekran, odnalazła mapy, dała się zlokalizować, wpisała adres restauracji, do której zaprosił ją Marcin, a potem spojrzała na wytyczoną trasę, odległość do przejścia i w końcu na swoje buty

na obcasie. Tak to jest, kiedy człowiek nie sprawdza, dokąd dokładnie się wybiera, i ufa pamięci. I kiedy moda bierze górę nad wygodą. Chciała ładnie wyglądać, to znaczy nawet nie tyle ładnie, ile odświętnie, inaczej, po prostu się wyszykować. Czuła, że dzisiejsze popołudnie będzie wyjątkowe. Choć żadne z nich tego nie powiedziało, Marcin też na pewno pamiętał, że równo rok temu spotkali się po raz pierwszy. Wtedy także było gorąco, upalniej niż dziś. Szła z pracy do tramwaju, było duszne, gorące popołudnie, a ona drżała z ekscytacji i nerwów. Czy ten fajny, intrygujący facet o przystojnej twarzy naprawdę istnieje? Czy kiedy go pozna, czar pryśnie, czy rozbłyśnie jeszcze mocniej? Czy można się bajecznie zakochać, poznając kogoś tak prozaicznie, czyli na portalu?

Wciąż pamiętała emocje, które jej wtedy towarzyszyły. A potem moment, kiedy go zobaczyła i przepadła. Można się śmiać z miłości od pierwszego wejrzenia, ale naprawdę jest coś takiego – że się spojrzy na drugą osobę i już się wie, jakby w tym krótkim spojrzeniu w czyjeś oczy, w kilka chwil, dostrzegło się i całą przeszłość, i ekscytującą terażniejszość, i obiecującą przyszłość. Intuicja, jeśli ma się z nią dobrą relację, nie myli, nie wpuści obdarzonego nią człowieka w maliny. Anka jej wierzyła. Oczywiście nie ślepo i nie jak w bajkę, czyli że zawsze wszystko będzie cudownie, i to bez żadnych starań, ale była przekonana, że mogą mieć z Marcinem naprawdę dobre wspólne życie, bo jest między nimi chemia, która ciągnie ich do siebie, i wiele wspólnego, które razem dzielą: upodobań, hobby, pragnień.

Chemia, czyli przede wszystkim seks. „Och, seks”, przez Ankę przemknęła iskra podniecenia. Właściwie dopiero z Marcinem zrozumiała, czym jest seks, czym może być. Biedni ci wszyscy, którzy myślą, że to łózkowa akrobatyka zakończona orgazmem i że można ją uprawiać z osobami, z którymi nie łączą ich głębokie więzi emocjonalne. To znaczy można, i wiele osób tak robi, ale to jak odległe echo wobec tego, co oferuje fizyczna bliskość z kimś, kogo się kocha. Wtedy pożądanie to chęć, by być z nim lub nią najbliżej, jak się da, by wspólnie szybować do gwiazd. A potem razem z nich spadać na ziemię – w objęciach, czule, wciąż połączeni. To jest po prostu magia, dotykanie czegoś wprost niezemskiego. Teraz Anka to wiedziała, teraz tego doświadczała.

Wspólnota. Jasne, były między nimi różnice, ale i wiele ich łączyło. Zamiłowanie do czytania, turystyczny zapał, pogoda ducha, sympatia do zwierząt, a szczególnie do psów, podobna wrażliwość. Sprawy najważniejsze były spoiwem, a różnice? No przecież nie chodzi o to, by się w drugim

przeoglądać jak w lustrze. Różnice są w porządku, jeśli nie ma się planów, by drugiego człowieka zmieniać, docinać pod swój format. Ona akceptowała Marcina.

Ile to już przeszła? Rozejrzała się w poszukiwaniu tablicy z numerem. Hoża dwadzieścia sześć, czyli nie była nawet w połowie. Do tej pory wydawało jej się, że jakość chodników w Warszawie bardzo się poprawiła i sunie się po trotuarach jak po lodowisku. Może tak – na płaskim obcasie. W prawie szpilkach... Już czuła ten nieprzyjemny ucisk na pięcie. Poprawiła turkusowe skórzane paski, lekko przesunęła stopę. Powinno być lepiej. Śliczne te buty, nie potrafiła się im oprzeć, więc się nie opierała. W ogóle w ostatnim roku zrobiła się bardziej beztroska, to znaczy dogadzająca sobie. Wciąż w granicach rozsądku, tyle że te granice lekko przesunęła. Wszystko ją w życiu cieszyło bardziej niż kiedykolwiek. Prawda, w pojedynkę można być szczęśliwym, i ona była, ale we dwoje wszystko się potęgowało.

Marcin był bardzo fajnym człowiekiem. I dobrym. Miał poczucie humoru, był opanowany, zorganizowany, wrażliwy na krzywdę. W zeszłym tygodniu znowu grał w meczu charytatywnym, a potem pojechał do domu dziecka, żeby zawieźć pluszaki. Wrócił naprawdę poruszony, było widać, że ta wizyta zrobiła na nim duże wrażenie. Mógł mówić, że już od dawna nie myśli o tym, że jest sierotą, bo to się wydarzyło przecież trzydzieści lat temu i dziadkowie mu wciąż wynagradzali na różne sposoby brak rodziców, ale przecież to tak ważna sprawa, podstawowa – dzieckiem nie przestaje się być, tak jak nie przestaje się być rodzicem...

„Rany, ale okropne”, Anka aż się wzdrygnęła na widok tego obrazka. Gwiazda Dawida i napis „Polska dla Polaków”. „Co ci ludzie mają w głowach?”, pomyślała. „Sieczkę i nienawiść. Oraz głupotę”, odpowiedziała sama sobie. Trochę zepsuło jej to humor. Brzydziły ją takie nienawistne napisy, bała się ich autorów, bo nie wiedziała, do czego są zdolni. A oprócz tego... To była ta malutka zadra, ta ryska na pomniku Marcina. Pamiętała ten jego nieprzychylny, jakiś niemily ton, kiedy rozmawiali o Żydach – raz po *Skrzypku na dachu*, a drugi raz – wtedy w Otwocku. Jasne, od takiej lekkiej niechęci do mazania po murach jest długa droga, ale... Co prawda, Marcin się zarzekał, że to nic, że „tak mu się powiedziało”, ale dlaczego? Skąd się to w nim wzięło? Czy w kimś naprawdę dobrym może coś takiego, choćby i nieświadomionego, siedzieć? Mama twierdziła, że to wpływ dziadków, starsze pokolenie nasiąkło różnymi uprzedzeniami. Dziadka Marcina nie posądzała o takie myśli, bo był naprawdę spokojnym i miłym człowiekiem.

Poza tym całe zawodowe życie zajmował się pomaganiem innym...

– Czerwone, trzeba stać! – Poczwała silne szarpnięcie.

Zdezorientowana, rozejrzała się dokoła. Tak się zamyśliła, że nie zauważyła przejścia dla pieszych i czerwonego błyszczącego ludzika na sygnalizatorze.

– Rany, nie zauważyłam. Dziękuję – powiedziała suchymi ustami.

Starsza korpulentna pani, która ją schwyciła, miała groźną minę.

– Ech, młodość, głowa w chmurach. Taka piękna dziewczyna, całe życie przed panią. Trzeba się rozglądać. A wy albo w te telefony wpatrzeni, jak zombie chodzicie, albo o niebieskich migdałach...

– Na randkę idę. – Anka chciała ją udobruchać.

– To tym bardziej. – Chyba się udało, bo pełne policzki uniosły się w uśmiechu. – Przejechani to już nigdzie nie dojdą. Niech pani na siebie uważa.

Anka raz jeszcze się uśmiechnęła, choć serce wciąż mocno jej waliło, i kiwnęła głową.

Zapaliło się zielone, przeszła na drugą stronę ulicy. „Tak się zamyślić, rany”. To stąd pewnie tyle wypadków – że ludzie ciałem są tu, a głową zupełnie gdzie indziej. A może to nie tylko z powodu emocji, lecz także przez to słońce? Lubiła ciepło, ale nie gorąc. Klimat naprawdę się zmienia, kiedyś się raczej tęskniło za ładnym latem, teraz – za zachmurzeniem i opadami.

Znowu się rozejrzała. Hoża czterdzieści sześć. I czerwone barierki oraz rozkopany chodnik. Czujnie się obejrzała, jak należy: prawo, lewo, prawo, i przeszła na nieparzystą stronę. Nawet lepiej, bo był tu cień.

Więc Marcin... Tak, to ten facet, kochała go za wszystko – i to była ogromna część jej kulistego szczęścia, i mimo wszystko – to tylko wycineczek, chudziutki promień.

O czym to ona myślała? To wtargnięcie na czerwonym na ulicę lekko wytrąciło ją z równowagi. A, rodzice i dzieci. Więc Marcin jest wrażliwy, a ta wizyta w domu dziecka mocno nim wstrząsnęła. Kiedy o niej opowiadał, był poruszony. I wtedy też powiedział, że bardzo by chciał mieć dziecko. Z nią, Anką. Czy może być pełniejsze wyznanie miłości? Anka również by chciała, wcześniej sobie o tym myślała, teraz to czuła, całą sobą, tak biologicznie.

„A to co?”. Aż przystanąła. Hoża pięćdziesiąt trzy. „Okno życia”,

przeczytała. Szła wzdłuż muru z czerwonej cegły, za którym mieścił się jakiś zakon i który wydawał się nie mieć końca, aż doszła do tego przeszklonego miejsca z dużą naklejką na szybie. Kiedyś czytała o oknach życia, może nawet o tym, bo było napisane, że jest w centrum Warszawy. Takie okno otwiera się z zewnątrz, wkłada dziecko, zamyka. W środku uruchamia się delikatny sygnał, że jest malutki człowiek do zaopiekowania. I już. Pomysł wydał jej się dobry, bo przecież jeśli kobieta nie chce mieć dziecka, to powinna móc je oddać tak, żeby nikomu nie stała się krzywda. A jednak to musi być trudne dla dziecka, że nigdy nie pozna swojej prawdziwej historii. Jak to się w ogóle przeprowadza, tak formalnie? Nowe papiery? W rubryce „rodzice” dwa razy NN?

Ale myśli ją naszły! Gdyby sprawdziła w domu adres, tę Hożą sześćdziesiąt cztery, nie zdarłaby sobie obcasów i nie odbiła pięt. Musiała przejść ponad dwa kilometry, bo nic tą wąską ulicą nie jeździ, do tramwaju i z tramwaju w Alejach miałyby tyle samo do przejścia.

Miała wrażenie, że ma w głowie kołowrotek z myślami. Pewnie dlatego, że czuła także, że dzisiejsze ich spotkanie nie będzie takie jak zawsze. Po tej bardzo udanej majówce, gdy spędzili kilka dni w Suwałkach, gdzie Marcin zachwycał się wszystkim – od jej dziadków po przyrodę (dziadkowie też zaakceptowali Marcina), był jeszcze weekend na Mazurach z jej rodzicami i także było super, a na koniec popołudnie w Łazienkach z jego dziadkami. Ta rodzinna rundka była jakby podsumowaniem ich wspólnego roku. Wszyscy wszystkich polubili – natężenie mniejsze lub większe, ale żadnych animozji – więc...

Tak, pewnie się jej oświadczy. Subtelnie dał jej do zrozumienia, że świetnie wygląda w tej nowej jasnej sukience, a do niej z kolei tak ładnie wyglądają te perły w uszach... Sama dołożyła nowe buty na obcasach, na których jakimś cudem tu jednak doszła.

Jest, wreszcie. Po drugiej stornie ulicy zobaczyła szyld restauracji. „Spontaniczne bistro”. Uśmiechnęła się. Marcin wiedział, że przepych jej nie nęci, że woli prawdziwe klimaty, ten wybór to był ukłon w jej stronę. Spontaniczny, choć pewnie równocześnie wypracowany, bo była to włoska knajpka z podobno wyśmienitym jedzeniem.

Po raz ostatni tego popołudnia przeszła przez ulicę, minęła ludzi siedzących przy małych stolikach ustawionych na czerwonym dywanie na chodniku, pchnęła drzwi i zniknęła w środku.

Rozdział trzydziesty trzeci



Luty 1945 roku

„Boże, jak to miasto wygląda!” Sara pamiętała przedwojenną Warszawę, bo kiedyś, gdy była mała, mieszkała w stolicy. Potem, przez wiele lat, aż do teraz – w Otwocku. Ale z tamtych pogodnych, słonecznych czasów miała obrazki wspomnień: wysadzone drzewami ulice, plaże nad Wisłą, wytworne delikatesy w centrum, wspaniały Zamek Królewski. A teraz...?

W miejscu, gdzie oni mieszkali, było tylko morze gruzu i cegieł, przysypane śniegiem. Gdyby ktoś nie widział dzielnicy żydowskiej przed wojną, nie uwierzyłby w jej opowieści – że był tu budynek na budynku, gwar, rejwach, pełno ludzi. Teraz nie było nic.

Szła z kartką w dłoni, pytając napotkanych po drodze ludzi o Hożą. Mniej więcej pamiętała, jaki to rejon, ale to było tyle lat temu. Woląla nie ufać swojej pamięci, zwłaszcza że ostatnio tylko ją oczyszczała z różnych wspomnień. Tyle miała do zapomnienia...

Poczuła nagły, bolesny skurcz w brzuchu, aż przystanęła. To już prawie dwa lata, niemożliwe, żeby bolało, ciało się zagoiło. Ból jednak wracał, prawie zawsze, gdy myślała, więc nie chciała myśleć. Nawet już nie patrzyła na zdjęcie. Teraz jednak przystanęła i zajrzała do torebki. Było tam, bezpieczne w tej małej kopercie.

Zapięła klamerkę i głęboko odetchnęła.

Tak, ostatnie lata spędzała na zapominaniu, to był jej sposób na życie, na trwanie mimo wszystko.

Jednego nie powinna jednak zapominać, bo to był jej dług honorowy – do spłacenia.

Tadeusz Zamłyński ją ocalił, tak jak jej obiecał.

Tego wieczoru zaprowadził ją do schronu w lodowni, na posesji przy rozlewni piwa. Były tam też inne osoby. Przesiedzieli tam przez kilka dni, w głodzie i pragnieniu. Słyszeli auta, biegających Niemców. Nie znaleźli ich. Potem Tadeusz przyszedł po nią. Lasami, przez kilka godzin, szli do jego rodziców w Kołbieli. Tam jeszcze byli Żydzi. Sara przeczekała kolejne dni na strychu. Tym razem w cieple, z jedzeniem. W tym czasie Tadeusz przyniósł jej nowe dokumenty: Zofia Antosiewicz, tak się od teraz nazywała. Ale mimo tych papierów nie była bezpieczna. Zatem kiedy i tu zaczęła się wywózka, Tadeusz zabrał ją do specjalnie zbudowanego schronu, znowu w Otwocku, przy Andriollego. Tam było dziesięć osób, każdy musiał co miesiąc się opłacać. Duże pieniądze, których po pierwszej płatności już nie miała. Tadeusz powiedział, że się tym zajmie. I zajął się.

Zajął się też czymś innym. Bo tam, w tym schronie... Znowu to bolesne ukłucie w podbrzuszu i łzy cisnące się do oczu...

Nie myśleć, nie wracać pamięcią, nie, nie, nie...

Więc dwadzieścia trzy miesiące, z obcymi ludźmi, w pomieszczeniu dwa na trzy metry. Bez światła dziennego, z insektami włączącymi w każdy zakamarek. I z obsesyjnymi myślami: o matce, o Rebecce, o Janie, o Marii. Co z nimi? Czy Rebeka wypila ten syrop? Czy matka zginęła w Otwocku, czy w jakimś obozie? Gdzie jest Jan? Czy wtedy dotarł do Warszawy? Czy jej szuka? Co z Marią? A co z...?

Te myśli omal nie doprowadziły jej do obłądzenia, podobnie jak uwięzienie. Gdyby wiedziała, że tyle to potrwa, to pewnie by się nie zdecydowała na ratowanie swojego życia.

Wtedy tak myślała. Bywało, że chciała umrzeć. Ale kiedy do Otwocka weszli Rosjanie, a oni mogli opuścić swoją kryjówkę, kiedy zobaczyła słońce, aż prawie ją oślepiło, to padła na ziemię, na kolana, i z wdzięcznością ucałowała bruk. Człowiek jest tak skonstruowany, że choćby nie wiadomo co, to chce żyć. Ta siła, która go ciągnie na powierzchnię, która zmusza serce i żyły do pracy, która każe mu szukać ocalenia za wszelką cenę, jest niebywała.

Poszła do „swojego” domu. Była tam ta rodzina opisana przez Jana. Córeczka gospodarzy krzyknęła na jej widok. Gdy zobaczyła się w lustrze, zrozumiała dlaczego.

Tadeusz też ją wtedy zobaczył. I zupełnie inaczej na nią patrzył. Sara знаła ten wzrok, ale nie potrafiła go odwzajemnić. Już podczas tego ukrywania się mogła się domyślić, że on tego nie robi bezinteresownie, nikt by przecież nie był takim altruistą. Zwłaszcza że on przez nią tyle stracił. Jego siostra...

Znowu skurcz.

Widziała, że Tadeusz jest w nią zapatrzonej. Nie wiedziała, co zobaczył, bo nie mówili o tym jeszcze, ale to musiało być coś naprawdę potężnego, bo trwało mimo kosztów, nie tylko tych materialnych, które poniósł. Czowała, że musi mu się odwdziaczyć, na pewno oddać pieniądze, jakoś to zrobi. Ale więcej nie potrafiła mu dać, bo wciąż kochała Jana.

Czy można coś poradzić na miłość? A na niemiłość?

O, już prawie doszła na Hożą. Jeszcze tylko kawałek.

Hoża jeden. Budynek kaleka, z którego bomba oderwała jedną klatkę, rozsypując ją w górę gruzu.

Hoża jeden, mieszkania siedem.

Sara weszła na podwórko. Rozejrzała się.

– Dzień dobry! Pomóc jakoś? – zapytała ją kobieta w chustce na głowie. Niosła węgiel w wiaderku.

– Dzień dobry! Tak, ja szukam kogoś. Jan Górski, doktor. Mieszkał tu przed wojną. I potem też, w czterdziestym drugim wrócił. Z ciotką razem tu byli.

– A, to ja nie wiem. My przed wojną mieszałiśmy na Wielkiej, ale jej już nie ma, więc na razie jesteście tutaj. A potem się zobaczy. A który numer mieszkania? To mogę powiedzieć, do którego wejścia trzeba iść.

– Siedem – odparła Sara.

– No, to ta część budynku, której już nie ma. – Kobieta spojrzała na kikut dawnej klatki. Dwie ściany, surowe cegły, jak jakiś szyb kopalniany. Między nimi – ziejąca nicość.

Sara poczuła nieprzyjemny szum w głowie. Więc tu go nie znajdzie, tu go nie ma. A co, jeśli...?

Kobieta jeszcze chwilę na nią patrzyła, a potem odwróciła się i poszła w stronę swojej klatki. Przystanęła jednak i znowu spojrzała na Sarę. Postawiła wiaderko na ziemi.

– Tam – pokazała ręką na ostatnie wejście do kamienicy – jest lista osób, które tu były pochowane, kiedy bomba strzaskała tę klatkę. Prawie wszystkich udało się zidentyfikować. Jeżeli chce pani sprawdzić... – Znowu pokiwała głową i poszła. Teraz już prosto do swojego mieszkania.

Sara stała jak skuta lodem. Trzeba sprawdzić, przecież po to tutaj przyjechała. Pójdzie, nie znajdzie tam jego nazwiska i zacznie się zastanawiać, jak inaczej go odszukać. Pewnie przez ten Kraków i ciotkę. Zresztą może on pierwszy się zjawi w Otwocku? Na pewno i on jej szuka. Teraz, wreszcie, po tym wszystkim, co przeszli, po tym, jaką cenę zapłacili za tę swoją miłość, musi być dobrze. Wreszcie musi być dobrze.

Szła, mówiąc do siebie i zaciskając dłonie w pięści. Mimo ciepłych bordowych rękawiczek, które kiedyś ją ogrzewały, teraz czuła przenikliwie zimno. Kilkadziesiąt metrów, a jakby kilometry.

Przy samej klatce już nie czuła zimna, teraz zrobiło się jej gorąco.

Pociągnęła do siebie drzwi. Otworzyły się z nieprzyjemnym zgrzytem.

Tak, na ścianie była kartka. Kilkanaście nazwisk wypisanych w jednej kolumnie.

Przełknęła ślinę i zaczęła czytać, od góry.

Malinowski, Kurtyka, Nowak, Zięba, Nalewajek... Już była w połowie. Skibińska, Mateja, Król... Lista zaraz się skończy. Bliski, Kacprzyk. Już. Nie ma go.

A nie. Jeszcze jedno, trochę niżej, z większym odstępem od ostatniego.

Górski Jan.

Sara przybliżyła się do tej kartki. Zdjęła rękawiczkę. Dotknęła palcem

kartki, a potem, przesuwając go po kolejnych literach, raz jeszcze przeczytała: GÓRSKI JAN. Górski Jan.

Stała przed tą kartką i wpatrywała się w nią, jakby mogła cokolwiek zmienić – wymazać z niej Jana, sprawić, by zniknął. Nie zniknął. Poczowała łyzy na policzkach. Jej umysł jeszcze się nie poddał, jeszcze próbował zakwestionować to, co widziała. Jej ciało jednak już zaczynało żałobę – łyzy kapały na posadzkę.

Sara wyciągnęła z torebki ołówek.

Na samym dole kartki, pod Janem, napisała: Sara Flinkierówna.

Nie ma, już jej nie ma. Skoro nie ma jego, to jej też. Ich nie ma.

Do Otwocka wróciła Zofia Antosiewicz.

Rozdział trzydziesty czwarty



„Anna Matkowska. A może jednak Anna Zielińska? Zmienić nazwisko czy zostawić? Niby tradycja, kobiety od wieków po ślubie przyjmowały nazwisko męża, lecz z drugiej strony – właściwie dlaczego miałabym to robić? Nagle, po trzydziestu trzech latach, odrzucić swoje nazwisko i stać się kimś innym? Jakby Matkowska przepadła, a zastąpiła ją Zielińska. A może podwójne: Matkowska-Zielińska? Ale ile to podpisywania... Och, pomyślę o tym potem”.

Anka szła do pracy rozpromieniona. Nic jej nie przeszkadzało – niekończące się roboty drogowe na Domaniewskiej, nerwowe klaksony kierowców spieszących się do pracy, ruch przy galerii handlowej.

Co jakiś czas przystawała i podnosiła dłoń, a potem przypatrywała się pierścionkowi na palcu serdecznym lewej ręki.

Zaręczynowy, od Marcina. Wsunęty na palec w piątek, podczas tej randki na Hożej.

Duża perła osadzona w złotym ażurowym koszyczku przypominającym muszlę ślimaka. Komplet do tych kolczyków, które dostała wcześniej.

Pierścionek był piękny – oryginalny, delikatny, prawdziwie artystyczny wyrób. I idealnie pasował na jej palec.

Usłyszała dzwonek telefonu. Wyjęła go z torby, spojrzała na wyświetlacz. Kaśka.

– No hej, dzwoniłaś wczoraj, ale byliśmy na weekendowym wyjeździe w Kazimierzu. Po południu byłam już tak wykończona tym wypoczynkiem, bo wiesz, dzieciaki, tłum turystów, skwar, że w drodze powrotnej zasnęłam, potem szybko oporządziłam Zużkę i Olka i znowu zasnęłam. Więc teraz oddzwaniem. Mam kwadrans, a potem zebranie...

– Marcin mi się oświadczył. – Anka znowu uniosła dłoń. Perła pięknie błyszczała w słońcu. Wyglądała jak magiczna kula – raz złotowa, raz mlecznoślśniąca, pod innym kątem jakby niebieskawa.

– No, wreszcie. To chyba tak rocznicowo?

– O, czyli jednak coś ze świata do ciebie dociera. – Roześmiała się Anka. – I słuchasz tego, co do ciebie mówię.

– Wszystko do mnie dociera. Pozory mogą być inne, ale zapewniam cię, że mam w środku superszybki komputer. Rejestruję, zapisuję, pamiętam – wypaliła Kaśka. – I bardzo się cieszę – dodała już miękko. – Opowiadaj, jak było.

– Cudownie. – Anka uśmiechnęła się do swoich wspomnień. Od piątku przewinęła je w myślach kilkanaście razy. – Umówiliśmy się w takiej uroczej włoskiej knajpce na Hożej...

– O, lubię włoskie jedzenie, a na Hożej nic nie kojarzę – przerwała jej Kaśka. – Gdzie to?

– Numer sześćdziesiąt dwa...

– Czyli to od Chałubińskiego. – Zapisywała sobie w tym swoim superszybkim komputerze przyjaciółka.

– Zgadza się. Mnie się wydawało, że od placu Trzech Krzyży – przyznała Anka.

– I szłaś taki kawał drogi? – Zdumiała się Kaśka.

– No. Powiem ci więcej – miałam na nogach prawie szpilki.

– Fiu, fiu! – Kaśka aż gwizdnęła. – Raz za te „prawie szpilki”, a dwa – za wyczyn. Dla ciebie to jak na szczydłach. Ty musisz go naprawdę kochać, bo

ty nie potrafisz chodzić w takich butach. Nie wzięłaś taksówki? – zapytała zdziwiona.

– Nie. Miałam trochę czasu, poza tym dobrze tak się przejść, kiedy buzują w tobie emocje, a we mnie buzowały, bo czułam, jaki będzie finał tej kolacji. Zresztą to samo w sobie było ciekawe, bo nigdy wcześniej nie przeszłam całej Hożej. Od urodzenia w Warszawie, a w sumie tyle jeszcze nie do końca poznanych miejsc. Fascynujące obserwacje poczyniłam po drodze. Wiesz, że tam wciąż są powojenne dziury, kikuty budynków? I okno życia?

– Nie, jakoś mi się nie rzuciło. Ale to mało romantyczne. – Kaśka nie dała się ponieść tym emocjom.

– Za to jakie życiowe... Ale to ciekawostki, które nie zmieniają faktu, że od teraz Hoża już zawsze będzie mi się tak cudownie kojarzyć...

– Super. No to opowiadaj. – Kaśka lubiła konkret.

– Marcin zarezerwował stolik w środku restauracji, bo były i stoliki wystawione na zewnątrz, w uroczym kąciku. Sala pełna, ale tam mieliśmy poczucie kameralności, pewnego odosobnienia. Strasznie fajne to miejsce – tętniące życiem, ale w taki miły, prawdziwy sposób, wiesz, śmiechy, rozmowy, emocje, ale w dobrym stylu. I jedzenie... Też niebo w gębie. Więc zaczęło się zwyczajnie, niby to po prostu weekendowa kolacja, ale przy deserze...

– Nie mów, że pierścionek był w ciastku – przerwała jej Kaśka.

– No coś ty! – Anka się oburzyła. – To taka sztampa, Marcin ma lepsze wyczucie stylu. Zresztą to by się perle nie przysłużyło, o nią trzeba dbać.

– Jakiej perle? – zdziwiła się Kaśka.

– W pierścionku. A, bo ci nie powiedziałam – pierścionek to część kompletu. Pasuje do tych pereł, które mam w kolczykach.

– Też od dziadka?

– Tak. Piękna rzecz, naprawdę.

– Fajnie, że dziadek chciał oddać obcej kobiecie taką piękną biżuterię. Bo wiesz, bez urazy, ale dla dziadka to ty jesteś obca. Niektórzy mówią, że żona to w ogóle nie rodzina, ale to już głupi żart. Natomiast oddawanie pamiątki wybrance wnuka... Zresztą wiesz, i znowu nie bierz tego do siebie, ale co trzecie małżeństwo się rozpada, więc nie wiadomo, czy ta biżuteria zostanie w rodzinie. A co to w ogóle za pamiątka? Po kim? Chyba nie mówiłaś?

– Bo nie wiem. Marcin także nie wie. Dziadek ją po prostu miał, od lat. I wiesz, co jest najfajniejsze? Że ten pierścionek na mnie pasuje! Marcin go nie przerabiał, to znaczy nie zmniejszał ani nie zwiększał obwodu. Nie zapytał, jaki noszę rozmiar, bo nie chciał się zdradzić z planami. I okazało, się że pasuje jak ulał! Przeznaczenie, co?

– Albo zbieg okoliczności, zależy od stopnia racjonalności narzeczonej. – Kaśka lubiła sobie czasem podkpiwać ze zbytnej wiary w różne niezwykle przypadki. Anka się nie spierała – przyjaźnić też się można mimo różnic. – I co dalej? Znaczą kiedy ślub?

– Jeszcze nie postanowiliśmy, ale szybko, na pewno w tym roku. No bo na co czekać? Nie jesteśmy już tacy supermłodzi, chcielibyśmy mieć dzieci... Ale wcześniej będzie takie przyjęcie zaręczynowe, żeby się wszyscy poznali.

– Znaczą rodzina?

– Znaczą wszyscy bliscy. I rodzina, i przyjaciele, i znajomi. Ty i Piotrek też oczywiście jesteście zaproszeni.

– Ciekawa formuła. Przyjęcia zaręczynowe zwykle są dla najbliższych, właściwie to dla rodziców. Prośenie o rękę, cały ten staromodny rytuał przekazywania pod opiekę, łączenia się rodów...

– W pierwszej chwili również wydało mi się to dziwne, ale potem... Wiesz, że Marcin nie ma rodziców, tylko dziadków. Gdyby ich zaprosić, to wypadaloby i moich dziadków, jakoś tak dla równowagi pokoleniowej. No i tak się narodził pomysł, żeby na takim uroczystym obiedzie spotkali się wszyscy z obu stron. Ja byłam sceptyczna, bo przecież i tak się wszyscy poznają na ślubie, ale Marcinowi jakoś się spodobała ta koncepcja. Zapalił się do niej, więc uznałam, że okej, niech będzie. Może to nawet niegłupie, że na weselu pojawią się ludzie, którzy już się znają, to znaczą przynajmniej raz w życiu się widzieli?

– Zależy. Wesela różnie wyglądają, czasem się kończą rozróbą, kiedy się jednak rodziny nie polubią. To może lepiej, żeby takie sceny się wydarzyły przed weselem?

– Nie chciałabym cię rozczarować, ale nie przewiduję u nas bijatyk i dramatów. Spokojny, kulturalny obiad w jakiejś dobrej restauracji.

– Trudno, niech będzie i tak – przystała pogodnie Kaśka. – A już wiadomo kiedy?

– Wstępnie tak, ale jeszcze ustalimy termin ślubu, żeby już mieć pakiet informacyjny, i wtedy podamy obie daty.

– Wszystko dopięte na ostatni guzik.

– Marcin tak ma. Urodzony organizator. Czego się nie tknie, zamienia w złoto. I bardzo fajnie, bo wiesz, że z organizacją to u mnie na bakier. Dopóki mam siebie upilnować, to w porządku, ale ogarnąć coś większego... Byłaby klapa, na pewno.

– Nie zaprzeczę. A też wolę udaną imprezę. Dobra, kochana, to ja cię żegnam, bo już widzę wzmożony ruch w konferencyjnej. Będziemy w kontakcie. Pa!

– Pa!

Anka powoli dochodziła do swojego wieżowca. Minęła już przejście dla pieszych, zbliżała się do kładki. Tej samej, którą, w odwrotną stronę, rok temu szła na spotkanie swojego przeznaczenia.

Teraz znajdowała się w pełnym słońcu. Wyciągnęła okulary przeciwsłoneczne, bo oczy zaczynały już ją boleć. Nie chciała przerywać rozmowy z Kaśką, zresztą wtedy co chwilę łapała cień. Jeszcze raz, nim pokaże go Oli i Marcie, przysunęła pierścionek do oczu. Przez przyciemnione szkła optyczne perła wyglądała inaczej. Też pięknie, ale mroczniej, z fioletowografitowym połyskiem. Lekko zsunęła oprawki z nosa – i znowu zajaśniało mleczną niewinnością.

„Ech, złudzenia”, pomyślała Anka.

I szczęśliwa przeszła kładką nad pędzącymi autami.

Rozdział trzydziesty piąty



Maj 1946 roku

Maria Górska przypatrywała się swojej obrączce. Niby taka zwykła, a piękna. Czy może być coś wspanialszego niż moment, gdy wymarzony mężczyzna wsuwa kobiecie na palec obrączkę i wypowiada słowa przysięgi?

Odwiesiła białą sukienkę na poręcz krzesła. Przez otwarte okno do pokoju wpadał zapach bzów. Słodki, cudowny. „Zawsze uwielbiałam maj”, pomyślała.

W sypialni czekał na nią Jan, właśnie poślubiony mąż.

„To najszczęśliwszy dzień mojego życia”, Maria w muślinowej halce i pończochach poszła w stronę uchylonych drzwi.

* * *

Sierpień 1946 roku

Znów było gorąco. Żywicznie, balsamicznie, miodowo, między zachwytem a omdleniem. Jak wtedy, tuż przed wojną. Ale tylko to było podobne.

– To najszczęśliwszy dzień mojego życia. – Tadeusz pocałował Zosię w dłoń, a potem w policzek. Chyba chciał w usta, ale lekko odkręciła głowę.
– Teraz całe życie przed nami.

„Całe życie”, pomyślała Zofia, „to strasznie długo”.

Rozdział trzydziesty szósty



Nie, to nie był teatr. To było jej życie.

Anka schyliła się po kartkę. Marcin niepewnie przyglądał się swoim dziadkom, potem przeniósł wzrok na dziadków Anki. Wśród gości wciąż panowała cisza.

– Babciu, co się stało? – Anka podeszła do starszej pani. Kolana jej drżały, serce dudniło.

Babcia jednak wyminęła ją, jakby jej nie zauważyła. Okrążyła stół i zatrzymała się przed drugą parą seniorów.

– Dziadku... – Teraz Marcin próbował wyjaśnić tę sytuację.

Skonsternowani goście patrzyli po sobie. Ta scena nie pasowała do przyjęcia zaręczynowego. Nie pasowała do pięknej przemowy młodych. I chyba nie była zaplanowana. Nie, takich emocji nie da się przecież zagrać, zresztą po co? Strach, nienawiść, przerażenie – jak to się ma do miłości, o której opowiadali Anna i Marcin?

„Przecież to jakiś absurd, pomyłka, to trzeba jak najszybciej wyjaśnić.

Przemowa już i tak zepsuta, ale trzeba ratować resztę wieczoru”, myślała Anka.

Dziadek również zignorował Marcina. Powoli się podniósł i stanął przed babcią Anki.

– Saro... – Głos mu drżał. Ręce mu drżały. Cały drżał, jak ten kryształ, w który Marcin stuknął łyżeczką.

– Nie, to Zofia. Zofia Zamłyńska. – Anka poczuła ulgę. Więc to pomyłka, starszym ludziom się one zdarzają. Zatarte wspomnienia, źle dopasowane twarze, majaki przykrywające fakty. Demencja. Może początki alzheimera? Przypomniął się jej ojciec Marty.

– Sara Flinkierówna. – Dziadek Marcina zaczął szlochać. Babcia Anki rzuciła mu się na szyję. Przez chwilę tak stali, spleceni w mocnym uścisku, a potem odsunęli się o krok od siebie.

– Jan, mój Jan. Ja byłam na Hożej, w tej kamienicy, ale tam brakowało klatki, całej klatki, twojej klatki. Była za to kartka z twoim imieniem i nazwiskiem... – Patrzyła na niego, a Anka pomyślała, że nigdy nie widziała, by jej oczy tak błyszcząły.

– To nie byłem ja! Kiedy się dowiedziałem, że ty nie żyjesz... Kiedy Maria mi powiedziała, że ty nie żyjesz, pojechałem do Krakowa. Wróciłem dopiero w lecie czterdziestego piątego. Boże, to wszystko była nieprawda, całe życie oparte na kłamstwie.

Teraz oboje patrzyli na Marię. Ona też wstała.

– Przecież byłeś szczęśliwy – mówiła do męża, jakby Zofii czy może raczej: Sary przy nim nie było. – Przecież byliśmy szczęśliwi.

Chciała podejść do niego, ale on się odsunął.

– To ty mnie wydałaś, nie Ziębińska. – Zofia patrzyła w niebieskie oczy, których nie widziała od kilkudziesięciu lat. Wciąż były jasne jak niebo. Jak można mieć takie jasne oczy i tak ciemną duszę? – To nie była Ziębińska, Tadziu, prawda? – Nagle jakby sobie przypomniała o mężu. Podeszła do niego, dotknęła jego ramienia. – To była ona, Maria, prawda?

Tadeusz milczał. Patrzył na ukochaną żonę. W końcu powiedział:

– Tak, chyba tak. Wtedy też tak myślałem, ale nie mogłem uwierzyć. Nie chciałem cię zresztą ranić.

Zofia pogłaskała go po policzku. Zawsze taki dobry.

Stali teraz obok siebie, cała czwórka: Maria, Jan, Zofia/Sara, Tadeusz.

Wszyscy byli prawdziwi, a jednak do Anki wciąż wracała ta myśl o teatrze. Miała wrażenie, jakby oglądała tragedię antyczną. Choć nie, tam, co prawda, mogło być więcej aktorów, ale w jednym momencie na scenie mogło przebywać tylko trzech.

Tu też coś nie pasowało. Nagle, jakby nie było ostatnich kilkudziesięciu lat, dziadkowie nie byli już sparowani. Nie byli dopasowani. Zastygli pojedynczo.

Ktoś będzie musiał zejść ze sceny. Kto?

Kto obok kogo teraz stanie?

Anka jeszcze nie do końca rozumiała tę scenę. A może rozumiała, ale nie chciała dopuścić tej prawdy do siebie. I to w takim momencie, w taki dzień...!

Przypominała sobie, że trzyma w ręku kartkę. Dokończy przemowę, przecież nie może jej tak przerwać, mimo wszystko. Do odczytania zostało jedno zdanie, to najważniejsze.

Popatrzyła na gości, na Marcina, na dziadków.

– Miłość jest warta śmierci. Miłość jest warta życia.

Ciąg dalszy nastąpi.

Spis treści



[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Prolog](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piąty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiąty](#)
[Rozdział dziesiąty](#)
[Rozdział jedenasty](#)
[Rozdział dwunasty](#)
[Rozdział trzynasty](#)
[Rozdział czternasty](#)
[Rozdział piętnasty](#)
[Rozdział szesnasty](#)
[Rozdział siedemnasty](#)
[Rozdział osiemnasty](#)
[Rozdział dziewiętnasty](#)
[Rozdział dwudziesty](#)
[Rozdział dwudziesty pierwszy](#)
[Rozdział dwudziesty drugi](#)
[Rozdział dwudziesty trzeci](#)
[Rozdział dwudziesty czwarty](#)
[Rozdział dwudziesty piąty](#)
[Rozdział dwudziesty szósty](#)
[Rozdział dwudziesty siódmy](#)
[Rozdział dwudziesty ósmy](#)
[Rozdział dwudziesty dziewiąty](#)
[Rozdział trzydziesty](#)
[Rozdział trzydziesty pierwszy](#)
[Rozdział trzydziesty drugi](#)
[Rozdział trzydziesty trzeci](#)
[Rozdział trzydziesty czwarty](#)
[Rozdział trzydziesty piąty](#)
[Rozdział trzydziesty szósty](#)

Karta redakcyjna

Copyright © by Agnieszka Jez, 2020
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2020

Zdjęcia na okładce: © Rekha Arcangel/Arcangel, © remik44992/Shutterstock

Redakcja: Lena Marciniak-Cąkała/Słowne Babki

Korekta: Agnieszka Zygmunt/Słowne Babki

Skład i łamanie: TYPO Marek Ugorowski

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”

Dariusz Nowacki

darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8195-184-5

FILIA

Wydawnictwo Filia

ul. Kleeberga 2

61-615 Poznań

wydawnictwofilia.pl

kontakt@wydawnictwofilia.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.